

Sędzia Juszczyszyn
Postawił się władzy

Denis Viren
Polskie aktorki podbiły Rosję

Trauma po zamachu
na Narutowicza

Bezmięsni
zdobywają Polskę

**DUDA
OBIECAŁ
USA**

**MALUTKIE
PODATKI
CYFROWYCH
GIGANTÓW**



ISSN: 1509-3115 (płeks: 353299)



AMAZON • GOOGLE • FACEBOOK

sklep.mleczko.pl



Andrzej Mleczko

CYTATY

PROF. MAGDALENA ŚRODA,
filozofka

*Poziom przemocy
wobec kobiet w naszym
kraju jest zupełnie
niewiarygodny.*

„Wysokie Obcasy”

DAVID GOODHART,
pisarz i publicysta

*Napływ tanich
pracowników służy
przede wszystkim
wielkiemu biznesowi.*

**„Rzeczpospolita Plus
Minus”**

PAWEŁ KOZACKI OP,
prowincjał Polskiej

Prowincji Dominikanów
*Czasem mam wrażenie,
że papież Franciszek
mówi za dużo i za łatwo.*
„Dziennik Gazeta Prawna”

PAWEŁ JANAS,

były trener reprezentacji
*Niektórzy byli piłkarze
w słowach są mocni, ale
jak się brali za trenerkę,
nie dawali rady.*
„Angora”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Szanujcie związkowców!

Na górze bawi się elita dojrzałej zmiany, której symbolami są Banaś i Glapiński. A na dole? Miliony pracowników muszą na ich *dolce vita* zarobić. Nic się nie zmieniło, odkąd Wałęsa, wznosząc toast, mówił: „Zdrowie wasze w gardła nasze”. Z tą różnicą, że dziś praca na państwowym to przywilej rodzin i znajomych działaczy PiS. Rugom personalnym towarzyszy rozpacz zwalnianych i jęczenie opozycyjnych mediów. Ci, których one nie dotyczą, nawet nie pisną w obronie wyrzucanych. Tak w realu wygląda rzekomo niezwykła odwaga Polaków.

Dlaczego tak wielu, w sumie miliony ludzi, daje się wodzić za nos i poniewierać tej nielicznej grupie, która za to odpowiada? To pytanie towarzyszyło mi w czasie uroczystości związanych z 35-leciem Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Widzimy, jak marnie jest w Polsce z praworządnością, prawem pracy, prawami pracowników. Jak dobrze się mają dyskryminacja i umowy śmieciowe. Widzimy, jak słabe są w gruncie rzeczy związki zawodowe. Nawet te największe, czyli OPZZ i NSZZ Solidarność. Marginalizowane przez pracodawców, którzy robią wiele, by taka struktura im się w firmie nie pojawiła. Założenie związku zawodowego w wielu firmach jest jak droga na K2. A zwykli ludzie to nie himalaiści. I nie desperaci, którzy będą kopać się z koniem. W efekcie mamy to, co widzimy. Słabo zorganizowane załogi, które bez związków zawodowych traktowane są jak petenci.

Mam wrażenie, że Polacy patrzą na związki zawodowe jak na drużynę piłkarską. A sami są tylko kibicami i mają za złe, że drużyna nie wygrywa. Niestety, za taką kibicowską postawę płacimy dyktatem pracodawców. Nie liczą się oni ze związkami, bo nie muszą.

Państwo mogłoby wprowadzić regulacje prawne podnoszące status związków. Ale czy premier Morawiecki, który w *exposé* poświęcił pracownikom parę słów, może być orędownikiem związków? Dla tego typu menedżerów związkowcy to zawałdźdździ przeszkadzające w optymalizacji zatrudnienia, czyli – mówiąc po polsku – w wyduszczeniu z każdego jak najwięcej za jak najmniejszą płacę.

W normalnym, praworządnym kraju takie związki zawodowe jak OPZZ są niezbędnym partnerem w dialogu społecznym. Mądrzej jest przecież współpracować z tak racjonalnym partnerem społecznym jak OPZZ, niż później gasić pożary.

Drodzy Czytelnicy,

od czterech lat dzięki Waszej hojności kilkadziesiąt bibliotek otrzymywało nasz tygodnik. Setki nowych osób miało kontakt z PRZEGLĄDEM. Niestety, prenumeraty już się kończą, a wiele bibliotek nie ma środków na prasę. Chcemy im pomóc.

Prosimy o wsparcie i wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”. Można też wskazać konkretne miejsce, do którego ma trafić prenumerata. Dziękujemy za życzliwość!

Fundacja Oratio Recta

Nr konta:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 8** Wojna o suwerenność w czasach cyfrowej rewolucji
Groszowe podatki od gigantów internetowych

KRAJ

- 13** Sędzia, który postawił się władzy
Olsztyn wspiera Juszczyszyna
- 16** Pożegnanie ministra od konfetti
Jarosław Zieliński na odejście pracował cztery lata
- 18** Zbyt dużo hałasu
Zakopane w cieniu disco polo
- 20** Mięso niemile widziane
Wege – sztuka życia, a nie tylko jedzenia

ZAGRANICA

- 24** Ameryka łacińska przestaje się bać
Protestują, żeby żyć
- 28** Pigułka śmierci
Europa umiera od narkotyków
- 48** Ubrani w ekologię
Włoska moda nie daje się kryzysowi
- 56** Japonia widziana oczami polskiej dziewczyny

HISTORIA

- 30** Trauma po zamachu na prezydenta
Narutowicz – obiekt nienawiści
- 34** Październik '56 inaczej
Amerykanka opisuje Polskę

KOŚCIÓŁ

- 36** Sobór watykański II – kwestia władzy
Społeczeństwo a dogmaty

KULTURA

- 38** Polska przedmurzem Zachodu
– rozmowa z dr. Denisem Virenem
- 42** Toruń z politykami na scenie
Monodram jako terapia
- 44** Culturalia
- 58** Książki pod choinkę
Wydawcy polecają
- 66** Młodzi i sztuka

MEDIA

- 50** Katastrofa bez słów
Dziennikarze o zmianach klimatycznych

EKOLOGIA

- 52** Ptaki mają głos
Rozmowy wśród gałęzi

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Szanujcie związkowców!
- 19** Bronisław Łagowski
95 lat Andrzeja Werblana
- 23** Jan Widacki
Premier krainy króla Ubu
- 33** Roman Kurkiewicz
Ziemia, planeta Polaków
- 41** Tomasz Jastrun
Jak narcyz z narcyzem
- 43** Agnieszka Wolny-Hamkało
Hegel pany
- 47** Wojciech Kuczek
Kultura i dziewictwo narodowe
- 55** Edward Mikołajczyk
Prezes zrobił mostek

20

KRAJ

MIĘSO NIEMILE WIDZIANE

Wege – sztuka życia, a nie tylko jedzenia



24

ZAGRANICA

AMERYKA ŁACIŃSKA PRZESTAJE SIĘ BAĆ

Protestują, żeby żyć



52

EKOLOGIA

PTAKI MAJĄ GŁOS

Rozmowy wśród gałęzi

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER



Maciej Hen

Nazwisko zobowiązuje

Zawody wnuków, o których
nie śniło się dziadkom

Brexit a sprawa szkolna



Lewą marsz, panie i panowie

✉ Lewą marsz, panie i panowie

Wystąpiłem znakomitego wystąpienia Adriana Zandberga w Sejmie po *exposé* premiera. Wypunktował wszystkie draństwo PiS, kłamstwa premiera, niespełnione obietnice rządu, zapowiedział działania lewicy. I uderzyła mnie jedna rzecz: tylko lewica biła mu brawo, żaden poseł z partii opozycyjnych nie reagował. Pozytywna wzmianka o wystąpieniu Zandberga znalazła się tylko w „Gazecie Stołecznej”, na stronach ogólnopolskich „Gazeta Wyborcza” nie zdobyła się na zamieszczenie tekstu pani politolog zachwyconej tym wystąpieniem. To bardzo smutna prognoza na przyszłość. Przypomina o tym, że cała prawica od 30 lat myśli tylko o pogrzebie lewicy i przez wiele lat był to jedyny program prawicy.

Imię i nazwisko znane redakcji



Piec gaśnie po wyborach

✉ Piec gaśnie po wyborach

Cichy chichot historii odbił się zapewne szczerym rechem w gardłach byłych przywódców Solidarności i ich kapitalistycznych sponsorów, kiedy ostatni piec huty Sendzimira wygaszono niemal dokładnie w 30. rocznicę usunięcia pomnika Lenina z centrum Nowej Huty 10 grudnia 1989 r. Usuwając pomnik wodza rewolucji październikowej, ze słownika dyskusji o alternatywach dla kapitalizmu, która powinna odbywać się obecnie

w Polsce, symbolicznie usunięto również pojęcie socjalizmu. Dzisiaj Solidarność nie organizuje już wysadzania, podpalania czy oblewania farbą pomników socjalizmu, bo po 30 latach wolności pozostały tylko pomniki apologetów kapitału. Za to cierpliwie negocjuje i uprzejmie uprasza swoich kapitalistycznych „partnerów” o zrozumienie, bo byli sponsorzy Solidarności o solidarności zapomnieli. Kapitalistyczni sponsorzy, którzy inwestowali kiedyś miliony dolarów w walkę o lepsze jutro ludzi pracy, teraz odcinają kupony od swoich inwestycji. (...) A z Nowej Huty do przyszłości prowadzą tylko dwie, coraz bardziej rozchodzące się drogi: dla sług i dla ich panów.

enuajsi

✉ O co chodzi z typowaniem kandydatów na prezydenta?

Najpierw red. Domański popełnił *faux pas* z Arłukowiczem, a potem jeden z moich ulubionych felietonistów, Tomasz Jastrun, wyskoczył z Kosiniakiem-Kamyszem. Czytam i oczom nie wierzę. Szanowny panie Tomasz, czy aby na pewno pan to przemyślał? Bo to wprost niepodobna. To przecież Kosiniak-Kamysz rozbił tworzącą się (co prawda nieporadnie) jedność opozycji w wyborach parlamentarnych, bo go lewica mierzi. Kim jest, pokazał nam ten pan podczas inauguracyjnego posiedzenia Sejmu, popierając kandydatkę Kaczyńskiego na marszałka izby, czyli po prostu poparł politykę PiS. Czy chce pan takiego prezydenta?

Andrzej Dąbrowski, Białogard

ZDJĘCIE TYGODNIA



Marian Banaś po przedstawieniu sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwowej swoich kandydatów na zastępców dostał na Nowogrodzkiej propozycję nie do odrzucenia. Ma się podać do dymisji.

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych obchodzi jubileusz 35-lecia. Powołane 24 listopada 1984 r. w Bytomiu podjęło działalność na rzecz ludzi pracy. Przewodniczącymi porozumienia byli Alfred Miodowicz, Józef Wiaderny i Jan Guz. Dziś na czele OPZZ stoją **przewodniczący Andrzej Radzikowski oraz wiceprzewodniczący Barbara Popielarz i Piotr Ostrowski. Gratulujemy i życzymy wytrwałości w pracy.**

Paweł Juszczyszyn, sędzia z Olsztyna, nakazał Kancelarii Sejmu przedstawienie list poparcia kandydatów na członków nowej KRS. Minister sprawiedliwości cofnął mu za to delegację z sądu rejonowego do sądu okręgowego. Sędzia jako pierwszy w Polsce powołał się na orzeczenie TSUE.

Włodzimierz Czarzasty, przewodniczący SLD, powiedział w Szczecinie, że Polskę w 1945 r. wyzwoliły Wojsko Polskie i Armia Czerwona, co jest oczywistym faktem. Z bezrozumnym atakiem ruszyła na niego pisowska szczujnia. Potomkowie szmalcowników, kolaborantów i bandytów okradających po wojnie chłopów poczuli się obrażeni.

Katarzyna Lubnauer zrezygnowała z przewodzenia Nowoczesnej, biorąc osobistą odpowiedzialność za wynik wyborczy partii. Pokazała klasę. Niestety, taka postawa w polskiej polityce praktycznie nie występuje.



Donald Tusk zakończył kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej. Biegał, tweetował i trzymał Schetynę w szachu. A co z tego miała Unia Europejska? W jakim obszarze za jego kadencji stało się ciut lepiej? **Teraz jako wzorcowy chadek będzie przewodniczył Europejskiej Partii Ludowej.** Znowu pomogła Angela Merkel.

Na 78,7 mld zł są zadłużeni Polacy. Średnio na osobę przypada 27 tys. zł długu. Rekordzistą jest mieszkaniec Lubelszczyzny, który ma do oddania 72 mln zł.

Jarosław Zieliński stracił stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych i administracji. Na pożegnanie nie było konfetti zrzucanego przez policjantów z helikoptera ani hawajskich tańców. **Kuriozalnego nadzorcę policji zastąpił Maciej Wąsik.** Są duże szanse, że przebiję Zielińskiego.

Marlena Małąg, minister pracy (PiS), ma coraz większe problemy w związku z naruszeniem prawa pracy, kiedy była dyrektorem LO w Ostrowie Wielkopolskim. Zdaniem „Dziennika Gazety Prawnej” oświadczenia PiP i Ministerstwa Pracy w jej sprawie są nieprawdziwe.

Jürg Marquard, szwajcarski przedsiębiorca działający na rynku mediów, ma chyba na koncie najwięcej zlikwidowanych tytułów w Polsce. Udało mu się doprowadzić do upadku „Sztandar Młodych”, „Express Wieczorny” i dziesiątek innych. Nawet „Playboy” nie przeżył rządów jego ekipy.

PRZEBŁYSKI

Kraszewski prześladowuje Waryńskiego

W pięknym mieście Puławy straszny Wirus ciemnoty dopadł polityków PiS. Radny klubu PiS, Tomasz Kraszewski, dołączył do władz carskich i austriackich z czasów zaborów. I jak one prześladuje Ludwika Waryńskiego. Szczyt odwagi to nie jest. Bo, jak wiadomo, Waryński, który był skazywany i więziony przez carat i Austriaków, od dawna nie żyje. Kraszewski chce Waryńskiego pozbawić ulicy i pomnika. Za co? Za socjalistyczne poglądy. Za założenie partii Proletariat. I popieranie państwa robotników i chłopów. Gdyby głupota mogła fruwać, to niejednego polityk byłby jaskółką.



Łóżko Andruszkiewicza

Są jak bracia bliźniacy. „Super Express” i Adam Andruszkiewicz. Gazeta dla specyficznego odbiorcy i facet z Grajewa udający polityka. Pasują do siebie jak wtyczka i kontakt. Andruszkiewicz jest dla „Super Expressu” nieustającym źródłem prostych przyjemności. Andruszkiewicz je, idzie, tańczy i... coś tam, coś tam. Dzięki pracowitej ekipie tabloidu możemy obejrzeć nawet łóżko małżeńskie ich idola.



Dla normalsów przypadek Andruszkiewicza jest tak absurdalny, że ludzie ciągle nie wierzą, że jest on wiceministrem cyfryzacji. Pytani o to pracownicy ministerstwa uciekają w popłochu. Bo mają poczucie obciachu. Ale Morawieckiemu ten kabaretowy wiceminister nie wadzi.

Jak przeżyć Radziwiłła

Co trzeba zrobić, by zostać wojewodą mazowieckim? Warunek oczywisty to legitymacja partyjna PiS. Warunek formalny: trzeba przegrać wybory do Senatu, a wcześniej



do Parlamentu Europejskiego. Bardzo pomocne jest poparcie wiadomego prezesa. Wtedy nic już kandydatowi nie przeszkodzi w nominacji. Nawet taka seria klęsk, jaką ma na koncie Konstanty Radziwiłł. Jako minister zdrowia (2015-2018) tak reformował służbę zdrowia, że szpitale są zadłużone jak nigdy dotąd. Smog uważa za zagrożenie teoretyczne. Zagorzały przeciwnik aborcji. Jako lekarz nie wypisałby pigułki „dzień po” nawet ofiarom gwałtu.

Na kolejnej posadzie Radziwiłł będzie uprzykrzał życie Trzaskowskiemu i władzom stolicy. I samorządom, którym rząd już i tak mocno obciął dochody. Będzie szkodził i medził.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto będzie beneficjentem pracowniczych planów kapitałowych?

PROF. MARIAN DOBRZYŃSKI,
specjalista w zakresie zarządzania, UW

Towarzystwa funduszy inwestycyjnych. To oczywiste. Lobbyści i decydenci ze środowisk finansowych pilnie odrobili lekcję u amerykańskich kolegów. W Stanach Zjednoczonych do niedawna świetnie funkcjonowały emerytalne fundusze firmowe, na które pospół składali się pracownicy i pracodawcy. Fundusze te były oprocentowane, a podatek naliczano, gdy pracownik pobierał emeryturę. Te gigantyczne pieniądze nęciły banksterów, toteż udało im się przepchnąć ustawę nakazującą (*sic!*) oddanie indywidualnych składek emerytalnych pod zarząd prywatnych funduszy inwestycyjnych. Pobierają one gigantyczne opłaty, ujawniane w momencie podejmowania środków przez pracownika. Dopięto tego za prezydentury Obamy mimo heroicznej obrony dotychczasowego systemu przez panią sekretarz Departamentu Pracy. Nasza obecna pani minister pracy chyba o tym nie wiedziała.

WALDEMAR WITKOWSKI,
Unia Pracy

Nie zamierzam oszczędzać w tym tworze, spokojnie poczekam na tradycyjną emeryturę i będę zachęcał znajomych, by postąpili tak samo. Celem nowego rozwiązania jest bowiem przysparzanie korzyści nie przyszłym emerytom, ale osobom dysponującym dużymi kapitałami, bo pieniądze z PPK trafią na giełdę. Nie wiadomo natomiast, kiedy dokładnie otrzymają pieniądze sami oszczędzający, a opłaty za zarządzanie pobierane są już teraz, zamiast przy okazji wypłaty zgromadzonych środków.

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG,
Instytut Polityki Społecznej UW

Z modeli opracowanych przez prof. Joannę Tyrowicz wynika, że większość emerytów będzie stratna, a ubóstwo osób starszych nie zmieni się. Głównym tego powodem jest wprowadzenie 10-letniego okresu wypłat. Poza tym ekspertka stwierdziła, że oszczędności nie wzrosną, bo zmniejszy się prywatne odkładanie na starość. Kto więc zyska na wprowadzeniu PPK, jeżeli nie będą to emeryci? Głównym wygranym będą chyba firmy obsługujące te programy. Pracodawcy zobowiązani do wprowadzenia planów muszą wykupić u nich tę usługę.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
EWA GOJAWICZYŃSKA

PPK to jedna wielka ściema. Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze. I to nie dla pracowników, tylko dla upartyjnionych (jedynie słusznych) krezusów.

BOŻENA MIERNIK

Zarobią prowadzący PPK i rząd. Za wszystko zapłacą pracujący, oszczędzający w nowym programie niby-emerytalnym.

PIOTR SKIKIEWICZ

Beneficjentem będzie tradycyjnie banksterka typu J.P. Morgan pod parasolem ochronnym Morawieckiego.

Not. Michał Sobczyk

Wojna o suwerenność w czasach cyfrowej rewolucji

Korporacje internetowe zarabiają miliardy dolarów, ale płacą groszowe podatki

Jakub Dymek

Robi wszystko, co każą Amerykanie, chętniej łupi zwykłych obywateli niż wielkie korporacje, a do tego wypina się na wszystkich europejskich partnerów – tak skrótowo przedstawia się obraz polityki polskiej prawnicy w oczach jej krytyków. Jak to stereotyp – malowany jest grubą kreską i bywa niesprawiedliwy. Ale zdarzają się sytuacje, gdy prawda przerasta karykaturę. I nawet wyrozumiali i nieszukający dziury w całym obserwatorzy zdziwieni rozkładają ręce. Historia podatku cyfrowego to opowieść właśnie o tym.

O tym, jak rząd PiS mógł opodatkować korporacje cyfrowe i uzyskać dzięki temu dodatkowe pieniądze na realizację kampanijnych obietnic, nie obciążając daniną przeciętnych zjadaczy chleba, bo na podatek złożyłyby się w większości zagraniczne firmy. Mało tego, sama Komisja Europejska zachęcała do wdrożenia u nas takiego rozwiązania. Wizyta wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a i nierealistyczne (jak już dziś wiemy) mrzonki o Forcie Trump poskutkowały tym, że nic podobnego na razie się nie wydarzy. Decyzja ta pozbawia nas w ciągu całej kadencji od 1 mld do 5 mld zł.

Skąd jednak te miliardy miałyby się wziąć? Czym w ogóle jest podatek cyfrowy? I dlaczego Polska nagle zmieniła front w sprawie, w której rząd był dotychczas jednomyślny? Zacząć trzeba od początku – czyli od pieniędzy.

Astronomiczne kwoty

Jak wyobrazić sobie miliard dolarów? Dziesięć miliardów? Sto? Szacunkowy majątek najbogatszego człowieka na świecie, Jeffa Bezosa, wynosi właśnie tyle – 100 mld dol.

Jak policzył portal Business Insider, Bezos musi wydać milion, żeby

odczuć w portfelu różnicę porównywalną z wydaniem przez przeciętnego Amerykanina... jednego dolara. Dom na Lazurowym Wybrzeżu jest przy majątku Bezosa takim obciążeniem finansowym jak dla zwykłego człowieka duży kubek kawy w Starbucksie. Według magazynu „The Atlantic” Bezos musiałby przepuszczać 28 mln dol. dziennie wyłącznie po to, żeby – biorąc za punkt odniesienia miniony rok – nie powiększać majątku. Żeby w całości wydać 100 mld dol., trzeba kupować nowe auto marki Lamborghini codziennie przez tysiąc lat. Skala wymyka się wyobraźni.

Bezos jest założycielem Amazona, największego internetowego sklepu obracającego zarówno dobrami fizycznymi (takimi jak książki lub elektronika), jak i cyfrowymi (e-booki, wypożyczanie filmów, cyfrowa telewizja itd.). Amazon powstał w latach 90. w USA, dziś jest najwyżej wycenianą firmą na świecie – jej wartość przekracza już bilion (1 000 000 000 000) dolarów. Już samo to pokazuje, jak dynamicznie rozwijają się platformy cyfrowe – w kategoriach realnej wartości mogą z nimi konkurować wyłącznie molochy przemysłowe Chin, zrzeszające całe olbrzymie branże.

Jednocześnie za ostatni rok Amazon nie zapłacił w ojczyźnie, czyli w USA, ani dolara podatku dochodowego! Więcej, biorąc pod uwagę deklarowane koszty działalności, to rząd federalny w Waszyngtonie powinien zwrócić Amazonowi ponad 100 mln dol. „nadpłaty”. Co prawda, internetowy gigant zadeklarował w podatkach stanowych sporo ponad 1 mld dol., ale ta kwota – wydawałoby się pokaźna – jest i tak dużo mniejsza niż należność z tytułu amerykańskiego podatku korporacyjnego od idących w dziesiątki miliardów zysków. A przecież prezydent Trump już obniżył podatki od korporacji o jedną trzecią – do niedawna wynosiły 35%. Jak więc coraz częściej zwracają

uwagę eksperci i ekspertki, firmy technologiczne grają według zupełnie innych reguł niż tradycyjny biznes, średnio płacąc kilku- lub kilkunastokrotnie mniejszy odsetek. A fortuny takie jak Bezosa, mówią krytycy – już nie tylko lewicowi – biorą się z internetowej aktywności setek milionów użytkowników, którzy tak czy inaczej płacą za usługi w internecie, ale ich dostawcy prawie wcale z tych miliardów się nie rozliczają.

I bynajmniej nie jest to – o ile kiedykolwiek był – wyłącznie amerykański problem. Wraz z kolejnymi pomysłami Komisji Europejskiej, by pociągnąć globalne korporacje do odpowiedzialności, także Polska staje się polem bitwy między suwerennością państwa a potęgą globalnych graczy cyfrowych.

Skąd te miliardy?

Polska, rzecz jasna, w tej batalii nie ma aż tyle do wygrania co USA czy Wielka Brytania. Ale mylą się ci, którzy uważają, że jesteśmy w jakimś sensie zapóźnioną gospodarką, którą problemy cyfrowej rewolucji dotyczą w mniejszym stopniu niż europejskich sąsiadów. Polska jest w Unii szósta pod względem liczby aktywnych użytkowników sieci, a z uwagi na centralne położenie w regionie walczymy o obecność przedstawicielstw największych i najważniejszych firm z branży usług cyfrowych – bo chcemy być centrum, hubem, jak to się modnie mówi, dla całej Grupy Wyszehradzkiej i Europy Środkowej.

Mamy własnych czempionów w branży cyfrowej, takich jak producent gier wideo CD Projekt Red czy platforma Wirtualna Polska. Jako społeczeństwo ponadprzeciętnie często korzystamy z informacji w sieci i mamy wysoki odsetek zarejestrowanych użytkowników portali i aplikacji społecznościowych. Każdego roku wytwarzamy dziesiątki miliardów złotych



Internetowi giganci zarabiają miliardy, ich pracownicy często najniższe stawki.

w sektorze gospodarki cyfrowej. Dziesiątki miliardów, które są opodatkowane w znikomym procencie. Zyski z tych usług są zaś często od razu transferowane do innych krajów i nie przechodzą w ogóle przez ręce naszych urzędników skarbowych.

Agnieszka Kosik, szefowa Facebooka w Polsce, nie chciała w rozmowie z portalem Money.pl odnieść się do branżowych szacunków mówiących, że Facebook na reklamach kupowanych na platformach społecznościowych zarabia w Polsce ponad pół miliarda złotych. „Nie jestem w stanie tego skomentować

w Polsce, dwie największe firmy z Doliny Krzemowej, Facebook oraz Google, miały aż połowę udziału w tym rynku, którego wartość przekroczyła w 2018 r. 4,5 mld zł. Zgodnie z szacunkami Money.pl Google wyciąga na polskim rynku reklamy cyfrowej 1 mld zł rocznie. Mimo to podatki, które płacą najwięksi gracze na rynku cyfrowym, tzw. grupa GAFA – Google, Amazon, Facebook, Apple – pozostają w Polsce na dość niskim, jak na skalę ich działania, pułapie: od miliona w przypadku Facebooka do kilkunastu milionów, jakie zapłacił Amazon.

Facebook na reklamach kupowanych na platformach społecznościowych zarabia w Polsce ponad 500 mln zł.

– odparła. – Jesteśmy spółką giełdową. Co kwartał podajemy przychody globalne. Lokalnych liczb, niestety, nie podajemy”.

Kwota przychodów, którą podaje sam polski oddział Facebooka, jest jednak prawie 20-krotnie niższa – 30 mln zł. A zadeklarowany fiskusowi zysk netto polskiego Facebooka w 2018 r. wyniósł nieco ponad 4 mln zł. Dysproporcję widać gołym okiem.

Według raportu IAB AdEx, który mierzy wartość reklamy cyfrowej

Skąd się bierze różnica między szacowanymi a deklarowanymi przychodami i podlegającym opodatkowaniu zyskiem? Na to pytanie odpowiada Jan Jakub Zygmunowski, ekonomista i prezes think tanku InStrat: – Cyfrowi giganci korzystają z dobrze znanego i opisanego przez specjalistów od unikania opodatkowania schematu księgowego „podwójna irlandzko-holenderska kanapka”. Co to znaczy? Przychody są rejestrowane w irlandzkiej spółce, następnie przesuwane do

pustej spółki w Holandii i ponownie do zarejestrowanej w Irlandii – jednak z siedzibą na Bermudach, gdzie nie obowiązują podatki od zysków firm. Ta sztuczka jest używana globalnie do zaniżenia łącznego efektywnego opodatkowania do poziomu poniżej 5%, co dotyka także Polskę.

Zdaniem Zygmunowskiego szacunki mówiące o dziesięciokrotnej rozbieżności między deklarowanym przez korporacje cyfrowe przychodem a realnym udziałem w polskim rynku są wiarygodne, natomiast dane przekazywane do urzędów skarbowych przedstawiają obraz dalece niekompletny.

Znając udostępniane od niedawna przez Ministerstwo Finansów informacje na temat największych płatników CIT, można bez większej przesady stwierdzić, że w naszym kraju cyfrowi giganci płacą łącznie tyle podatku dochodowego, ile jedna duża sieć marketów – np. IKEA lub Leroy Merlin. To wciąż lepiej niż nic, prawda? – podsuwają co bardziej prorynkowo nastawieni obserwatorzy. A przecież Facebook – jak mówiła minister Jadwiga Emilewicz – w roku 2017 zapłacił zerowy CIT. Dziś premier Morawiecki dodaje, że przecież jest lepiej: wpływ z podatków korporacyjnych w naszym kraju rosną, a za PO stały w miejscu.

Ale tę kwestię można odwrócić. Pytać nie o to, w jakim stopniu gospodarka cyfrowa dokłada się do budżetu, lecz o to, ile budżet traci przez to, że podmioty działające na tym rynku wymykają się tradycyjnym podatkom. I na to pytanie jest odpowiedź.

Unia przejmując pałeczkę

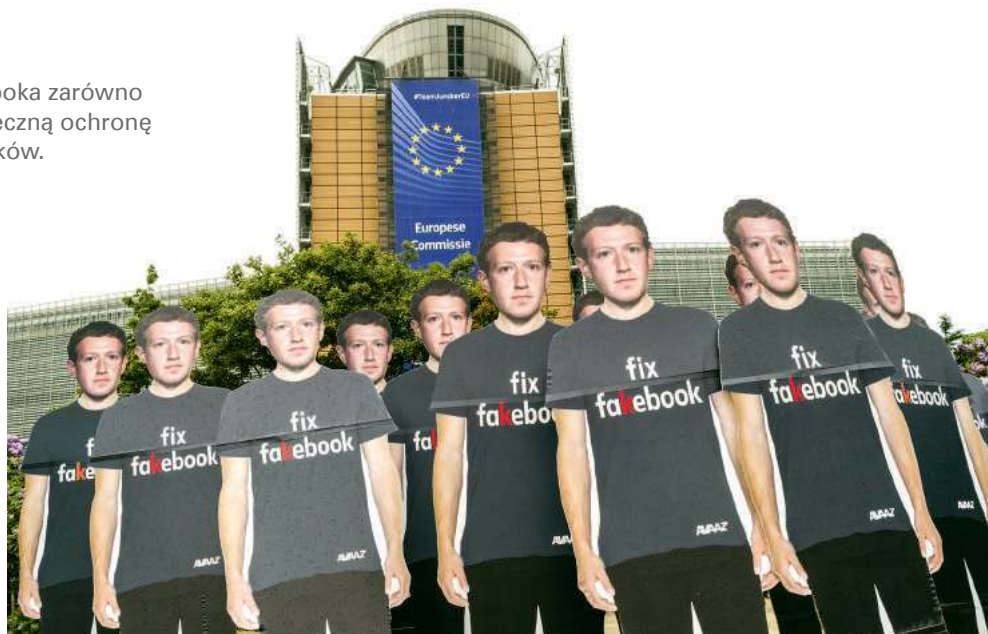
W marcu 2018 r. z Brukseli wyszły dwa projekty dyrektyw dotyczących możliwości wprowadzania podatku od usług cyfrowych obejmującego globalnych potentatów – w tym wspólnego dla całej UE podatku, nazywanego w skrócie cyfrowym. Logika tego rozwiązania jest następująca: skoro aktywność wszystkich użytkowników sieci w Europie składa się na zyski korporacji cyfrowych, nie mogą one płacić podatków tylko w Irlandii (gdzie stawka CIT jest niska) lub w całości transferować zysków poza Europę. Proste? Proste.

Wytłumaczenia tego zagadnienia podjęli się w Polsce autorzy

Unia Europejska ma pretensje do Facebooka zarówno o unikanie podatków, jak też o niedostateczną ochronę danych osobowych milionów użytkowników.
Nz. protest 22 maja 2018 r. w Brukseli.

► sporządzonego dla Ministerstwa Cyfryzacji raportu „Podatek od usług cyfrowych”, Katarzyna Ciastkowska, Grzegorz Koloch i Maria-Magdalena Michajłowa. „W obrębie gospodarki cyfrowej wartość przedsiębiorstwa często jest ściśle skorelowana z liczbą użytkowników korzystających z jego usług. (...) Ze względu na to, że użytkownicy ci znajdują się niemal w każdym państwie na świecie i tworzą wartość wskutek realizacji codziennych czynności, postuluje się, że **podatek cyfrowy powinien być odprowadzany w każdym państwie, proporcjonalnie do liczby użytkowników korzystających z danej usługi internetowej**, wielkości tworzonej przez nich treści czy ilości zawieranych przez nich transakcji”, pisali w podsumowaniu raportu (podkreślenie aut.).

Z przygotowanego opracowania wiemy, że dzięki takiemu rozwiązaniu Polska mogłaby uzyskać 1 mld zł rocznie. Znaleźlibyśmy się w gronie państw, które są największymi beneficjentami podatku cyfrowego – więcej od nas otrzymałyby tylko Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i Wielka Brytania. Tak wysoka pozycja wynika z wyżej wspomnianych czynników: liczebności i aktywności użytkowników



na wszystkie problemy globalizacji. Raczej wielkim plastrem, który pozwala zatamować krwotok i umożliwić medykom zajęcie się poważniejszymi problemami. Z nadzieją na wyraźniejszą poprawę w przyszłości, o ile pacjent się nie wykrwawi.

Podsumujemy: podatek cyfrowy ma dostosować system fiskalny do rzeczywistości, w której żyjemy. Na pewno także jednolite opodatkowanie pozwoliłoby skończyć ze szkodliwą fikcją i groźnym precedensem traktowania inaczej niż pozostałych biznesów firm działających w sektorze cyfrowym – które mimo że obsługują ludzi i oferują usługi w konkretnych krajach, do niedawna nie chciały mieć nic wspólnego z systemem podatkowym

furtkę w postaci możliwości wprowadzenia własnego, kształtowanego na poziomie narodowym, podatku od usług cyfrowych, który mógłby posłużyć jako doraźne rozwiązanie – obowiązujące przynajmniej do czasu, gdy cała Wspólnota nie zgodzi się na DST (co – dodajmy – nie wydarzy się wcześniej niż w 2020 r). Czego chcieć więcej?

Amerykańskie weto

Wydaje się zatem, że możliwość wprowadzenia podatku cyfrowego była dla polskiego rządu w roku wyborczym idealnym prezentem. Tym bardziej że właśnie Prawo i Sprawiedliwość głośno zapowiadało „dekoncentrację” i „repolonizację” obcego kapitału – czy to „polskojęzycznych mediów”, czy globalnych sieci, które nie rozliczają się ze swoich obrotów w Polsce. Ba, zwiększenie ściągalności podatków i uszczelnienie luki VAT PiS uznawało za jeden z największych sukcesów swojej pierwszej kadencji, demonstracyjnie pokazując zwolennikom i przeciwnikom, że władza wywiązuje się z obietnic, a pieniądze należne Polkom i Polakom (jak lubiła mówić premier Szydło) traktuje śmiertelnie poważnie. Dodatkowymi setkami milionów czy nawet miliardem, nie pozyskanymi z kieszeni polskich podatników, ale otrzymanymi jako manna z nieba od cyfrowych półbogów, trudno wzgardzić. Obietnice z kampanii trzeba z czegoś sfinansować, a budżet domknąć.

Czy Polska mogłaby więc wprowadzić podatek cyfrowy? – To już nawet

Facebook w roku 2017 zapłacił zerowy CIT.

internetu, które są podstawowym kryterium dzielenia podatkowego tortu między państwa członkowskie. „Podatek od niektórych usług cyfrowych”, jak nazwany został roboczo – w skrócie DST, czyli *Digital Services Tax* – miałby, według szacunków Komisji Europejskiej, przynieść budżetom państw członkowskich 5 mld euro i wyznaczyć nowy globalny standard w podejściu do korporacji internetowych i ich ponadnarodowego modelu biznesowego.

Nie rozwiązałyby to bynajmniej kwestii rajów podatkowych czy tzw. dumpingu pomiędzy państwami samej Unii, licytowania się, u kogo podatki są niższe. Podatek cyfrowy w tym kształcie nie jest panaceum

i prawnym tych krajów. – Firmy cyfrowe płacą efektywnie 9% podatku dochodowego, firmy tradycyjne – 23% i to jest zwyczajnie niesprawiedliwe. Niekorzystne dla konkurencyjności, ale również będące nieuzasadnionym przywilejem – uczestnicy rynku dokładają się do wspólnej kasy tam, gdzie zarabiają, więc i cyfrowe korporacje powinny tak działać – tłumaczyła dziennikarzem Margrethe Vestager, europejska komisarz ds. konkurencyjności w kadencji 2014-2019, a teraz powołana na wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej, mającą zająć się w nadchodzących latach wspólnym rynkiem i cyfrową gospodarką.

Co więcej, Komisja Europejska pozostawiła państwom członkowskim

nie jest pytanie, czy mogłaby, raczej jak mogłaby go wprowadzić – jasno stawia sprawę Sylwia Czubkowska z „Gazety Wyborczej”, która obszernie opisywała kwestię podatków, a właściwie ich braku, od usług cyfrowych w Polsce. – Podatek korporacyjny, CIT, to tylko jeden z podatków, jakie powinny być płacone przez firmy, które zarabiają dzięki klientom w Polsce, nawet jeśli nie mają tu swoich oddziałów. Przykładem jest choćby Uber – usługa przewozu osób i największy konkurent tradycyjnego sektora taksówkowego. Owszem, pracujący dla niego kierowcy odprowadzają podatki i składki, ale już sama firma odprowadza raczej symboliczne sumy w stosunku do rosnących obrotów. W 2017 r. Uber wpłacił do budżetu Polski ledwie 1,7 mln zł – mówi Czubkowska. Zaznacza też, że rząd miał zaawansowane plany, aby tymi właśnie graczami w pierwszym rządzie się zająć.

I na początku wydawało się, że wszystko pójdzie sprawnie. Premier Mateusz Morawiecki, minister cyfryzacji i Ministerstwo Finansów – wiosną wszyscy publicznie opowiadali się za wprowadzeniem podatku cyfrowego w Polsce. – Dość z rajami

podatkowymi! – grzmiał w marcu premier cytowany przez wPolityce.pl. – Jeżeli w naszym pięknym kraju, ktoś sprzedaje swoje produkty, usługi, to niech płaci od tego podatki, a nie rozlicza się minimalną stawką, tak jak słynny przypadek jednej z największych firm na świecie, która rozliczała się w Irlandii. Nam się to nie podoba.

Co więcej, samo PiS ogłosiło w kampanii do europarlamentu, że to m.in. z podatku cyfrowego

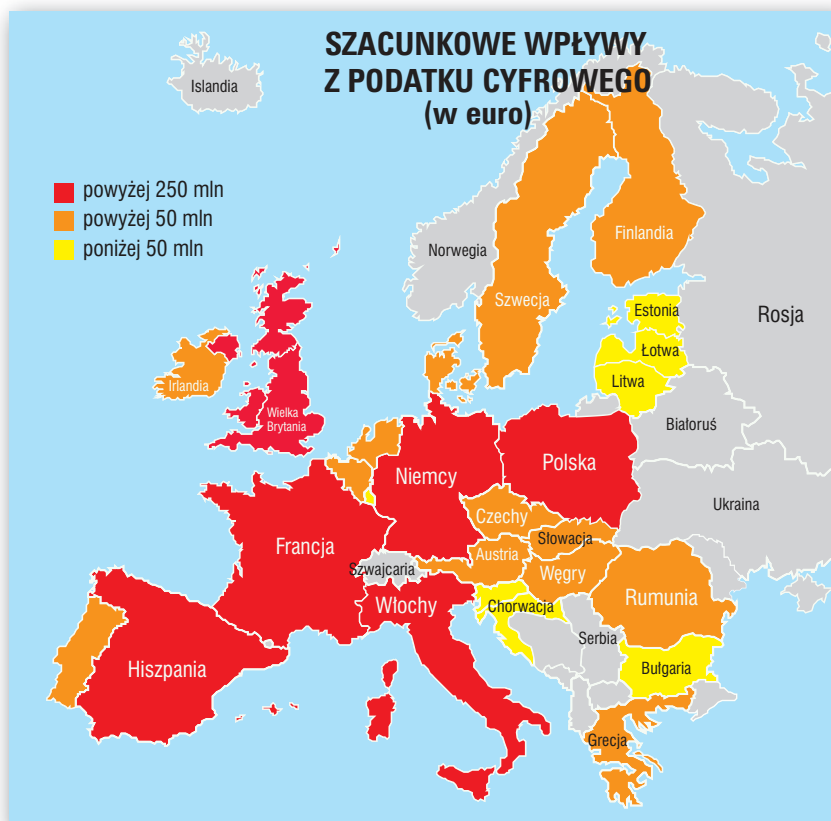
Dzięki podatkowi cyfrowemu Polska mogłaby uzyskać miliard złotych rocznie.

finansowana będzie tzw. piątka Kaczyńskiego. Wiceminister finansów Filip Świątał pisał wiosną w odpowiedzi na interpelację poselską: „Rząd RP podjął decyzję, by tak jak nasi partnerzy w Unii, tj.: Francja, Hiszpania, Włochy, Wielka Brytania, Austria czy Czechy, rozpocząć prace nad wprowadzeniem tzw. rozwiązania tymczasowego w prawie krajowym”, czyli wspomnianego wyżej prezentu w postaci możliwości ściągania podatków od międzynarodowych korporacji nawet bez czekania na konsensus w Unii. Wiceminister

zapowiedział nawet konsultacje obywatelskie. „Przed podjęciem ostatecznej decyzji o wdrożeniu tzw. podatku od usług cyfrowych projekt ustawy zostanie skonsultowany z zainteresowanymi środowiskami”, pisał w tej samej odpowiedzi. Jak podawały „Rzeczpospolita” i OKO.press, jeszcze pod koniec lipca, czyli już po wiosennej kampanii wyborczej, Ministerstwo Finansów deklarowało, że nad podatkiem pracuje. Nieoficjalnie urzędnicy ministerialni przyznawali, że projekt jest właściwie gotowy.

Sprawy toczyły się dobrym, wydawałoby się, torem, aż na początku września 2019 r. do Polski zawitał w zastępstwie Donalda Trumpa wiceprezydent Mike Pence. I zupełnie zaskakując słuchaczy, powiedział – najprawdopodobniej nie konsultując tego ze stroną polską, co dołożyło się do kompromitacji – że dziękuje Polsce za rezygnację z planów wprowadzenia podatku cyfrowego. Jako że przedstawiciele polskiego rządu niczego podobnego nie zapowiadali, wręcz przeciwnie – cała scena wyglądała trochę jak z filmu gangsterskiego, w którym *capo di tutti capi* oznajmia rozmówcy, że jest zadowolony z przyjęcia przezeń warunków umowy, zanim w ogóle powie, jaka to umowa. A wisząca w powietrzu groźba zastępuje całe negocjacje. Po wizycie Pence’a rząd natychmiast zmienił stanowisko (przynajmniej to komunikowane publicznie) o 180 stopni. Nie ma, nie było i nie będzie żadnych podobnych planów.

– Niestety, nacisk wiceprezydenta USA Mike’a Pence’a na polski rząd na razie był skuteczny i podatek trafił na półkę. W tym kontekście suwerenność technologiczna Polski jest pustym hasłem, jeśli Waszyngton decyduje w naszym imieniu o sprawach fundamentalnych – mówi Jan Jakub Zygmontowski. – To oczywiste, że podatek cyfrowy jest trudną kwestią dyplomatyczną na linii Stany Zjednoczone-Europa. Dowodzą tego liczne naciski administracji Trumpa na kolejne państwa unijne, łącznie z głośną sprawą groźenia Francji wprowadzeniem ceł na wino w ramach retorsji za opodatkowanie amerykańskich firm – komentuje decyzję o wycofaniu się z gotowych projektów ustaw Sylwia Czubkowska. ▶



► – Eksperci od polityki transatlantycznej zwracają uwagę, że Trump ma w negocjacjach ze słabszymi partnerami podejście czysto transakcyjne – przypomina Radosław Korzycki, wieloletni korespondent polskich mediów w USA, związany z „Dziennikiem Gazetą Prawną”. Mówi się więc o tym, że każda rozmowa o zwiększeniu obecności wojskowej USA

wejdzie w życie – po akceptacji przez parlament i podpisaniu ustawy przez prezydenta – uzyskają dzięki niemu ponad 200 mln euro wpływów do budżetu. Tym samym pierwszy kraj naszego regionu dołączy do Francji i kilku innych państw UE, które postanowiły opodatkować usługi cyfrowe.

Zygmuntowski komentuje tę decyzję: – Nic nie stoi na przeszkodzie,

Polska próbując ominąć międzynarodowe reguły podlegania jurysdykcji podatkowej. Marzeniem każdego polityka jest opodatkowanie ludzi, którzy nie mają żadnego wpływu na jego wybór – mówił zaproszony do Warszawy gość WEI, Andreas Hellmann z amerykańskiej konserwatywnej organizacji Americans for Tax Reform. – Podatek cyfrowy to ogromne zagrożenie dla konkurencji, innowacji, a także amerykańskiego i europejskiego wzrostu gospodarczego.

Problem z taką argumentacją – jeden z wielu – jest jednak taki, że nikt jeszcze nie wykazał, aby wyższe podatki były barierą dla rozwoju technologii cyfrowych. Przeciwnie, w USA, skąd pochodzą najbardziej wpływowe i największe platformy cyfrowe, podatek korporacyjny jest wyższy niż w wielu państwach Europy. A wiedza o potencjalnej szkodliwości podatku cyfrowego dla rozwoju biznesu cyfrowego jest bardzo ograniczona, bo prawie nigdzie on nie obowiązuje.

Swoją drogą w gronie państw UE również nie ma jedności. Podatkowi w formule zaproponowanej przez Komisję Europejską najgłośniej sprzeciwia się Irlandia, która jest siedzibą wielu globalnych

W USA podatek korporacyjny jest wyższy niż w wielu państwach Europy.

firm, płacących tam podatki niższe, niż wynosi stawka amerykańska czy francuska. Gdy swój podatek cyfrowy wprowadziła Francja, zaprotestowały wszystkie największe platformy cyfrowe, a ich jednogłośnie sprzeciw uzyskał od razu wsparcie Waszyngtonu i osobiste Donalda Trumpa – który normalnie nie uchodzi za przyjaciela Amazona, Google’a czy Facebooka w wewnątrzamerykańskich sporach.

Liberalni krytycy mają o tyle rację, że rozważane propozycje są doraźne i mają charakter polityczny. Chodzi tu także, jeśli nie przede wszystkim, o ustalenie, kto ma prawo suwerennie decydować o podatkach w zglobalizowanym świecie. Państwa i organizacje międzynarodowe, takie jak Unia Europejska, czy korporacje?

To w istocie jest, jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało, wojna o suwerenność w czasach cyfrowej rewolucji.

Jakub Dymek

Po wizycie wiceprezydenta Mike’a Pence’a polski rząd zrezygnował z podatku cyfrowego.

w Polsce prowadzi do pytania, co Ameryka dostanie w zamian. Lub, jeszcze bardziej upraszczając sprawę, ile zapłacicie. – Już sam fakt, że do Polski przyjechał Pence, a nie Trump, był dowodem na to, że Polacy licytują za nisko – dodaje Korzycki. Wprowadzenie podatku cyfrowego, który objąłby przede wszystkim amerykańskie firmy, pogorszyłoby, mówiąc językiem Trumpowskiej dyplomacji, „bilans księgowy”, jaki mamy w relacjach z USA. Korzycki pisał zresztą wtedy na łamach „Dziennika Gazety Prawnej”, że w tym samym tygodniu Pentagon ogłosił... redukcję wydatków na projekty obronne w naszym regionie, więc nadzieje strony polskiej na dobiecie jakiegokolwiek spektakularnego targu z Trumpem i tak były uludą. Polska dała się ograć, mimo że partner blefował.

Co ciekawe, podobnych przeszkód nie stawiali sobie nasi sąsiedzi z południa. W ostatnim tygodniu listopada rząd w Pradze przedstawił swoją propozycję podatku cyfrowego. Jest on jeszcze wyższy niż propozycja Komisji Europejskiej i wynosi 7%. Czesi liczą, że jeśli w przyszłym roku

żeby Polska wprowadziła podatek cyfrowy na wzór francuski czy czeski. Podatek 7% od przychodów ze sprzedaży w kraju ma przynieść Czechom w przeliczeniu ok. 845 mln zł. Przy marży operacyjnej cyfrowych gigantów na poziomie ok. 30-40% taki podatek ma efektywnie wysokość zbliżoną do klasycznego podatku CIT. Podobny podatek w Polsce mógłby więc dać nawet kilka miliardów złotych.

Tak więc przedstawia się realna skala problemu. I taki na razie jest rachunek za zwłokę. Nasz rząd bowiem przekonuje teraz – wbrew faktom – że od początku chciał czekać na ogólnoeuropejskie rozwiązanie, a nie samodzielnie ścigać z internetowych gigantów należność. Bardzo to niepisowskie. I dalekie od zapowiedzi wstawania z kolan i niekłaniania się zagranicznym korporacjom.

Przeciąganie liny

Oczywiście nie jest tak, że podatek cyfrowy ma wyłącznie zwolenników. W raporcie przygotowanym przez wolnorynkowy Warsaw Enterprise Institute możemy zapoznać się z daleko mniej optymistycznymi kalkulacjami. Eksperci WEI oceniają, że gdyby Polska wprowadziła podatek cyfrowy na podobnych zasadach co Francja, wpływy do budżetu mogły być czterokrotnie (w scenariuszu oszczędnym) lub dwukrotnie (w bardziej szczodrym) niższe niż te, które wynikałyby z ogólnoeuropejskiego DST. Z miliarda robi się zatem 250-400 mln zł rocznie.

– Propozycjami wprowadzenia podatku cyfrowego Francja, Czechy czy



Sędzia, który postawił się władzy

Olsztynianie zorganizowali wiec poparcia dla Pawła Juszczyzyna.
Rodzice i znajomi odwołanego sędziego są z niego dumni



Marek Książek

O decyzji sędziego Pawła Juszczyzyna zrobiło się głośno w sobotę, 23 listopada. Tego dnia ujawniono, że Sąd Okręgowy w Olsztynie w toku jednego z cywilnych postępowań odwoławczych zadał sobie pytanie, czy sędzia niższej instancji, nominowany przez Krajową Radę Sądownictwa, był uprawniony do orzekania w tej sprawie. Bo jeśli nie, to cały proces mógłby zostać uznany za nieważny. Rozpatrujący odwołanie sędzia Juszczyzyna nakazał więc Kancelarii Sejmu ujawnienie list poparcia kandydatów do KRS, mając na uwadze niedawny wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. No i się zaczęło.

Bohater z Olsztyna

Już w poniedziałek minister sprawiedliwości odwołał Pawła Juszczyzyna z delegacji do sądu okręgowego, co oznaczało, że wróci on do orzekania w olsztyńskim sądzie rejonowym i będzie mniej zarabiał.

Pozwolono mu tylko zakończyć sprawy prowadzone w wyższej instancji, do której został oddelegowany 1 września br. Miał w niej orzekać do końca lutego 2020 r. Rzeczniczka prasowa Sądu Okręgowego w Olsztynie Agnieszka Żegarska poinformowała, że Juszczyzyna jest sędzią referentem w 38 apelacjach i 19 zażaleniach. Był również sędzią trójkowym w wielu innych sprawach.

W odwołaniu nie podano uzasadnienia, jedynie podstawę prawną. Minister Zbigniew Ziobro skomentował, że „rolą sądu jest sprawiedliwie i uczciwie sądzić, a nie bawić się w politykę i podważać status innych sędziów oraz fundamenty ustrojowe Rzeczypospolitej Polskiej, w tym uprawnień organów takich jak Sejm, Krajowa Rada Sądownictwa czy prezydent”.

Ale przez znaczną część środowiska sędzia z Olsztyna został uznany za bohatera, jednego ze sprawiedliwych, którzy mieli odwagę postawić się władzy „dobrej zmiany”. Zwłaszcza że po

Prawo stron do rzetelnego procesu jest dla mnie ważniejsze od mojej sytuacji zawodowej – oświadczył 26 listopada sędzia Juszczyzyna.

ministerialnych restrykcjach wystąpił z otwartą przyłbicą i w sali sądowej spotkał się z mediami, przekazując jednoznaczny komunikat. – W związku z odwołaniem mnie z delegacji do sądu okręgowego chcę podkreślić, że prawo stron do rzetelnego procesu jest dla mnie ważniejsze od mojej sytuacji zawodowej. Sędzia nie może bać się polityków, nawet jeśli mają wpływ na jego karierę. Apeluję do koleżanek i kolegów sędziów, aby zawsze pamiętali o rocie ślubowania sędziowskiego, orzekali niezawisłe i odważnie – powiedział i wyszedł z sali.

Jego słowa wzbudziły uznanie nie tylko działaczy organizacji prawnych, lecz także zwykłych obywateli. W odruchu oburzenia dziesiątki olsztynian przyszło na wiec solidarności z Pawłem Juszczyzynem, który odbył się wieczorem w środę, 27 listopada, przed miejscowym sądem. Przemówiła do nich m.in. sędzia Ewa Kurasz z Bartoszyca, członkini Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, która wysoko oceniła nie tylko odwagę kolegi, ale również jego dorobek zawodowy. Podobnego zdania był Wojciech Wrzecionkowski, adwokat z 30-letnim stażem, związany kiedyś z Solidarnością. – Po wypowiedzi ministra Ziobry, że sędzia Juszczyzyna przekroczył

Sędzia nie może bać się polityków, nawet jeśli mają wpływ na jego karierę.

swoje uprawnienia, można przewidzieć dalszy scenariusz: władza będzie chciała zrobić mu dyscyplinarkę, a potem wytoczyć sprawę karną. Bo władza chce się pozbyć sędziów, którzy mają honor, odwagę i wspaniałe orzecznictwo, tak jak Paweł. Ja się tylko zastanawiam nad słowami ministra, że decyzja jednego sędziego może zachwiać podstawami państwa ▶

► – mówił. – Pytam więc: to państwo papierowe czy republika banasio-wa? – te słowa wywołały największy aplauz obecnych.

Dumni z syna

Emocji nie ukrywali również inni uczestnicy demonstracji, w tym grupa mieszkańców Morąga, skąd pochodzi Paweł Juszczyszyn, rocznik 1972. Jedną z jego dawnych nauczycielek deklarowała nawet, że jeśli trzeba, pójdzie za niego siedzieć do więzienia.

Morąskimi nauczycielami byli też jego rodzice, Danuta i Adam Juszczy-szynowie. Ojciec Pawła powiedział PRZEGŁADOWI, że od soboty dostaje SMS-y i mejle z gratulacjami. Zdaje sobie jednak sprawę z konsekwencji, jakie mogą spotkać syna.

– On sam mi powiedział, że będą go mieszać z błotem i może zostać zmuszony do rezygnacji z zawodu. Byłoby mu szkoda odchodzić z sądu, gdzie zdobył doświadczenie i renomę, ale nie martwi się znaną przyszłością, bo posiada uprawnienia radcowskie. Poza tym ma charakter, kształtowany podczas wypraw w wysokie góry, w tym Himalaje, a przez pewien czas był nawet prezesem klubu wysokogórskiego w Olsztynie – podkreśla pan Adam.

Paweł jest jego młodszym synem, starszy zmarł tragicznie w wieku 21 lat. Jest jeszcze siostra, już zamężna. Przyszły sędzia od najmłodszych lat wykazywał poczucie sprawiedliwości

WYROK TSUE

Orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE z 19 października br. wywołało w Polsce wiele komentarzy, często wykluczających się. Opinię na ten temat wygłosił np. Michał Laskowski, rzecznik Sądu Najwyższego, który na antenie TVN stwierdził: – TSUE powiedział m.in. o zbyt silnym wpływie władzy politycznej na KRS, co rodzi wątpliwości co do niezależności tej Rady, a orzeczenie Trybunału w Luksemburgu potwierdza, że sędziowie będący członkami KRS powinni być wybierani przez innych sędziów. Z mojego punktu widzenia wydaje mi się, że odpowiedzialne byłoby powstrzymanie się od działań w tej chwili, a najbardziej odpowiedzialne byłoby dojście do jakiegoś rozsądnego rozwiązania w drodze ustawowej.



27 listopada przed olsztyńskim sądem zorganizowano wiec poparcia dla podstawy sędziego Juszczyszyna.

i szacunek do prawa. Po skończeniu morąskiego ogólniaka za pierwszym podejściem nie dostał się na prawo i przez kolejny rok od nowa zakuwał do egzaminów, jednocześnie zarabiając jako... listonosz. Za drugim razem został przyjęty na UMK w Toruniu, po skończeniu studiów odbył aplikację, potem zdawał – najtrudniejszy w jego

Ziobry – odwołała go wiceminister sprawiedliwości Anna Dalkowska, wcześniej sędzia z Gdyni. Został odwołany za decyzję dotyczącą ujawnienia list poparcia do KRS, chociaż już wcześniej domagał się tego Naczelny Sąd Administracyjny.

– Niedawno Paweł powiedział mi, że musi wystąpić do Sejmu o te listy

Rządzący chcą się pozbyć sędziów, którzy mają honor, odwagę i wspaniałe orzecznictwo, tak jak Paweł Juszczyszyn.

życiu – egzamin sędziowski, który zaliczył na same piątki. Powołanie na sędziego otrzymał od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

– Pamiętam, jak podczas tej nominacji syn mówił, że sędzia musi być apolityczny – zwraca uwagę Adam Juszczyszyn.

Listy poparcia nadal tajne?

Sędzia Juszczyszyn najpierw pracował w wydziale karnym sądu w Biskupcu, ale bardziej mu pasowały sprawy cywilne, więc przeszedł do tego wydziału Sądu Rejonowego w Olsztynie, skąd dwa dni w tygodniu dojeżdżał na procesy cywilne do Lidzbarka Warmińskiego (tam właśnie niedawno inny sędzia rozpatrywał sprawę o zapłatę, której firma asekuracyjna domagała się od klientki). Trzy miesiące temu Paweł Juszczyszyn dostał delegację do wyższej instancji, skąd teraz – w imieniu

poparcia, bo może być podważony wyrok, który miał wydać w sprawie odwoławczej. Nawet jeśli władza nie chce tych list ujawnić, to przecież może je przekazać sądowi, który je utajni w postępowaniu. Ale nie może ich ukrywać nie wiadomo z jakiego powodu – konkluduje Adam Juszczyszyn, mający również doświadczenie ławnika sądowego.

Co ciekawe, odważny sędzia z Olsztyna, ojciec trójki dzieci, wrócił do sądu, w którym prezesem jest Maciej Nawacki. On także z rekomendacji „dobrej zmiany” został członkiem KRS, choć sam podpisał sobie listę poparcia, ale i tak – jak ujawniły media – zabrakło mu jednego głosu.

Sędzia Paweł J.

W wydanym w miniony czwartek komunikacie Kancelaria Sejmu zaznaczyła, że „do sądów powszechnych nie należy kontrola

prawidłowości przebiegu procedur parlamentarnych, w tym wyboru osób na stanowiska obsadzone przez Sejm. Postanowienie zostało wydane w związku z prowadzonym postępowaniem cywilnym pomiędzy dwoma niezależnymi od Kancelarii Sejmu podmiotami. Kancelaria Sejmu nie jest stroną postępowania prowadzonego przed Sądem Okręgowym w Olsztynie. W treści postanowienia nie wskazano, jaki fakt istotny dla rozstrzygnięcia prowadzonej sprawy ma wynikać z dokumentacji dotyczącej procedury zgłaszania i wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa". Kancelaryjni urzędnicy twierdzą też, że nie mogą ujawnić dokumentów, ponieważ zawierają one dane osobowe zgłaszających kandydatów na sędziów.

Jak jednak podkreśla mecenas Wrzecionkowski, jedynie sąd wyższej instancji może blokować decyzję sądu. Natomiast anarchią jest to, że Kancelaria Sejmu nie wykonuje prawomocnych postanowień sądu.

Podobne zdanie ma rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar: – Jeżeli Kancelaria Sejmu nie wykonuje wyroków, to po prostu je lekceważy. Tym, co obowiązuje, jest prawomocny wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego, który rozsądzał, czy należy ujawnić listy poparcia kandydatów do KRS i jak do tego się mają przepisy o ochronie danych osobowych.

Rzecznik zapowiedział jednocześnie podjęcie kroków prawnych m.in. w obronie sędziego z Olsztyna.

Marek Książek

Z ostatniej chwili: 29 listopada rzecznik dyscyplinarny sędziów Piotr Schab poinformował o wszczęciu postępowania przeciwko Pawłowi Juszczyżynowi. „Przedstawione obwinionemu Pawłowi J. zarzuty dyscyplinarne dotyczą uchybienia godności urzędu, w szczególności przez przekroczenie uprawnień przy wydaniu postanowienia nakazującego Kancelarii Sejmu przedstawienia określonych dokumentów”, napisał. Dodał też, że sędzia miał w sposób nieuprawniony „przekazać przedstawicielom mediów oceny i twierdzenia związane z pełnionym urzędem sędziowskim, wbrew art. 89 par. 1 Prawa o ustroju sądów powszechnych”. Natomiast prezes Sądu Rejonowego w Olsztynie Maciej Nawacki zawiesił na miesiąc sędziego Juszczyżynę.

Podaruj E-PRZEGLĄD na święta!

**Nie masz jeszcze prezentu dla bliskich?
Zaskocz ich upominkiem na cały rok!**

Od teraz do 20 grudnia elektroniczna prenumerata
PRZEGLĄDU w świątecznej cenie

~~119,90 zł~~

99,99 zł

**E-BOOK
W PREZENCIE**

JAK ZAMÓWIĆ?

1. Wpisz w przeglądarce www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
2. Kliknij na produkt E-PRENUMERATA ROCZNA
3. Zaznacz okienko KUP NA PREZENT
i wpisz adres mejlowy osoby obdarowywanej
4. Dodaj produkt do koszyka
5. Kliknij na koszyk i dokończ składanie zamówienia
6. Obdarowany otrzyma mejl z linkiem do założenia konta,
na którym w zakładce PLIKI DO POBRANIA będą
dostarczane e-wydania PRZEGLĄDU

Masz wątpliwości? Skontaktuj się z nami!

sklep@tygodnikprzeglad.pl, tel.: 22 635 84 10 wew. 107

Więcej informacji: sklep.tygodnikprzeglad.pl





Gdzie wyląduje Jarosław Zieliński po odejściu z ministerstwa?

Pożegnanie ministra od konfetti

Jarosław Zieliński, wszechwładny, wydawałoby się, sekretarz stanu w MSWiA, na swoje odejście pracował cztery lata

Arkadiusz Panasiuk

„Kończę pracę w MSWiA z poczuciem dobrze wykonanych zadań, których efekty ocenili Wyborcy, a obraz medialny skoryguje czas. W Polsce żyje się bezpiecznie, służby, które nadzorowałem, działają sprawnie. Dziękuję wszystkim za współpracę przez ostatnie cztery lata. Dalej służymy Polsce”, napisał z charakterystyczną dla siebie nieomylnością Zieliński 25 listopada na Twitterze.

Niedługo po nim w tym samym medium odezwał się Maciej Wąsik, zastępca koordynatora ds. specjalnych Mariusza Kamińskiego, który pochwalił się, że otrzymał propozycję pracy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, któremu od sierpnia szefuje tenże Kamiński od tajnych służb. I już wiadomo, że Wąsik zajmie tam miejsce równe baronowi PiS z Suwałk.

Jak to się stało, że pozycja Zielińskiego po wyborach zaczęła słabnąć? On sam przecież nie zakładał, że po zdobyciu ponad 40 tys. głosów wyborców coś lub ktoś może

mu realnie zagrozić. Choć powód do niepokoju był oczywisty. Jeszcze przed wyborami bowiem Mariusz Kamiński pozbawił go nadzoru nad policją, Strażą Graniczną i Służbą Ochrony Państwa, zostawiając mu na otarcie łez m.in. Państwową Straż Pożarną i pogotowie wodne. Zieliński

Ci, co pierwsi Zielińskiemu klaskali, teraz mówią, że im przełożeni kazali.

chodził potem po zaprzyjaźnionych mediach, twierdząc, że właściwie nic się nie stało, bo pozostaje pierwszym zastępcą „Maria”. Dla uważnych obserwatorów było jednak jasne, że koniec ministerialnej kariery Zielińskiego jest bliski.

Kilka powodów końca kariery

Zwykle zauważa się ten najbardziej widoczny i najzabawniejszy aspekt końca rządowej kariery Zielińskiego. Jego zamiłowanie do celebry, permanentnego świętowania z udziałem setek mundurowych

z każdej okazji, chociażby najmniejszej – otwarcia posterunku policji, przekazania nowego radiowozu czy poświęcenia sztandaru komendy powiatowej.

Ale są też inne, o wiele poważniejsze kwestie, za które Zieliński przez wiele lat odpowiadał i nic z nimi nie robił. Za jego rządów nasilił się trend masowego odchodzenia funkcjonariuszy z resortu, jednocześnie błyskawicznie spadała liczba ochotników do mundurówki, co najbardziej dotknęło formację policyjną.

Powodem były nie tylko pieniądze, mało konkurencyjne na rynku, na którym zresztą notuje się bardzo niskie bezrobocie. Zaważyła atmosfera w pracy: niespotykane dotąd koleśiostwo, nepotyzm, premiowanie biernych, ale miernych, mobbing, a nawet molestowanie seksualne funkcjonariuszek. Od 2018 r. mówiła o tym regularnie była już postanka Platformy Obywatelskiej Bożena Kamińska, ale mało kto jej słuchał. Teraz, po dymisji Zielińskiego, musi mieć gorzką satysfakcję, bo jej w par-

lamencie już nie ma, a Zieliński jest i pewnie coś dostanie na otarcie łez. Mówi się, że będzie to jakaś spółka skarbu państwa.

Większość się cieszy

– Większość, która nie jest powiązana z ludźmi Zielińskiego, cieszy się z tej dymisji. Ludzie mają nadzieję, że nie będzie już więcej patroli przy biurze poselskim Zielińskiego na ulicy Warszawskiej w Białymstoku, gdzie patrol „spacerował” po osiemdziesięć godzin dziennie 50 m w tę i z powrotem. Że nie będą musieli koczować na dworcu PKP i czekać na jego przyjazd. Że nie będzie akcji typu konfetti, „błysk” na skrzyżowaniach itd. – mówi Norbert Kościeszka, były policjant Komendy Miejskiej w Białymstoku, autor „Psów prewencji” i „Folwarku komendanta”. – Po cichu mówią też, że szef podlaskiego garnizonu, nadinsp. Daniel Kołnierowicz, również zbiera swoje zabawki. Jeśli odejdzie sam lub zostanie przesunięty na inne stanowisko, wraz z nim pójdą w odstawkę jego ludzie. Zwłaszcza „specjalista od konfetti”, prawa ręka komendanta, awansowany przez Zielińskiego na stopień podinspektora. Wielu ma taką nadzieję, a jak będzie, zobaczymy, bo nie od dziś wiadomo, że oficerowie policji, zwłaszcza ci ze znajomościami, spadają na cztery łapy jak koty.

Zwykle dobrze poinformowany były funkcjonariusz CBŚ „Stumbras” napisał na Twitterze: „W jednostkach i wydziałach od poniedziałku trwa dyskusja pod hasłem »honorowo odejść czy czekać i zostać wyrzuconym«. Raporty popisane, kartony spakowane. Niesamowite jest jednak to, że ci, co pierwsi Zielińskiemu klasowali, teraz mówią, że im przeżożeni kazali. Żenada”.

Pisze się też, że zaufani komendanci Zielińskiego czym prędzej zdejmują ze ścian swoich gabinetów zdjęcia byłego ministra. Gdyby to była prawda, czego nie można wykluczyć, byłaby to kompletna degrengolada.

Prawomocna nagana

Daniel Kołnierowicz, szef Komendy Wojewódzkiej Policji w Bia-

łymstoku, awans na to stanowisko zawdzięcza bezpośrednio Jarosławowi Zielińskiemu. Bardzo też szybko otrzymał stopień nadinspektora, czyli „generała policji”, co niewątpliwie również zawdzięczał wpływowi pryncypała.

Jeśli jego kariera, jak twierdzi asp. Kościeszka, także dobiega końca, decydujące znaczenie w tym

Za rządów Zielińskiego nasilił się trend masowego odchodzenia z policji.

kontekście będzie miała nagana, jaką dostał od komendanta głównego policji, nadinsp. Jarosława Szymczyka, za zachęcanie słuchaczy jednej z rozgłośni radiowych do pisania anonimów na posłankę Kamińską. Żeby było śmieszniej, to jedyny generał w historii polskiej policji z tak poważną karą dyscyplinarną.

Sprawę nagany opisaliśmy w jednym z wrześniowych numerów, ale dziś znamy już więcej szczegółów. Okazuje się, że Kołnierowicz

Zieliński był ministrem od spraw pięknych, a nie skomplikowanych.

w czerwcu br. wniósł skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie na karę dyscyplinarną od Szymczyka, lecz – uwaga – z błędami formalnymi. Okazało się, że w skardze zapomniał podać własny numer PESEL. Niby nic, ale sąd nakazał mu uzupełnić te braki. I teraz najciekawsze: jak nas poinformowały służby prasowe sądu, mimo skutecznego doręczenia wezwania

do uzupełnienia braków formalnych szef podlaskiego garnizonu tego nie zrobił. Wobec tego WSA oddalił skargę, a 15 października br. kara nagany uprawomocniła się i nadal obowiązuje.

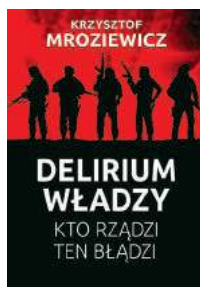
Ci, którzy generałowi podlaskiej policji zarzucaliby ignorancję połączoną z arogancją, mogą być w błędzie. Mógł to bowiem być świadomy ruch, żeby w ostatniej chwili wycofać się z otwartego konfliktu z Szymczykiem i przyjąć karę w fałszywej pokorze.

Kołnierowicz już na początku sierpnia wiedział, że Mariusz Kamiński obejmuje MSWiA, co formalnie nastąpiło w połowie sierpnia. Świetnie też wiedział, że „Mario” nie lubi Zielińskiego, co będzie miało – i rzeczywiście zaczyna mieć – wpływ na dalsze kariery jego protegowanych. Wystarczy przywołać przykład komendanta głównego Państwowej Straży Pożarnej Leszka Suskiego, który według portalu Onet.pl już jest na walizkach.

– Błędem Zielińskiego było to, że nie interesował się policjantami, którzy zgłaszali mu swoje problemy. Był ministrem od spraw pięknych, że tak powiem, a nie skomplikowanych – twierdzi jeden z funkcjonariuszy CBŚP. – Ale polska policja to nie tylko Podlasie. Trzeba pamiętać o innej ważnej kwestii. To sama policja pozwoliła mu na robienie tego cyrku. To szefostwo naginało dane na temat sytuacji w policji, by nie stracić stanowisk, i on na tym bazował.

Jakkolwiek by było, to jednak Podlasie, na pewno nie do końca zastąpienie, stało się symbolem upadku policji za rządów Zjednoczonej Prawicy. ■

Związek Literatów Polskich oraz tygodnik „Przegląd”



**zapraszają na spotkanie
z amb. Krzysztofem Mroziewiczem,
autorem książki
„Delirium władzy. Kto rządzi, ten błądzi”
5 grudnia 2019 r. (czwartek), godz. 17.30**

**Dom Literatury w Warszawie,
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89**

wstęp wolny

Paweł Grocholski

Miasto zerwało umowę na wynajem należącego doń lokalu z Zakopiańską Akademią Śpiewu. Stało się to dzień po międzynarodowym sukcesie Martyny Łukaszczyk, jednej z uczennic akademii. Oficjalną przyczyną jest hałas, nieoficjalnie chodzi o hałas wokół Sylwestra Marzeń.

– 26 listopada, dzień po powrocie z Rzymu, gdzie moja uczennica została najmłodszą finalistką Tour Music Fest, największego konkursu wokalnego w Europie, zostałam oficjalnie poinformowana, że 1 stycznia 2020 r. mam opuścić dwie wynajmowane przez moją szkołę sale – mówi Paulina Martini, artystka, właścicielka szkoły. Powodem jest hałas, który przeszkadza innym użytkownikom obiektu. Kilka dni wcześniej dyrektor Zakopiańskiego Centrum Edukacji Dawid Ciągwa poprosił wszystkich najemców o podpisanie oświadczenia, że przeszkadza im hałas powodowany przez uczącą się śpiewu młodzież. Martini skontaktowała się ze swoimi sąsiadami. Zgodnie odpowiedzieli, że żaden dźwięk dochodzący z sal zajmowanych przez akademię nie przeszkadza im w pracy. A osoba, która prowadzi terapię sensoryczną dla dzieci autystycznych, powiedziała nawet, że wykorzystuje dźwięki dobiegające z sal akademii w swojej terapii, bo muzyka wycisza dzieci.

Jeszcze we wrześniu Zakopiańskie Centrum Edukacji sporządziło aneks do umowy. Wszystko wskazywało na to, że współpraca między centrum a akademią będzie trwała kolejne lata. Relacje między Dawidem Ciągwą a Pauliną Martini układały się bardzo dobrze. Informacja o zakończeniu współpracy była dla szefowej akademii zaskoczeniem. – Rok wcześniej Ciągwa sam przyszedł z propozycją

Zbyt dużo hałasu

Nie spodobał im się sylwester w Zakopanem, urząd wyrzuca ich z miejskiego lokalu



Sylwester TVP w Zakopanem bez Zenka Martyniuka? Niemożliwe!

przedłużenia umowy najmu, o żadnym hałasie nie wspominając.

Listopadowa decyzja wywołała natychmiastową reakcję dziennikarzy. Pojawiło się nieoficjalne wyjaśnienie działań Ciągwy. Otóż 16 listopada, w czasie protestu przeciwko Sylwestrowi Marzeń, Jakub Brzosko, mąż Pauliny Martini, w zdecydowany sposób skrytykował działania urzędu miasta. Zarzucił burmistrzowi brak dbałości o mieszkańców, polegający na nieinwestowaniu w kulturę i sport, podczas gdy ogromne środki są

przeznaczone na jednorazową imprezę – atrakcję tylko dla przyjezdnych i ewentualnie niewybrednych widzów TVP. Urażeni urzędnicy poprosili Ciągwę o wyrzucenie akademii, a że umowa najmu podpisana jest co roku, nie było nawet konieczności jej wypowiedzenia.

Tymoteusz Mróz, jeden z radnych, mówi: – Miasto powinno przyznać Paulinie Martini nagrodę za to, że poświęca swój czas i talent zakopiańskim dzieciakom, tymczasem za negatywne wypowiedzi na temat imprezy sylwestrowej otrzymała wypowiedzenie umowy najmu w miejskim budynku, który, nawiasem mówiąc, jest nierentowny!

Artystka bezpośrednio o sylwestrze nigdy się nie wypowiadała, ale rzeczywiście ubolewała publicznie nad upadkiem kultury muzycznej pod Giewontem. – Miasto Szymanowskiego zmienia się w zagłębie disco polo i kiedyś napisałam o tym – opowiada. – Akademia swoim wysokim pozio-



STATUETKA DLA PRZEGLĄDU

Z okazji 35-lecia OPZZ nasza redakcja otrzymała od przewodniczącego Andrzeja Radzikowskiego podziękowanie za zajmowanie się sprawami kluczowymi dla związków zawodowych, za obiektywizm tekstów i troskę o ludzi pracy.

mem wyłamuje się z tego trendu. Nie rozumiem, dlaczego za wypowiedzi mojego męża mają cierpieć podhalańskie dzieci. Inne lokum znajdę, ale nie w tak dogodnym miejscu i prawdopodobnie za wyższą cenę. W ostatecznym rozrachunku uderzy to po kieszeni rodziców moich uczniów.

Wydział Edukacji w Urzędzie Miasta Zakopane zapytany o odnoszącą sukcesy akademię nie chce się wypowiadać. Odsyła do biura burmistrza. Tam dowiaduję się, że kwestią akademii już się zajęła specjalna komisja, która wypracuje oficjalną odpowiedź dla dziennikarzy. 28 listopada o godz. 21.59 Anna Karpień-Sembecka, kierowniczka Biura Komunikacji Społecznej i Promocji Urzędu Miasta Zakopane, pisze w mejlu: „Dzisiaj odbyła się komisja Rady Miasta Zakopane, podczas której sprawa, o którą Pan pytał, została omówiona i wyjaśniona. Przedsiębiorca prowadzący działalność pod nazwą »Zakopiańska Akademia Śpiewu« w budynku Zakopiańskiego Centrum Edukacji miał umowę zawartą na czas określony i wygasa ona z dniem 31 grudnia. Nie zgłosił chęci jej przedłużenia”.

Dzień później wiadomość tej samej treści przesyła dyrektor Dawid Ciągwa. Zapytany o wcześniejszy powód – hałas – nie znajduje czasu na udzielenie odpowiedzi. Dodaje jednak, że już wcześniej znalazł innego najemcę spornego lokalu.

Salę wynajmowane przez akademię znajdują się w należącym do miasta budynku Technikum Tkactwa Artystycznego, szkoły, która przez ponad sto lat była ikoną Zakopanego, jednak w 2008 r. ze względów ekonomicznych została zamknięta. Przy okazji likwidacji placówki zniszczono część cennych prac i wyrzucono do śmieci część zbiorów szkolnej biblioteki. Z wielkiego kontenera ustawionego przed szkołą można było wygrzebać dzieła klasyków literatury. Mieszkańcy Zakopanego wyrażali oburzenie, urząd miasta zdziwienie lub ubolewanie, ale obiekt, wydzierżawiony przez liczne prywatne szkoły i nawet Uniwersytet Jagielloński, najprawdopodobniej miał przynieść zyski. Obecnie przynosi straty. Uniwersytet z braku studentów wycofał się. Wyrzucenie akademii mieści się więc w kursie obranym przez urząd miasta już ponad dziesięć lat temu.

Bez uprzedzeń



Bronisław
Łagowski

95 lat Andrzeja Werblana

Dożyć 95 lat to wielkie szczęście, a mieć w tym wieku umysł jasny, wzbogacony długim doświadczeniem, inteligencję ciągle błyskotliwą to szczęście pomnożone. Andrzej Werblan pochodzi z Kresów, z Tarnopola. Na Syberii zdążył opłakać ten swój Tarnopol, a gdy w 1944 r. przybył z wojskiem Berlinga do Polski, była to jego prawdziwa, zgodna z sensem tego słowa repatriacja. Nowa Polska w granicach Chrobrego, a socjalistyczna, była Polską, której pragnął.

Syberia ma dziwne oddziaływanie na wygnańców – jeśli tam nie giną i nie marnieją całkiem, wracają z zadatkami na długowieczność. Lew Tołstoj pisał o powracających dekabrystach, że są zdrowsi niż ich rówieśnicy chorujący w petersburskich luksusach i – co Tołstoj szczególnie podkreślał – mądrzejsi od nich. Znałem i ja takich polskich „dekabrystów”.

stanowiskach budowano socjalizm. Werblana posyłano tam, gdzie była niezbędna inteligencja.

Wyszła właśnie jego książka (współpracownik Robert Walenciak), z której dowiemy się, co on myślał o Polsce Ludowej i o swojej roli w tej Polsce. Nie znam jeszcze tej książki, ale jako dyletant i wieczny malkontent swoje zdanie o tym mam. Czy Andrzej Werblan myślał, że służy dobrej sprawie, czy może w głębi duszy wierzył, że racja jest po stronie rządu londyńskiego i kabaretu Hemara? W śmiesznej sytuacji dali się zapędzić ci, którym jawią się takie pytania.

Polska, jakiej służył, była państwem najlepiej umieszczonym w Europie, licząc od czasów Bolesława Chrobrego. Jak pisze Miłosz: „Niech tutaj będzie wreszcie powiedziane: (...) Któż miecz Chrobrego wydobywał z pleśni? / Któż wbijał myślą słupy aż w dno Odry? / I któż

Werblana posyłano tam, gdzie była niezbędna inteligencja.

Po powrocie do swojej prawdziwej, a nie ukraińskiej Polski Andrzej Werblan odbył intensywne studia, a gdy je ukończył z podziwem swoich nauczycieli, podjął pracę w aparacie władzy, partyjnym przede wszystkim, i dziw bierze, że – jak powiedział Karol Modzelewski – przez kilkadziesiąt lat pełnienia tej funkcji jego rozum nie uległ sptyczeniu czy innej deformacji, czego o wielu innych w takim położeniu będących może nie dałoby się powiedzieć. Były w aparacie władzy stanowiska i zadania, do pełnienia których potrzebna była gorliwość ideologiczna i trochę tępoty; na tych

namietność uznał narodową / Za cement wielkich budowli przyszłości?”. „Budowle przyszłości” należą już do budowli przeszłości, a znawcy twierdzą, że uprzemysłowienie było największą rewolucją cywilizacyjną w Polsce w wiekach, jakie możemy sobie opisać. Ta rewolucja przemysłowa jest nieporównywalna z procesem industrializacji żadnego innego kraju. To prawda, że wymagała wyrzeczeń, wolności nie było, ustrój był tyranią, ale tyrania się ulotniła, a miejsce w środku Europy zajmujemy nadal. Nastąpił odpowiedni czas i ni z tego, ni z owego przyszła wolność za Jaruzelskiego.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

Ewa Smolińska-Borecka

Ile to już lat? Agnieszka przypomina sobie, kiedy postanowiła, że nie będzie jadła mięsa. – Ponad 20 – mówi, a w oczach ma zdumienie. Jakby sama była zaskoczona, że przez tak znaczną część życia jest vegetarianką. Nawet nie była wtedy pełnoletnia, ale wcale nie spytała rodziców, co o tym sądzą. Wie, że mama się martwiła, bo sądziła, że bezmięsna dieta nie jest dobra. – W tym czasie vegetarianizm to była ekstrawagancja – wspomina Agnieszka Tarłowska. – W sklepach był tylko jeden zamiennik mięsa – suszone kotlety sojowe.

Mięso niemile widziane

Wegetarianizm
i weganizm
to sztuka życia,
a nie tylko jedzenia

Kiedy wyjechała na studia do innego miasta, mama była przekonana, że nie wytrwa w swoim postanowieniu. Że będzie się żywić w stołówce studenckiej, a tam je się, co dają. I że będzie mieszać z mięsożernymi koleżankami, które te dietetyczne fanaberie szybko wybijają jej z głowy. Ale Agnieszka wytrwała. Jedynie dwa-trzy razy w roku robi odstępstwo – zjada rybę. To z uwagi na pamięć o dziadku, który był rybakiem. Teraz swoją pasję dzieli się z mieszkańcami warszawskiego Miasteczka Wilanów. Od czterech lat jest właścicielką baru serwującego wyłącznie dania wegetariańskie i wegańskie – Kuchnia Bez.

Warzywa dodają wigoru?

Menu w Kuchni Bez codziennie jest inne. I bardzo kolorowe, co można zobaczyć na zdjęciach publikowanych na Facebooku. Dziś w ofercie są dwie



Menu w Kuchni Bez u pani Agnieszki jest bardzo kolorowe.

zupy: barszcz ukraiński i pomidorowa. Pomidorowa to wyjątek, bo ze względu na dodatek masła nie może być polecana weganom. Wszystkie inne spełniają wymogi tej najbardziej restrykcyjnej diety, która wyklucza nie tylko mięso, w tym ryby i owoce morza, ale także wszystkie produkty pochodzące od zwierząt, a więc mleko i jaja, a nawet miód. Poza tym w dzisiejszym menu są buraczki na gorąco z imbirem, ratatuj, czyli wywodzący się z Nicei rodzaj warzywnego gulaszu, soczewica z marchewką i jabłkiem, sałatka z fioletowym kalafiolem i cieciorą, burgery jaglane i placki ze śliwkami. Są też pasty: smalec wege, cieciora z ogórkiem kiszonym i wędzoną papryką, humus. – Potrawy wegetariańskie są dość pracochłonne – przyznaje Agnieszka.

Sałatka z fioletowym kalafiolem i cieciorą już się skończyła, podobnie jak placki ze śliwkami. Poszły w szczy-

cie lunchowym. Wtedy w barze pojawiają się pracownicy pobliskich firm, matki z dziećmi, chwilowo na urlopach wychowawczych, i ludzie wolnych zawodów. Dochodzi godz. 16. To czas między szczytami, tym lunchowym i tym wieczornym, kiedy do baru przychodzą ci, którzy wrócili na osiedle po pracy. Dwa stoliki zajęte. Młoda kobieta na talerzu ma ratatuj, buraczki, soczewicę i burgera. Dwie identyczne porcje zamawia na wynos. Wchodzi kolejny klient. Też zjada warzywno-zbożową wariację na miejscu, a do domu bierze zupę w słoiku. Wkrótce pojawia się para. Oboje zamawiają barszcz ukraiński. Później zaczynają przychodzić te osoby, które zamówiły dietę pudełkową na następny dzień. Koszt dzienny takiej diety wynosi od 50 do 70 zł i jest zależny od tego, czy są trzy posiłki, czy pięć.

Agnieszka pamięta, jak pierwszy raz przyszli do niej pracownicy niedu-

żego lokalnego oddziału jednej z korporacji, bo pracodawca postanowił im dofinansowywać posiłki właśnie w jej barze. Byli bardzo zaskoczeni, nawet rozczarowani, że w Kuchni Bez nie mogą zjeść żadnego mięsnego dania. Ale przekonali się do wegetariańskiego menu. Pracodawca, który wcześniej kilkakrotnie wpadał do baru, żeby osobiście sprawdzić ofertę, powiedział Agnieszce, że pracownik

W Polsce jest 1,3 mln wegetarian i wegan.

po posiłku bezmięsnym ma więcej energii i wydajniej pracuje, a po tym z mięsem jest nieco ospały. Stąd taka decyzja. Agnieszka zna większość gości. Wie, kto lubi brukselkę, a kto nie, kto w jakich zupach gustuje, kto woli pieczone burgery, a kto smażone kotlety.

Stek a kobiecość

Rodzina Agnieszki w sensie dietetycznym jest patchworkowa. Mąż – mięsożerny. Młodszy syn, 13-letni Antoni, podobnie jak tata nie wprowadza żadnych ograniczeń żywieniowych, ale wynika to stąd, że lubi gotować. Agnieszka pamięta, jak kilka lat temu w jakiejś restauracji Antek zamówił ośmiornicę. Za to 15-letni Stanisław zaczął od jakiegoś czasu ograniczać mięso. O takich osobach mówi się, że są fleksitarianami. Ale już wcześniej zaskoczył mamę, kiedy wyjawiał, że ubóstwia krem z buraków na mleku kokosowym z kolenką. Zdaniem Agnieszki gustowanie w tym daniu to już wyższy stopień wegetariańskiego wtajemniczenia. Widziała więc, że w upodobaniach Staszka zachodzą jakieś zmiany.

– Nigdy nie zmuszałam nikogo do przejścia na wegetarianizm, bo to nie ma sensu – mówi Agnieszka. – Lepiej inspirować, niż zmuszać. Kiedy poznałam męża, byłam wegetarianką, a on nie, i to nam nie przeszkodziło w zostaniu parą. Słyszałam, że niektóre związki rozpadają się właśnie z powodu różnic dietetycznych, ale u nas nigdy nie było takich zadrążeń. Moim zdaniem trzeba być tolerancyjnym.

Kucharki, które Agnieszka zatrudnia w barze, nie muszą być wegetariankami. Ale one same zauważyły, że po pewnym czasie zaczynają

ograniczać jedzenie mięsa. Ostatnio jedna śmiała się, że jak pojechała na wesele, to zamiast rozglądać się za półmiskami z wędliną i piecystym, szukała sałatek. – Znam takie osoby, które zostały naklonione do przejścia na wegetarianizm i wytrzymały pół roku, ale nagle poczuły zapach wędliny i nieodparty przymus zjedzenia mięsa – twierdzi Agnieszka. – To znaczy, że wegetarianizm nie jest ich drogą. Ja jako wegetarianka, gotując dla swojej rodziny, wprowadzam

więcej potraw bezmięsnych niż kobiety, które nie są wegetariankami. Synowie powiedzieli mi, że ponieważ nigdy nie widzieli mnie jedzącej jakieś potrawy mięsne, uważają, że z ich wizerunkiem kobiecości kłóci się krwisty stek.

Zdaniem Agnieszki przygotowanie dań wegetariańskich polega nie tylko na wyeliminowaniu mięsa. Ważna jest atmosfera, w której powstają. Dlatego w kuchni w jej barze jest przestronnie, potrawy przygotowuje się bez stresu, popędzania, krzyków. To prawdziwa Kuchnia Bez.

Hodowcy się nie boją

Agnieszka mówi o sobie, że nie jest radykalną wegetarianką. – Nie odstawiłam mięsa ze względu na jakąś ideologię czy z powodów etycznych. Po prostu uważam, że na diecie wegetariańskiej lepiej się czuję. Jestem lekka, silniejsza, rano budzę się wypoczęta, wszystko przychodzi mi łatwiej.

Dietetycy uważają, że statystyczny Polak spożywa więcej białka, niż potrzebuje.

Jednak wielu wegetarian rezygnuje z mięsa, bo nie chcą narażać zwierząt na cierpienie. Innym powodem jest dbałość o środowisko i chęć zastopowania globalnego wzrostu temperatury. Jak wynika z tegorocznego badania przeprowadzonego dla portalu Pyszne.pl, wegetarianie i weganie stanowią ok. 4% Polaków powyżej 16. roku życia, czyli jest ich ok. 1,3 mln; sześć lat temu było ich milion. Trudno zatem powiedzieć, by był to trend, który znacząco wpływa na rolnictwo, hodowlę czy handel.

Co więcej, ilość mięsa zjadanego przez statystycznego Polaka wcale nie spada, wręcz przeciwnie – wzrasta. W ubiegłym roku statystyczny Polak zjadł 76,9 kg mięsa, o 6,8 kg więcej niż rok wcześniej. A zdaniem FAO, Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa, za kilkanaście lat spożycie mięsa na świecie się podwoi. Wprawdzie więc w branży mięsnej wegetarianizm i weganizm nie wywołują paniki, ale producenci, m.in. Sokołów, Zakłady Mięsne Olewnik i Silesia, starają się nie stracić klientów i produkują wegańskie kiełbasy.

Zainteresowanie wegetarianizmem sprawia, że jemy więcej warzyw i owoców. W 2018 r. spożycie owoców na mieszkańca wynosiło 54 kg i było wyższe o 1 kg niż w roku 2017. Warzyw przeciętny Polak zjadł niemal dwa razy więcej – 106 kg, o 1 kg więcej niż w roku 2017. Natomiast jemy mniej ziemniaków (95 kg na mieszkańca, też o 1 kg mniej niż w 2017 r.) i przetworów zbożowych (101 kg, znów o 1 kg mniej niż rok wcześniej).

Warszawa bardzo przyjazna

Ocenia się, że globalny rynek produktów dla wegetarian i wegan jest wart 25 mld dol. Nie ma danych na temat wartości tego rynku w Polsce. Faktem jest jednak, że niemal w każdym sklepie w dużym czy średnim mieście można znaleźć produkty dla tej grupy odbiorców. Nawet w mniejszych miejscowościach w dyskontach kupi się tofu czy humus. Według serwisu

Happy Cow w 2017 r. Warszawa zajęła trzecie miejsce w zestawieniu najbardziej prowegetariańskich miast na świecie. Dwa lata później ten sam serwis stworzył ranking miast najbardziej przyjaznych weganom. Tym razem Warszawa zajęła siódme miejsce (pierwsza trójka to Londyn, Berlin i Nowy Jork), wyprzedzając zamykające pierwszą dziesiątkę Toronto, Pragę i Paryż. Przy sporządzaniu klasyfikacji brano pod uwagę liczbę restauracji wegańskich w promieniu 13 km, liczbę restauracji wegańskich, wegetariańskich i oferujących menu dla wegan w promieniu 8 km, a także łatwość dostępu do produktów wegańskich

► i tempo rozwoju restauracji czy sklepów dla wegan. Według autorów rankingu w Warszawie na obszarze o średnicy 13 km funkcjonuje 47 lokali dla wegan. Oferują one wegańskie wersje kuchni nie tylko polskiej, ale i włoskiej, japońskiej, izraelskiej, libańskiej czy syryjskiej.

Według portalu Wege Warszawa w stolicy działa 86 restauracji i barów wegańskich i wegetariańskich. Najwięcej w Śródmieściu – 45 oraz na Mokotowie – 14. Na Białotęcie, Bielanych i Pradze-Północ jest po jednej restauracji tego rodzaju.

Najłatwiejszy dostęp do restauracji wegetariańskich oferuje Islandia. Jak obliczył Czech Jakub Mariana, w 2016 r. na milion mieszkańców przypadało tam 24,8 restauracji wegetariańskich, najłatwiej zaś wyglądało to na Białorusi i w Albanii – 0,4, na Ukrainie – 0,6, w Turcji – 0,7 i w Rosji – 0,8. W Polsce ten współczynnik wynosił 5,3, co stawiało nasz kraj na średnim poziomie. Co ciekawe, restauracji wegetariańskich w przeliczeniu na milion mieszkańców było u nas dwa razy więcej niż we Francji. Za to lepsi pod tym względem okazali się Austriacy – 13,8 na milion mieszkańców, Czesi – 13,7, Brytyjczycy – 11,3.

Dramat na Florydzie

Coraz więcej osób decyduje się też na to, by do diety wegetariań-

skiej czy wegańskiej przyzwyczajać dzieci. Ostatnio jednak środowisko zmroziła informacja o tragicznym przypadku z USA. 9 grudnia na Florydzie rozpocznie się proces rodziców oskarżonych o nieumyślne spowodowanie śmierci 18-miesięcznego syna. Rodzice – restrykcyjni weganie – odżywiali się wyłącznie surowymi owocami i warzywami. Tę dietę zdecydowali się zastosować także wobec trójki dzieci: pięciolatka, trzylatka i najmłodszego synka. 18-miesięczne niemowlę przez ostatni tydzień życia było karmione dodatkowo mlekiem matki, bo rodzice w końcu zauważyli, że jest osłabione i wychudzone. Chłopiec ważył jedynie 7,7 kg, a powinien ok. 12 kg. 27 września matka,

W przypadku diety wegańskiej suplementowane muszą być witamina B₁₂ i kwasy tłuszczowe Omega-3, bo nie występują one w produktach roślinnych.

35-letnia Sheila O'Leary, stwierdziła, że syn ma płytki oddech, ale nie wezwwała pomocy, położyła się spać. Kiedy po przebudzeniu spostrzegła, że syn nie oddycha, ojciec próbował go reanimować, a ona wezwwała pogotowie. Chłopca jednak nie udało się uratować. Sekcja zwłok potwierdziła, że niemowlak zmarł z powodu komplikacji wynikających z niedożywienia i odwodnienia organizmu.

– Według amerykańskiego stowarzyszenia dietetyków dietę wegańską można stosować na każdym etapie życia, również w przypadku kobiet w ciąży – twierdzi dietetyczka Diana Szumilas. – Trzeba jednak pamiętać, że jeden kęs jedzenia wegańskiego jest mniej kaloryczny niż tradycyjnego. Dwa składniki pożywienia muszą być w przypadku diety wegańskiej suplementowane: witamina B₁₂ i kwasy tłuszczowe Omega-3, bo nie występują one w produktach roślinnych. Można zdrowo wychować dzieci na diecie wegańskiej, ale rodzice muszą być odpowiedzialni. Najlepiej, by skorzystali z pomocy dietetyka. A wracając do przypadku z Florydy – jeśli rodzice karmili dzieci owsianką na wodzie, owocami i warzywami, taka dieta była bardzo nierozważna.

Także inni dietetycy podkreślają, że kiedy podejmuje się decyzję o zmianie diety na wegetariańską lub wegańską, należy zasięgnąć u nich

porady. Szczególnie kiedy zmiana ma dotyczyć dzieci. Najczęściej obawę wzbudza to, czy organizm dostanie odpowiednią ilość białka. Dietetycy uważają, że statystyczny Polak spożywa więcej białka, niż potrzebuje, bo dorosłej kobiecie albo mężczyźnie o przeciętnej aktywności ruchowej wystarczy jedynie 0,9 g na 1 kg masy ciała na dobę. Takie zapotrzebowanie można pokryć produktami roślinnymi, nawet na diecie wegańskiej. Według najnowszych badań nie ma powodu, by w każdym posiłku były różne źródła białka. Wystarczy, że w ciągu doby zostaną spożyte różne produkty o dużej zawartości białka dostarczające wszystkich potrzebnych aminokwasów.

Samodzielne komponowanie posiłków wegetariańskich jest bardziej czasochłonne od przygotowania posiłku z mięsem lub rybami. Jeszcze większą trudność stanowi skomponowanie posiłku wegańskiego. Dlatego wiele osób korzysta z wegańskich i wegetariańskich diet pudełkowych, które są przygotowywane przez dietetyków. Firm dostarczających takie posiłki do domu jest coraz więcej.

Diety wegańskie i wegetariańskie pojawiają się również w szkołach i przedszkolach. – Przygotowujemy posiłki dla uczniów w sześciu warszawskich szkołach – mówi Łukasz Gąterski z firmy Działalność Gastronomiczna Elżbieta Socha. – Uczniowie mogą korzystać z trzech posiłków: śniadania, obiadu i podwieczorku. Dziennie przygotowujemy obiady dla ok. 2,5 tys. uczniów, wegetariańskie zamawiają rodzice jedynie dla ok. 50 uczniów. W ubiegłym roku szkolnym jedna uczennica była na diecie wegańskiej.

Wegetarianie i weganie to szczególnie grupa. Wielu działa na rzecz zwierząt, protestuje przeciw hodowlom przemysłowym kurczaków czy świń, hodowaniu zwierząt na futra i trzymaniu kur niosek w klatkach. Skrajnie rezygnują nawet ze skórzanego obuwia. I wierzą, że dzięki nim świat będzie lepszy.

Ewa Smolińska-Borecka



Z Galicji



Jan Widacki

Premier krainy króla Ubu

W *exposé* premier z reguły mówi o rzeczach dla kraju najważniejszych, o tym, co rząd chce zrobić, by poprawić bezpieczeństwo i poziom życia obywateli. Mówi, co zamierza zrobić dla państwa i jego mieszkańców. Jest to niejako sprawozdanie ze stanu państwa i plan działań na przyszłość. Z uwagi na ograniczony czas takiego wystąpienia premier zwykle mówi syntetycznie, koncentrując się na sprawach najważniejszych.

Gdyby tak potraktować przemówienie programowe premiera Morawieckiego, należałoby sądzić, że jednym z największych problemów Polski i Polaków (a także Polek) jest bezpieczeństwo w ruchu drogowym, a zwłaszcza bezpieczne przejścia dla pieszych. Im premier poświęcił wiele uwagi w swoim – przydługim zresztą, przekraczającym limit czasu – *exposé*. W tym zakresie Mateusz Morawiecki opisał jakiś inny kraj niż Polska.

Oczywiście bezpieczeństwo w ruchu drogowym jest ważnym problemem, ale bez przesady. Są chyba sprawy ważniejsze, zarówno bieżące, np. ochrona zdrowia (w tym wielomiesięczne kolejki do lekarzy specjalistów), jak też o zasięgu długoterminowym, choćby ochrona środowiska. Tak na marginesie, od smogu umiera w Polsce znacznie więcej ludzi, niż ginie na drogach. Jeśli już jednak pan premier chciał powiedzieć coś mądrego w kwestii bezpieczeństwa na drogach, to powinien (on albo jego doradcy) zajrzeć najpierw do urzędowych statystyk, trochę nad nimi podumać, a dopiero później o tym mówić z trybuny sejmowej. Tymczasem ten fragment wystąpienia premiera Morawieckiego opierał się chyba na przypadkowo wybranej kronice wypadków z jakiejś gazety i na wstrząsającym reportażu z którejś telewizji, dotyczącym śmiertelnego wypadku na przejściu dla pieszych. Przy okazji nie zapomniał pan premier skrytykować wyroku zapadłego w sprawie nie lubianego przez władze dziennikarza. Jak widać, pan premier umysł ma bardzo analityczny i znakomicie odróżnia rzeczy ważne od nieważnych.

No to może zaczniemy od oficjalnej statystyki. W ubiegłym roku na polskich drogach w prawie 32 tys. wypadków śmierć poniosły 2862 osoby. To bardzo dużo. Ale też w tym samym czasie przeszło 5 tys. osób popełniło samobójstwo. Prawie dwa razy więcej. Czy państwo i społeczeństwo nie może naprawdę nic zrobić, by zapobiec przynajmniej części samobójstw? Czy nie może nic zrobić, by poprawić opiekę i pomoc psychologiczną oraz psychiatryczną, by rozbudować instytucję telefonów zaufania? Nie może również nic zrobić, by ograniczyć choćby mowę nienawiści i brutalne zachowania wobec wykluczonych z różnych powodów –

wszak to oni często popełniają samobójstwa, nie radząc sobie z życiem? Ale w żadnej telewizji nie było wstrząsającego reportażu o samobójstwie, więc dla premiera i dla rządu nie ma tematu.

Liczba zabójstw i utonięć jest co roku podobna – nieco ponad pół tysiąca. W 2018 r. utonęło w naszym kraju 545 osób, w tym wiele dzieci. Czy nic się nie da zrobić, aby zmniejszyć tę liczbę? Nie da się zorganizować więcej strzonych kąpielisk, a przede wszystkim powszechnie uczyć dzieci pływania? Jednak żadne utonięcie nie było na tyle spektakularne, aby stać się tematem telewizyjnego reportażu, zwłaszcza w listopadzie, więc dla premiera ten problem nie istnieje. Jest za to problem wypadków drogowych, szczególnie na przejściach dla pieszych, bo media ostatnio nagłośniły kilka takich wydarzeń. W tej kwestii nawet mają być zmienione przepisy, dając pieszym bezwzględne pierwszeństwo na pasach. No i oczywiście zaostrzone kary.

Na marginesie warto zaznaczyć, że piesi też bywają sprawcami wypadków. W 2018 r. z ich winy doszło do 2119 wypadków. To wprawdzie tylko niespełna 7% ogólnej liczby, ale warto i o tym pamiętać. A jeśli wziąć pod uwagę wypadki ze skutkiem śmiertelnym spowodowane przez nietrzeźwych, to nietrzeźwi piesi spowodowali 347 wypadków, a nietrzeźwi kierowcy 179!

A tak w ogóle to wbrew temu, co na ogół się sądzi, nietrzeźwi kierowcy powodują mniej niż 10% wypadków ze skutkiem śmiertelnym (w 2018 r. owe 179 wypadków).

Można ludzi straszyć piratami drogowymi, ale obiektywnie sytuacja na polskich drogach się poprawia. Liczba wypadków drogowych w latach 2009-2018 zmalała o prawie 40%, liczba zabitych na drogach także – w 2009 r. w wypadkach na drogach zginęły 4572 osoby, w 2018 r. – 2862. A trzeba pamiętać, że w tym samym czasie liczba pojazdów mechanicznych na polskich drogach wzrosła o 36% (obecnie jeździ po nich 29 656 238 pojazdów!).

Bezpieczeństwo na drodze wzrasta nie dzięki nowym przepisom, zaostrzonym karom, zapowiedziom premiera czy tego lub tamtego ministra, ale dzięki temu, że drogi są modernizowane, budowane są chodniki dla pieszych, a wszystko w dużej mierze za pieniądze Unii Europejskiej, której pan premier i jego polityczna formacja tak bardzo nie lubią.

Do tej pory mistrzem demagogii populizmu penalnego był minister Ziobro. W *exposé* dorównał mu w tym zakresie premier. Nawet na tym mało chwalebny polu, jakim jest populizm penalny, obydwa panowie – jak widać – ze sobą rywalizują.

Od smogu umiera w Polsce znacznie więcej ludzi, niż ginie na drogach.

Ameryka Łacińska przestaje się bać

Protestują, żeby lepiej żyć

Katarzyna Mierzejewska

No podemos seguir viviendo así (Nie możemy tak dłużej żyć), mówią mieszkańcy Ameryki Łacińskiej od Bogoty po Limę, w Meksyku, ale też na Haiti. Choć nie jest to bynajmniej nowa sytuacja, gdyż region ma bogatą historię zamachów stanu, dyktatur, kryzysów ekonomicznych czy zamieszek, tegoroczna fala protestów przechodząca przez kolejne państwa kontynentu urasta do największej mobilizacji społecznej od kilku dekad. Niektórzy komentatorzy próbują porównywać to do arabskiej wiosny, jednak mówienie o łacińskiej wiosnie byłoby zbyt prostym uproszczeniem. Bo choć powody, które skłaniają ludzi do wychodzenia na ulice, są często podobne, każde państwo zmaga się z własnymi problemami.

Prawdą jest, że w wielu przypadkach ostatecznym impulsem do ulicznych protestów okazywała się drobna sprawa, np. niewielka podwyżka cen biletów komunikacji miejskiej. To jednak tylko objaw o wiele poważniejszej choroby. Sedno problemu tkwi

rozwoju gospodarczego i ignorowanie, dopóki istniała nadzieja na wyższe płace i lepsze życie dla kolejnych pokoleń. Na początku XXI w. kontynent cieszył się stabilnym wzrostem i realną szansą zmniejszenia nierówności. Dlatego obecna przedłużająca się stagnacja sprawia, że cierpliwość społeczeństw się kończy. Napiętą sytuację podgrzewają też kolejne skandale korupcyjne. Amnesty International przeprowadziła we wrześniu sondaż dotyczący korupcji w krajach Ameryki Łacińskiej. 85% badanych twierdzi, że korupcja rządowa jest „dużym problemem” w ich kraju, 53% uważa, że korupcja wzrosła w ciągu ostatniego roku, a 57% przyznało, że władze nawet nie próbują z nią walczyć.

Kolumbia: policja na ulicach miast

21 listopada na ulice wyszli Kolumbijczycy. Powodów jest wiele: obniżenie podatków wielkim korporacjom, obniżenie pensji młodym ludziom (mieliby zarabiać 75% płacy minimalnej, bo podobno „nie zasługują” na więcej), zapowiedzi prywatyzacji

Model demokracji dla nielicznych, w której przeciętny obywatel nie ma gwarancji społecznych, w końcu się wyczerpuje.

w niskiej jakości usług publicznych. Dostęp do edukacji jest ograniczony, a szkoły publiczne mają z reguły niski poziom. Służba zdrowia jest niedofinansowana, a szpitale przepełnione (w Kolumbii szybciej można się doczekać dostawy pizzy niż ambulansu). Niskie emerytury spychają ludzi starszych na margines społeczeństwa. Podział na tych, którzy mają wszystko, i na tych, którzy ledwo wiążą koniec z końcem, zarysowuje się coraz bardziej. Przez lata nierówności były uważane za nieodłączną część

funduszy emerytalnych, szalejąca korupcja (szacuje się, że Kolumbia traci rocznie ok. 50 mln pesos w wyniku działań korupcyjnych), kiepska edukacja publiczna, nepotyzm na uczelniach i niezapewnienie bezpieczeństwa studentom i wykładowcom (zabójstwa oraz grabieże w białych dzień to chleb powszedni, a państwowe placówki są słabo chronione).

Czarę goryczy przelało jednak zbombardowanie obozu, w którym ukrywała się bojówka paramilitarna dowodzona przez byłego rebelian-

Antyrządowa demonstracja w Cali, trzecim co do wielkości mieście Kolumbii, 21 listopada br.



ta FARC Gildarda Cucha. Po fakcie wyszło na jaw, że w tym miejscu przebywało też kilkoro dzieci, które zginęły podczas operacji rządowej. Minister obrony Guillermo Botero po fali krytyki podał się do dymisji, ale prezydent Iván Duque Márquez utrzymuje, że nie wiedział o obecności dzieci w obozie. Tymczasem Herner Carreño, aktywista na rzecz praw człowieka, twierdzi, że ostrzegali kolumbijskie siły bezpieczeństwa o procedurze przymusowej rekrutacji dzieci przez grupy przestępcze.

Administracja prezydenta ściągnęła do większych miast, zwłaszcza do stolicy, liczne oddziały wojska i służb bezpieczeństwa. W porządkowych mediach trwała nagonka na organizatorów protestu. Mówiono, że osłabiają oni stabilność państwa, że zagrażają spokojnym Kolumbijczykom, dlatego policja ma prawo ich pacyfikować. Chodziło o zdyskredytowanie protestu w oczach tych, którzy wahali się, czy do niego dołączyć.

Aktywiści społeczni nie mają w Kolumbii łatwego życia. Studentka Jennifer Pedraza, która w jednym z programów telewizyjnych tłumaczyła powody strajku, dzień przed nim zaczęła otrzymywać groźby śmierci od jednej z bojówek. Organizacja INDEPAZ szacuje, że od początku



kadencji Ivána Duque zostało zamordowanych co najmniej 200 działaczy na rzecz praw człowieka. Dotychczasowy bilans zamieszek na ulicach to jedna ofiara śmiertelna – 18-letni Dilan Cruz, który właśnie skończył liceum.

Chile, Ekwador: neoliberalny sen pryska

A strajki trwają. Przybrały na sile 22 listopada. Prezydent obiecuje rozmowy z protestującymi, a nowo wybrana burmistrzyna Bogoty Claudia López apeluje do niego, by nie czekał dłużej na spotkanie z obywatelami. – Kolumbia może tego nie przetrwać – mówi López. Na razie władze centralne dopuściły wprowadzenie przez lokalnych polityków godziny policyjnej w regionach, co do złudzenia przypomina mechanizmy wykorzystywane przez władze Chile. Tam po miesiącu najbardziej intensywnych i krwawych protestów, jakie przeszły przez kraj od czasów dyktatury Augusta Pinocheta, prezydent Sebastián Piñera zgodził się na zmiany w konstytucji, obowiązującej w praktycznie niezmiennym formie od 1980 r., czyli od czasów dyktatury. Referendum odbędzie się w 2020 r. To jednak nie koniec

problemów. Masowe protesty w Santiago i innych miastach ze względu na swoją brutalność nie schodziły na swoją brutalność nie schodziły z czołówek zachodnich mediów (co nie zdarza się często; nie bez powodu Amerykę Południową nazywa się zapomnianym kontynentem). Około 20 osób straciło życie, 2 tys. rannych trafiło do i tak już przepełnionych szpitali, 7 tys. zostało zatrzymanych przez policję. Niepokoję doprowadziły

W Chile nierówności społeczne są największe.

do spadku wartości narodowej waluty. Władze nie przypuszczały, że niewielka podwyżka cen usług transportu publicznego wywoła taką burzę w kraju, który cieszy się statusem jednego z najbogatszych i najbardziej stabilnych politycznie w regionie, ba, kraju, który przez lata był wzorem dla polskich neoliberalistów, niezbitym dowodem, że reformy w duchu Milтона Friedmana działają.

Problem nie leży bowiem w droższych o kilka centów biletach. Już od dłuższego czasu coraz większej liczby Chilijczyków zwyczajnie nie stać na życie w swoim kraju. Wśród krajów OECD to Chile ma najwyższy poziom nierówności społecznych. Do tego dochodzą wysokie koszty

opieki zdrowotnej i lekarstw, niskie emerytury, niedofinansowany i słaby system edukacji. Beton powoli się kruszy. W połowie listopada parlament przegłosował obniżkę o 50% pensji polityków. Do tej pory zarabiali średnio 30-krotność pensji minimalnej, rekordziści nawet drugie tyle. To tylko pokazuje, że przed Chile jeszcze długa droga.

Oczekiwania swoich obywateli na pewno zawiódł prezydent Ekwadoru Lenín Moreno. Przejął władzę od Rafaela Correi i szedł po zwycięstwo z hasłem kontynuacji lewicowej polityki państwa opiekuńczego, którą prowadził jego poprzednik. Szybko jednak okazało się, że Moreno skłania się bardziej ku polityce cięć i neoliberalnemu podejściu do ekonomii.

Moreno jest też ulubieńcem Amerykanów. Zgoda na wykorzystanie przez USA wysp Galapagos jako lotniska wojskowego, silna współpraca z MFW czy opuszczenie UNASUR (Unia Narodów Południowoamerykańskich) – to wszystko sprawia, że ekwadorski prezydent jest cenny dla Waszyngtonu.

Tymczasem wyborcy poczuli się oszukani działaniami Morena. Czarę goryczy przelała decyzja o wycofaniu obowiązujących od 40 lat dopłat do cen paliw. Demonstracje na dwa tygodnie sparaliżowały kraj i pozbawiły życia siedem osób. Prezydent musiał nawet czasowo opuścić stolicę państwa – Quito. Starcia z policją, podobnie jak w Chile,

były wyjątkowo brutalne. W połowie października rząd zobowiązał się do odwołania pakietu posunięć oszczędnościowych forsowanego przez MFW jako ratunek dla ekwadorskiego budżetu. Jak to zwykle bywa, podwyżka najbardziej uderzyłaby w najbiedniejszych, czyli ludność autochtoniczną, która utrzymuje się głównie z rolnictwa – wyższe ceny paliwa oznaczałyby dla niej ogromny wzrost kosztów produkcji i transportu.

Zdjęcia z protestów w Chile, Kolumbii czy Ekwadorze obiegły światowe media głównie ze względu na brutalność. Policja i wojsko używają przeciw protestującym gumowych kul i gazu łzawiącego. Łatwo zostać ▶

► uznanym za osobę agresywną i tym samym stanowiącą zagrożenie. Czasem wystarczy krzyczeć, machać rękami i zwracać się bezpośrednio do funkcjonariuszy.

Wenezuela: Guaidó z poparciem Amerykanów

Ameryka Łacińska ma długą i burzliwą historię powiązań armii z polityką i rządów junty. W większości przypadków, dopóki przywódce wspierała armia, mógł zawsze spacyfikować protesty i zabezpieczyć swoją władzę. Tak wygląda sytuacja w Wenezueli. Pomimo bezprecedensowego ubóstwa, przestępczości i masowej migracji (ok. 4,5 mln ludzi już uciekło z kraju) armia pozostaje lojalna wobec prezydenta Nicolása Madura. Polityk zatem, mimo braku pomysłu na podniesienie kraju ze zgliszcz, nie musi się obawiać, że dosięgnie go gniew obywateli. Świat też coraz mniej już się interesuje Wenezuelą, jakby przyzwyczajony do codziennych nagłówków o zapaści ekonomicznej i ludzkiej niedoli. Sześciocyfrowa inflacja, przerwy w dostawie prądu, wody i benzyny są codziennością w całym kraju, ludzie umierają, gdyż brakuje podstawowych leków. Nie pomagają także amerykańskie sankcje, w tym nałożone na przemysł naftowy. W sierpniu Donald



Chilijska policja bardzo brutalnie traktuje manifestantów, Concepcion, 26 listopada br.

ok. 8 dol., jednak po doliczeniu łapówek ostateczna cena może wynosić od 100 do nawet 300 dol. W kraju, w którym 90% populacji pracuje za wynagrodzenie minimalne w wysokości ok. 6 dol. miesięcznie, to kwota astronomiczna.

Przez pewien czas wydawało się, że strajkowy efekt domina ominie Wenezuelę. Bo choć pomniejsze protesty odbywają się ciągle, dawno nie było demonstracji na wielką skalę. Spokój

go Amerykanie. By wzmocnić swoją pozycję, Juan Guaidó szukał poparcia nawet u amerykańskiej armii. W maju oświadczył, że poinstruował swojego wysłannika w Waszyngtonie, aby nawiązał stosunki z armią USA „w celu ewentualnej militarnej koordynacji”, co miałoby doprowadzić do ustąpienia Madura. Sam Trump mówił kilkakrotnie, że jeśli chodzi o usunięcie Madura ze stanowiska, „wszystkie opcje są na stole”. Na początku roku Amerykanie zwiększyli obecność militarną w sąsiedniej Kolumbii (stacjonują tam już od dwóch dekad), co przez niektórych uważane jest za przygotowanie do ewentualnej interwencji w Wenezueli.

Nicolás Maduro stwierdził, że w Wenezueli taka sytuacja jak w Boliwii nie będzie miała miejsca, gdyż jego rodacy obronią demokrację. Zwolennicy urzędującego prezydenta zorganizowali własną demonstrację, na której potępił protesty w Wenezueli i Boliwii, nazywając je amerykańską ingerencją w sprawy obu państw. Tymczasem Guaidó nie kryje zadowolenia z przewrotu w Boliwii. – Cieszę się, że Boliwia jest na drodze do demokracji – powiedział, co jest o tyle kontrowersyjne, że w starciach z policją na boliwijskich ulicach giną ludzie.

Boliwia: bohater czy persona non grata

Rządy Evo Moralesa, pierwszego w tym kraju prezydenta wywodzącego

Tymczasowa prezydentka Boliwii wydała dekret, który zwalnia armię z odpowiedzialności karnej za działania podejmowane w celu kontroli obywateli.

Trump podpisał rozporządzenie zamrażające wszystkie aktywa rządu Nicolása Madura. Sankcje zakazują również Amerykanom prowadzenia interesów z władzami w Caracas. Zdaniem cytowanego przez AP eksperta Geoffa Ramseya nowe sankcje dotyczą zwykłych obywateli i nasilają kryzys humanitarny, bo zachodnie banki nie podejmują się przetwarzania nawet legalnych transakcji (rozporządzenie przewiduje wyjątki dla dostaw żywności, leków i odzieży).

Wenezuelczycy to najszybciej rosnąca diaspora na świecie. Często uciekają z ojczyzny bez dokumentów potrzebnych do znalezienia pracy lub otrzymania pomocy w krajach docelowych. Wyrobień paszportu kosztuje

Madura zakłócił lider opozycji Juan Guaidó, który od mniej więcej roku prowadzi kampanię na rzecz usunięcia prezydenta ze stanowiska. W połowie listopada, podczas jednego z wieców, wezwał rodaków do wyjścia na ulice. – Nie mamy wyboru. Alternatywą jest śmierć, a my chcemy żyć – mówił. 16 listopada posłuchało go tysiące jego zwolenników i jeszcze raz zaprotestowało przeciwko nieudolnym rządowi Madura oraz katastrofie humanitarnej, w jakiej przyszło im żyć.

Po wygranej lewicy w Argentynie Guaidó stracił ważnego sojusznika w regionie, ale nadal może liczyć na prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro i prezydenta Kolumbii Ivána Duque. Przede wszystkim jednak popierają

się z ludności autochtonicznej, skończyły się po 14 latach. Dawniej uwielbiany, dziś odchodzi w atmosferze skandalu. Został oskarżony o sfałszowanie wyborów i choć zgodził się na ich powtórkę, wciąż zaprzeczając oszustwu, było już za późno. Stracił mandat społeczny. Zarzuty mataczenia skłoniły tysiące Boliwijczyków do wyjścia na ulice. W brutalnych walkach zginęło do tej pory ponad 30 osób. Morales początkowo nazwał protesty próbą zamachu stanu, ale po woli zaczął się wycofywać. Ostatecznie to armia „poprosiła”, jak to określił gen. Williams Kaliman, prezydenta o złożenie rezygnacji. Obecnie Morales przebywa w Meksyku.

– Kończymy państwo kolonialne i model neoliberalny – ogłosił Evo Morales, kiedy doszedł do władzy w 2005 r. Wprowadzone przez niego programy społeczne pomogły znacząco zmniejszyć ubóstwo i praktycznie zlikwidować analfabetyzm. Rdzenni mieszkańcy w końcu zyskali podmiotowość. Uznano ich języki za oficjalne, a od 2009 r. Wiphala, czyli symbol reprezentujący rdzenne narody Andów, jest oficjalnym symbolem narodowym na równi z flagą państwową. W czasach Moralesa ten jeszcze niedawno najbiedniejszy kraj Ameryki Południowej stał się pionierem rozwoju w regionie.

Jednak autorytarne zapędy prezydenta i dążenie do zmiany ładu konstytucyjnego pod siebie doprowadziły do pogrążenia się Boliwii w chaosie. Istnieje realna obawa, że dotychczasowe osiągnięcia mogą zostać przekreślone. Na ulicach trwają zamieszki, policjanci zrywają sobie Wiphalę z mundurów, służby bezpieczeństwa strzelają do protestujących. Będący do tej pory w opozycji przywódca prawicy triumfują. Wypełnili polityczną próżnię po Moralesie, a władzę przejęli z Biblią na ustach i nienawistną retoryką wobec ludności tubylczej. Tymczasowa prezydentka Jeanine Áñez wydała dekret, który zwalnia armię z odpowiedzialności karnej za działania podejmowane w celu kontroli obywateli. Adam Traczyk, publicysta i prezes think tanku Global.Lab, wprost nazywa ten dokument licencją na zabijanie. O wycofanie się z tej decyzji apeluje zdecydowanie Amnesty International.

Zmiany w Boliwii entuzjastycznie przyjęła administracja amerykańska. W oficjalnym oświadczeniu Trump

stwierdził, że odejście Moralesa ratuje demokrację w Boliwii i daje Boliwijczykom nadzieję na to, że ich postulaty zostaną wysłuchane. Dodał, że wydarzenia w Boliwii „wysyłają silny sygnał nielegalnym reżimom w Wenezueli i Nikaragui, że demokracja i wola ludu zawsze będą dominować”. – Jesteśmy teraz o krok bliżej do całkowicie demokratycznej, dostatniej i wolnej zachodniej półkuli – mówił. Reakcję Trumpa potępiła część deputowanych Kongresu, w tym Alexandria Ocasio-Cortez, Ilhan Omar i Ayanna Pressley. W specjalnym liście do sekretarza stanu Mike’a Pompea kongresmeni stwierdzili, że pozytywną reakcją na wydarzenia w Boliwii, które mają znamiona zamachu stanu, prezydent Trump jedynie

By wzmocnić swoją pozycję, Juan Guaidó szukał poparcia u amerykańskiej armii.

przyczynia się do eskalacji konfliktu politycznego i kryzysu humanitarnego. Sygnatariusze listu zarzucili politykom z otoczenia Trumpa, że nie potępił przemocy stosowanej przez służby wobec protestujących (często ludności autochtonicznej i zwolenników Moralesa). W dokumencie mówi się też o roli zdominowanej przez USA Organizacji Państw Amerykańskich (OPA), która miała się przyczynić do przewrotu politycznego w Boliwii. OPA wydała wiele oświadczeń kwestionujących rzetelność wyborów prezydenckich w Boliwii 20 października, które Morales wygrał w pierwszej rundzie. Centrum Badań Ekonomicznych i Politycznych (CEPR) stwierdziło, że informacje OPA o nieprawidłowościach w liczeniu głosów nie miały podstaw.

„Nieuzasadnione i wprowadzające w błąd oświadczenia złożone przez OPA w Boliwii 21 października, które następnie zostały powtórzone przez Departament Stanu, przyczyniły się do dalszej polaryzacji, w momencie gdy w całym kraju miały już miejsce brutalne, motywowane politycznie incydenty”, piszą politycy w liście do Mike’a Pompea.

Masowych protestów przetaczających się przez Amerykę Łacińską nie da się łatwo wpisać w ogólny trend „ruchu oburzonych”, który obecnie przybiera na sile w Iranie, Iraku czy Hongkongu. Poszczególne społeczeństwa Ameryki Łacińskiej od lat przeżywają rozczarowania kolejnymi rządami. Mają dość łamania obietnic i poczucia, że ich los nikogo nie obchodzi. Ze wszystko rozgrywa się ponad ich głowami i jest elementem tortu (z którego nic nie skapuje, jak chcieliby neoliberalowi) dzielonego między zaprzyjaźnionych biznesmenów i polityków. Protesty, które obserwujemy, nie są spontanicznym zrywem spowodowanym jedną złą decyzją, ale ostatecznym wyrazem niezadowolonia, a nawet wściekłości od lat wzbierającej w mieszkańcach poszczególnych krajów. Podłoże strajków jest zatem głębokie. Nic dziwnego. Napięcia dojrzewały przez lata. Model demokracji dla nielicznych, w której przeciętny obywatel nie ma gwarancji społecznych, w końcu się wyczerpuje. Czas pokaże, czy odpowiedzią elit będzie dialog, czy zamordyzm.

Katarzyna Mierzejewska

Trzech na jednego z prof. Grzegorzem Kołodką – otwiera najnowszy numer „ZDANIA”. A w nim jeszcze m.in. Adam Bodnar „Mogę mniej niż moi poprzednicy”. Prof. Andrzej Mencwel tłumaczy, dlaczego tak cicho o klasach społecznych, a Jarosław Dobrzański, dlaczego dominuje „Filozofia ekonomii antyspołecznej”. Prof. Nina Kraśko „Jak powstał kult Romualda Rajsa »Burego«” i prof. Andrzej de Lazari o Rosji Andrzeja Walickiego.

„Zdanie” do kupienia w salonikach Empiku.





Pigułka śmierci

Kilkanaście dni temu na północno-zachodnim wybrzeżu Hiszpanii władze odkryły pierwszy w Europie przypadek przemytu przy użyciu narkotykowej łodzi podwodnej.

W Europie
niebezpiecznie
rośnie liczba zgonów
spowodowanych
przedawkowaniem
narkotyków

Mateusz Mazzini

Estończycy to naród mały, ale bardzo dumny. A powodów do odczuwania tego kolektywnego stanu ducha mają akurat bardzo dużo. Ta bałtycka republika z ledwie 1,3 mln mieszkańców regularnie zajmuje czółowe miejsca we wszelkiego rodzaju zestawieniach mierzących sukcesy rozwojowe czy zadowolenie obywateli z życia. Według danych OECD analfabetyzm wśród osób dorosłych kształtuje się tam na poziomie 0,2%, a badania jakości edukacji PISA plasują estońską oświatę na pierwszym miejscu w Europie i trzecim na całym świecie. Powszechnie dostępny, szybki i darmowy jest w Estonii internet, przez który zrobić można wszystko, od błyskawicznego założenia firmy, poprzez uzyskanie rezydentury gospodarczej, aż po oddanie głosu w wyborach. Oceniając ten kraj wyłącznie przez pryzmat rankingowych sukcesów,

można by dojść do wniosku, że mimo trudnego, poradzieckiego rodowodu udało się tam stworzyć współczesne państwo idealne.

Taki obraz byłby jednak niepełny, bo Estonia prowadzi też w innym rankingu, znacznie mniej chlubnym. To tam w stosunku do liczby mieszkańców najwięcej osób w całej Europie umiera z powodu przedawkowania narkotyków. Według danych Europejskiego Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii (EMCDDA) w roku 2017, za który wyniki badań właśnie opublikowano, w Estonii z powodu przyjęcia zbyt dużej ilości środków odurzających zmarło 110 osób. Przeliczając to na bardziej popularny i statystycznie reprezentatywny wskaźnik śmierci na milion mieszkańców (w wieku od 15 do 64 lat, jak nakazuje metodologia EMCDDA), oznacza to 130 zgonów z przedawkowania. Jeszcze dekadę temu liczba ta

lują w granicach połowy estońskiego wyniku.

Skąd zatem estoński kryzys przedawkowań? Wstępne badania pokazują, że najwięcej zgonów było skutkiem nie tyle przyjęcia zbyt dużej ilości narkotyków, ile ogólnoustrojowych zatrueń wywołanych obecnymi w nich chemikaliami przemysłowymi. Dimitris Awramopulos, odchodzący komisarz europejski ds. migracji, do kompetencji którego należy również nadzór nad europejskimi programami walki z uzależnieniem od narkotyków, zwraca uwagę, że obecne fale zgonów po przedawkowaniu nie mają już wiele wspólnego z chociażby tymi z lat 90. Wówczas w niektórych latach liczby bezwzględne zgonów bywały wyższe niż teraz, jednak najczęściej wynikały z dosłownego przedawkowania klasycznych twardych narkotyków – na tym polu królowały kokaina i heroina. Dziś często

To w Estonii z przedawkowania narkotyków umiera w stosunku do liczby mieszkańców najwięcej osób w całej Europie.

była dwa razy mniejsza. W dodatku Estończycy nie tylko prowadzą w zestawieniu, ale też zostawiają konkurencję daleko w tyle. Druga Norwegia ma 92 zgony na milion mieszkańców, a trzecia Szwecja – 74. Kolejne kraje: Wielka Brytania, Irlandia i Dania, oscy-

bardzo trudno określić substancję będącą bezpośrednią przyczyną zgonu, bo w modzie jest mieszanie narkotyków albo nawet ich produkowanie na własną rękę. To powoduje kolejną komplikację w zapobieganiu uzależnieniom – coraz rzadziej ludzie stają

się zależni od jednej, dobrze znanej i od dawna zdelegalizowanej substancji. Zamiast tego rośnie grono osób zażywających zamiennie kilka produktów o podobnym działaniu, substancji, które najczęściej same w sobie nie są nielegalne, sankcjonuje się tylko ich dawkowanie. A to uzależnieni przekraczają kilka-, czasami nawet kilkunastokrotnie.

To właśnie opioidy, mające działanie znieczulające, przeciwbólowe, ale przy zbyt dużej i częstej konsumpcji również silnie uzależniające i odurzające, są najczęstszą przyczyną zgonów z przedawkowania w Estonii,

Goosdeel ostatnią prezentację raportu EMCDDA zakończył życzeniem, by stał się on dzwonkiem ostrzegawczym dla rządzących w Europie, którzy jego zdaniem wciąż za bardzo skupiają się na coraz bardziej przestarzałej walce z gangami i przemytnikami, ignorując narkotykowe zagrożenie w sieci.

Internet oferuje bowiem ogromne możliwości, jeśli chodzi o nabywanie zarówno produktów końcowych, jak i składników niezbędnych do ich wytworzenia. I stanowi coraz większą konkurencję dla tradycyjnych form dystrybucji. Same opioidy to 27% narkotyków sprzedawanych w Europie.

Hitem w Europie stał się fentanyl, środek przeciwbólowy aż 50 razy silniejszy od klasycznej heroiny.

ale też w innych krajach Europy: Szwecji, Irlandii, Danii. Choć technicznie do tej grupy zalicza się także heroina, dane z europejskiego monitoringu narkotykowego pokazują, że i tę substancję w czystej formie coraz trudniej spotkać na naszym kontynencie. Alexis Goosdeel, dyrektor EMCDDA, zauważa jednak, że – inaczej niż w przypadku kryzysu opioidów w USA – przyczyn tego zjawiska nie należy szukać w wadliwie działającym systemie farmaceutycznym. Europejskie opioidy pochodzą bowiem najczęściej z nielegalnych źródeł i są domowymi, wzbogacanymi wersjami leków znanych ze Stanów Zjednoczonych. Do odbiorców trafiają albo poprzez zwykłe portale aukcyjne, gdzie są reklamowane jako suplementy diety, albo przez tzw. *dark web*, czyli trudne do wyśledzenia, szyfrowane adresy internetowe. W ostatnich latach modne stały się też komunikatory internetowe o wzmocnionych zabezpieczeniach, przede wszystkim Telegram. To na specjalnie tworzonych na tej platformie wątkach i czatach hitem w Europie stał się fentanyl, środek przeciwbólowy oferowany przez dilerów w bardzo przystępnych cenach, a jednocześnie aż 50-krotnie silniejszy w działaniu od klasycznej heroiny.

Migracja dilerów do sieci to duży problem dla władz publicznych i organów ścigania, bo nawet jeśli mają one w obszarze cyfrowym właściwe kompetencje do wytropienia handlarzy opioidami, często brakuje im zasobów – ludzkich i finansowych – do ścigania ich poza internetem. Dlatego

A rynek ten, według różnych szacunków, może być wart całościowo od 30 do nawet 50 mld euro.

Choć najczęściej przedawkowań zdarza się w Estonii i krajach skandynawskich, finansowym królem internetu europejskiego imperium narkotykowego jest Wielka Brytania. Tamtejsi handlarze, według danych brytyjskiej policji i Interpolu, mieli w ubiegłym roku wypuścić na kontynentalny rynek towar o łącznej wadze 2,8 tony i wartości 24 mln funtów. Drudzy w tym zestawieniu są Niemcy, którzy wprowadzili samych narkotyków sprzedali więcej (3,1 tony), ale o niższej sumarycznej wartości (16 mln

Łódzie przemytnicze mogą pokonać cały Atlantyk i blisko wybrzeży Europy przekazać ładunek innej jednostce.

funtów). Sytuacja na Wyspach jest o tyle niebezpieczna, że przedawkowań przybywa tam w zaskakującym tempie. Jak informuje tamtejsze Narodowe Biuro Statystyk (ONS), w 2018 r. w Wielkiej Brytanii z powodu zażycia zbyt dużej ilości substancji odurzających zmarło 4359 osób, najwięcej od kąd zaczęto prowadzić ogólnokrajowe statystyki w tej dziedzinie. Prof. Ian Hamilton, specjalista od uzależnień i badacz rynku narkotykowego z Uniwersytetu w Yorku, jest zdania, że coraz łatwiejszy dostęp do opioidów, pojawienie się tanich i mocniejszych substytutów klasycznych twardych narkotyków, a także zalew Wysp przez tanią heroinę z Afganistanu mogą doprowadzić Wielką Brytanię na skraj

epidemii przedawkowań. Hamilton nie wyklucza wręcz skali porównywalnej z tą w Stanach Zjednoczonych, gdzie rocznie z powodu zatrucia narkotykami umiera przeszło 50 tys. osób.

Nie wszędzie jednak winę za wzrost liczby przedawkowań ponoszą opioidy i internet. Są w Europie kraje, gdzie wciąż najwięcej osób przedawkowuje narkotyki „starej daty” – heroinę i kokainę. Nie zmieniają się trendy konsumpcyjne, zmieniają się za to sposoby dostarczania towarów na krajowy rynek. Do takich miejsc należy Hiszpania, która coraz mniej skutecznie radzi sobie z przemytem narkotyków afrykańskich i latynoamerykańskich trafiających głównie przez Malagę, Alicante i Gibraltar na południu oraz wybrzeże na północnym zachodzie. Właśnie tam kilkanaście dni temu hiszpańskie władze odkryły pierwszy w Europie przypadek przemytu przy użyciu narkotykowej łodzi podwodnej. Coraz popularniejsze w Ameryce Południowej i Środkowej łodzi pojawiły się też na Starym Kontynencie. Produkowane najczęściej w Surinamie i Gujanie Francuskiej, mają ok. 22 m długości i są w stanie pomieścić nawet 3 tony kokainy. Do obsługi takiego miniaturowego podwodnego potrzebują dwóch-trzech osób, szkolonych najczęściej kilka dni przed wypłynięciem w trasę. Łódzie przemytnicze mogą pokonać cały Atlantyk i blisko wybrzeży Europy, choć wciąż na peł-

nym morzu, przekazać ładunek innej jednostce. Ich załogi zabiera się wówczas na pokład, a łódzie zatapia. I choć wykonanie jednej kosztuje aż 1,5 mln dol., zysk z wypuszczenia na rynek 3 ton kokainy i tak przewyższa te koszty.

Europa staje na progu nowej fali narkotykowych śmierci. Zmieniają się technologie produkcji i przemytu, sposoby dystrybucji i rodzaje substancji, jednak śmiertelne żniwo pozostaje takie samo. Władze krajowe i unijne muszą kryzysowi przedawkowań nadać status priorytetowy, bo od alarmujących statystyk do epidemii ogromnych rozmiarów, porównywalnej z amerykańską, często dzieli nas jedna pigułka. ■

Trauma po zamachu na prezydenta

Pod wpływem prawicowej propagandy Narutowicz stał się obiektem masowej nienawiści. Zamach był już rzeczą wtórną

Maciej J. Nowak

Zdarzenia związane z tragiczną śmiercią Gabriela Narutowicza łączą się ze swoistą narodową traumą. Zaryzykujmy tezę, że polityczna i społeczna otoczką zamachu przyczyniła się do tej traumy w jeszcze większym stopniu niż sam zamach. Ludzie zabijający w imię domniemych wartości wyższych zdarzają się w każdym społeczeństwie. Tak samo zdarza się, że ofiarami owych zamachów padają politycy wyjątkowo prawi i szlachetni, jak Gabriel Narutowicz. Ale od grudnia 1922 r. do co najmniej marca 1923 r. smutnym fenomenem było przede wszystkim to, co się działo w życiu publicznym II Rzeczypospolitej.

Hejt w II RP

Nagonka rozpętana po niespodziewanym wyborze Narutowicza jest stosunkowo dobrze znana. Oto ludzie podpuszczeni przez część polityków i publicystów wyszli na ulice, nie tylko wznosząc antysemityczne, wręcz faszystowskie hasła, ale także uciekając się do przemocy fizycznej. W dniu zaprzysiężenia obrzucono prezydenta elektą błotem, śniegiem i lodem, a na wielu parlamentarzystów urządzano prawdziwe polowanie. Ignacy Daszyński z Bolesławem Limanowskim zabarykadowali się przed napastnikami na placu Trzech Krzyży. Najlepiej chyba przedstawiła tamte chwile żona Józefa Piłsudskiego, Aleksandra. „Byłam wtedy w mieście. W ścisiku nie mogłam się prawie ruszyć. Z jednej strony parla na mnie stara, przygłucha chłopka, która bez przerwy pytała, o co chodzi, z drugiej – gruba, wielka służąca. Ta ostatnia, z czerwoną twarzą – podrygiwała całym ciałem, wymachując pięściami i krzycząc: »Precz z Narutowiczem! Precz z Żydem!«. Gdy jej zabrakło oddechu, powiedziałam, że znam dobrze rodzinę Narutowiczów;

nikt z nich nie pochodził z Żydów. Ale to był groch o ścianę. Za chwilę znowu zaczęła wrzeszczeć: »Żydzi nie będą nami rządzić!«. Skończyło się na tym, że wszyscy dookoła mnie krzyczeli i przeklinali w podobny sposób”, wspominała ten dzień. Wyzwolili się najgorsze żywioły. Co ciekawe, prawicowa strona patrzyła na to wszystko z ogromną wyrozumiałością jako na może trochę nadmierne wybryki młodych, ideowych chłopców.

Z perspektywy późniejszej tragedii to bardzo trudne, ale spróbujmy zrozumieć, co kierowało protestującymi. Nie znali dobrze reguł demokracji i umiejętnie urabiani uwierzyli, że dopiero co odrodzona ojczyzna znalazła się w śmiertelnym zagrożeniu. Narutowicz piastował co prawda funkcje ministerialne, ale nie był powszechnie znany. A z nieznanego znacznie łatwiej zrobić wcielenie wszelkiego zła. Zwłaszcza że elekt

cydowanie mniejszej skali, była więc zauważalna również u nas.

Dochodzi tu jeszcze jeden czynnik. Coś, co zwłaszcza dzisiaj budzi bardzo ponure skojarzenia i co warto szczególnie mocno podkreślić ze współczesnej perspektywy. Józef Piłsudski relacjonował pierwsze swoje spotkanie z Narutowiczem po wyborze. Prezydent przechodził powoli nad manifestacjami do porządku dziennego, próbował nawet z nich żartować. Bulwersowało go jednak coś innego, czemu dał wyraz właśnie w trakcie spotkania z marszałkiem. Pokazał mu listy, które zaczął otrzymywać, anonimowe „pełne brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, gróźb”. Piłsudski ponuro na to się roześmiał, informując zdziwionego rozmówcę, że sam od dawna dostaje znacznie gorsze. I że takie ataki obejmują wszystkich najbliższych i przyjaciół Narutowicza. Hejt nie jest owocem rozwoju techniki, portali

Zabójstwo Narutowicza, obok późniejszej działalności ONR, stanowiło jedno z głównych oskarżeń wobec II Rzeczypospolitej.

zawdzięczał wybór m.in. głosom parlamentarzystów z mniejszości narodowych. Bez problemu i błyskawicznie wmówiono więc Polakom, że to agent mniejszości i zdrajca. Jedną z najbardziej błyskotliwych diagnoz tamtych zdarzeń sporządził po latach Karol Wiktor Zawodziński. Widział on trzy przyczyny owych zdarzeń: wstrząs narodu, konstatającego właśnie, że realna Polska nie ma nic wspólnego z marzeniami, odruch dumy narodowej (dodajmy, niezbyt dobrze rozumianej) i niechęć znacznej części społeczeństwa do nadmiernie lewicowych w jego przekonaniu regulacji prawnych (ujmując to inaczej, manifestacje stanowiły jedyny zauważalny objaw kontrrewolucji). Dodajmy jednak, że ta diagnoza niebezpiecznie przypomina opisywane powody późniejszego dojścia do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera. Swoista „dżuma”, oczywiście w zde-

społecznościowych. Identyczna tendencja funkcjonowała w idealizowanym dziś 20-leciu międzywojennym. Trzeba dodać, że akurat Piłsudski mógł budzić różne emocje: nie wahał się podejmować kontrowersyjnych działań. Ale Narutowicz? Był chyba jednym z najbardziej prawych ludzi, którym przyszło piastować funkcję głowy państwa. Wybitny specjalista o wielkiej międzynarodowej renomie, który porzucił karierę zawodową dla pracy w odrodzonej ojczyźnie i który w trakcie całej swojej (krótkiej) politycznej kariery dążył do porozumienia z inaczej myślącymi. I taki człowiek, niejako na komendę, stał się obiektem masowej nienawiści.

Nie wszyscy płakali po prezydencie

Sam zamach był już rzeczą wtórną. Zdarzył się człowiek, sfrustrowa-



Gabriel Narutowicz żalił się Piłsudskiemu, że dostaje listy pełne inwektyw i gróźb.

ny zawodowo, zapewne życiowo niespełniony, który najpierw planował zabić Piłsudskiego. Jak sam twierdził, po wyborze Narutowicza przeniósł swój wcześniejszy zbrodniczy zamiar na nową głowę państwa. Także dzisiaj próbuje się jego czyn odcinać od wcześniejszego prawicowego podżegania. Najczęściej – na podstawie bardzo fragmentarycznych i wątpliwych opinii – robi się z niego wariata, za którego nikt nie może odpowiadać. Nie do końca tak było. Niewiadomski, jak wspominali jego znajomi, był bardzo podatny na słowo pisane, a ulubionym jego dziennikiem była „dwugroszówka” („Gazeta Poranna 2 Grosze”) – swego rodzaju prawicowy tabloid, w którym po wyborze Narutowicza publicystycznie królował ks. Kazimierz Lutostawski. Ten zaangażowany polityk i piewca pięknych wartości skautingu perorował wówczas: „Jak śmieli żydzi narzucić Polsce swojego prezydenta? Jak mógł Witos rzucić głosy polskie na żydowskiego kandydata? (...) Od chwili wyborów było jasne, że sto kilkanaście głosów mniejszości narodowych stanie się w ręku żydów groźnym narzędziem walki o narzucenie Polsce ich woli”. Podobną kampanię w dzienniku „Rzeczpospolita” prowadził Stanisław Stroński. Po latach, w czasie II wojny światowej,

wyznał on zarówno Janowi Lechoniowi, jak i Adamowi Pragierowi, że żałuje swojego zachowania w 1922 r., więcej, że to był jego największy życiowy błąd.

Również inne akty antyprezydenckiej kampanii miały znaczący wpływ na zbrodnię. Tezą zbyt daleko idącą byłoby głoszenie, że demonstranci z połowy grudnia 1922 r. pragnęli śmierci Narutowicza. Szerzej natomiast można ocenić reakcje społeczne po zamachu. W przeważającym

ski był człowiekiem nie zrównoważonym, za którego nikt nie może odpowiadać. Jednak już pogrzeb Narutowicza nie wyglądał tak dostojnie, jak z dzisiejszej perspektywy można by się spodziewać. Z różnych relacji wynika, że zgromadzili się na nim nie tylko żałobnicy, ale również całkiem spore grupy osób zadowolonych z zamachu, niewstydzących się nadmiernie głośno wyrażać swoich poglądów. Zresztą takie tendencje były zauważalne w różnych warstwach

Ulubionym dziennikiem Niewiadomskiego była prawicowa „Gazeta Poranna 2 Grosze”, w której publicystycznie królował ks. Kazimierz Lutostawski.

zakresie były one szlachetne. Żal wyrażały rzesze ludzi, przedstawiciele różnych zawodów, samorządowcy, nawet związki lokatorów. Ale, delikatnie to ujmując, nie wszyscy płakali po prezydencie.

W pierwszym odruchu część prawicowych polityków bardziej niż zamachem przeraziła się tym, że nowe okoliczności polityczne mogą zaszkodzić ich formacji. I w tak dramatycznym momencie przede wszystkim oburzali się na oskarżenia o współodpowiedzialność za tragedię. W pierwszych dniach po zamachu utrzymywali, że Eligiusz Niewiadom-

ski był człowiekiem nie zrównoważonym, za którego nikt nie może odpowiadać. Jednak już pogrzeb Narutowicza nie wyglądał tak dostojnie, jak z dzisiejszej perspektywy można by się spodziewać. Z różnych relacji wynika, że zgromadzili się na nim nie tylko żałobnicy, ale również całkiem spore grupy osób zadowolonych z zamachu, niewstydzących się nadmiernie głośno wyrażać swoich poglądów. Zresztą takie tendencje były zauważalne w różnych warstwach

Egzekucja na koniec balu

Tendencje niechęci do prezydenta nasiliły się w czasie procesu Niewiadomskiego. Okazało się wówczas, że morderca nie był przypadkowym wariatem, ale człowiekiem, który swój zamiar dokładnie przemyślał i liczył się z jego konsekwencjami. Dla siebie żądał kary śmierci. Rzecz

jasna, niesprawiedliwym uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że cała prawica uległa wówczas fascynacji dziwnym malarzem. Jednak bardzo dużą jej część – zarówno jeśli chodzi o polityczne elity (czy rzeczywiście elity?), jak też elektorat – Eligiusz Niewiadomski, na pewien przynajmniej czas, uwiódł. Adolf Nowaczyński w felietonie w „Myśli Narodowej” wyznawał: „Dziś o nim pisać nie można ani się nie godzi, gdyż tak jakby należało, jakby trzeba świeżo pod druzgocącym, upokarzającym wrażeniem, jakby dyktowało serce i sumienie, przecież pod żadnym warunkiem nie należy. Pod żadnym warunkiem. Ale przyjdzie czas”. Czekając na ten moment, dodawał jednak, że Niewiadomski to „twarda dusza, bohaterska dusza”. Endecki polityk Juliusz Zdanowski w przeddzień egzekucji Niewiadomskiego notował: „Zdarzenie tragiczne, że właśnie na dzień dzisiejszy przypadł bal Młodzieży Wszechpolskiej. Właśnie na tę noc, u końca której będzie ginął w Cytadeli pierwszy idealista nowej Polski z rąk własnych współobywateli, z wyroku własnego społeczeństwa. Za zbyt wielkie poczucie narodowe!”.

Na pogrzebie Narutowicza zgromadzili się nie tylko żałobnicy, ale również sporo osób z zamachu zadowolonych.

Na tym nie koniec. Pogrzeb Niewiadomskiego zgromadził 10 tys. żałobników. „Przeważały warstwy biedniejsze. Nastrój tłumu był niezwykle skupiony i poważny. Po przybyciu do grobu odprawiono modły. Na trumnie zmarłego widniała tabliczka z napisem »śp. Eligiusz Niewiadomski – żył lat 53, zm. 31 stycznia 1923«. Rozlegał się płacz i łkanie kobiet. (...) Gdy trumnę spuszczano do grobu, zaległa wśród tłumu na chwilę zupełna cisza. Jeden z uczestników odpiął Krzyż Walecznych z własnej piersi i rzucił do grobu, zaznaczając, że miał tę odznakę za ciągłą służbę wojskową na froncie. (...) Zauważyliśmy następujące napisy na szarfach: »Nieśmiertelnemu bohaterowi – od rodziny Błęszyńskich«, »Eligiuszowi Niewiadomskiemu – Związek Młodych Młoda Polonia«, donosiła „Gazeta Poranna 2 Grosze”. Liczni duchowni demonstracyjnie odprawiali

nabożeństwa za zmarłego, a rodzice dawali urodzonym wtedy dzieciom imię po zamachowcu.

Kolejne rocznice egzekucji stanowiły pretekst do pielgrzymek na grób zamachowca. Jedną z nich zaobserwował Wincenty Witos. „Tłumy owe składają się ze wszystkich sfer Warszawy. W jedną z tych rocznic udałem się z ciekawości (na miejsce) wraz z posłem Bednarczykiem. Po zachowaniu się ludzi widać

Także dzisiaj próbuje się czyn Niewiadomskiego odcinać od wcześniejszego prawicowego podżegania.

było, że oni go uważają co najmniej za świętego”, pisał we wspomnieniach. Dodajmy, że adwokat Niewiadomskiego, Stanisław Kijeński, po zamachu również przyczynił się do propagowania myśli swojego klienta. Choćby poprzez publikację zapisu procesu. Przy okazji napisał życiorys skazańca, w którym spróbował narzucić sprytną narrację, możliwą do oficjalnego forsowania. Przy okazji „zapominał” o głównym czynie Niewiadomskiego, eksponując i koloryzując jego wcześniejsze życie. Wytaniał się obraz człowieka

wojny światowej jeden z głównych powodów rozłamu wśród skamandrytów i powolnej afirmacji przez Tuwima i Słonimskiego porządku pojałtańskiego. Tragiczne zdarzenia z grudnia 1922 r. znajdują odzwierciedlenie w twórczości innych literatów, choćby powracającego do tego w różnych książkach wspomnianych Kazimierza Brandysa.

Trauma ta trwa do dziś. Co prawda, obecnie to raczej echo dawnych

emocji i zdarzeń, ale wciąż zauważalne w debacie publicznej.

Nie można snuć przesadnych analogii między zamachem na Narutowicza a zamachem na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Inne postacie, inny kontekst, inni zabójcy. Na szczęście również nie ma obecnie zdarzeń przypominających te związane z kultem Niewiadomskiego. Zwraca uwagę coś innego. Co prawda, nie mamy jeszcze dużej skali demonstracji z jawnie antysemitkami hasłami, nie ma raczej burd nastawionych na fizyczny atak na inaczej myślących, ale mimo wszystko w życiu publicznym, zwłaszcza debatach medialnych i tych prowadzonych na komunikatorach społecznych, coś z grudnia 1922 r. pozostało. Wspomniany wyżej Zawodziński pisał w tamtym kontekście o źle rozumianym odruchu narodowej dumy. Mamy z tym do czynienia również dzisiaj. Łączy się to z ogromną dawką nienawiści, której przejawy przeciętny użytkownik internetu znajdzie w stopniu znacznie większym niż polityk dostający anonimów w czasach II RP. Bez trudu również znajdziemy następców zapamiętałych w gniewie i politycznej walce publicystów. Odwołując się do historycznych przykładów, możemy dodać na pocieszenie,

że niektórzy zapewne zdążą kiedyś się zreflektować. Czy jednak nie będzie już wtedy za późno?



Maciej J. Nowak jest autorem książki *Narutowicz. Niewiadomski. Biografie równoległe*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa, 2019

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Co jakiś czas wraca do mnie zapamiętana przed laty wypowiedź Zadie Smith, brytyjskiej pisarki o jamajskich korzeniach ze strony matki. Podróżując kilkakrotnie po Polsce, autorka „Białych zębów” doznawała wstrząsu – jak twierdziła, nigdzie indziej nie widziała czegoś równie dziwnego i niespotykanego. Tym, co tak zdumiało Brytyjkę urodzoną w Londynie (na Wyspach określano ją słowem „czarna”, w Afryce była „biała”), okazał się fakt, że na mijanych po drodze boiskach w piłkę grali wyłącznie biali chłopcy. „Czegoś równie nieprawdopodobnego nie widziałam nigdzie na świecie”, kręciła głową pisarka.

Cóż, to co dla nas niewidoczne, czemu nie poświęcamy uwagi, namysłu – dla innych jest niepojęte. Truizmem będzie przypomnienie, że Polska po II wojnie światowej stała

się akty przemocy. Na tym podglebiu wyrastają jak sromotniki relikty dawnych polskich postendeckich rasistów, ze swoim dmowszczańskim zawołaniem: „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie”. Dzisiaj te wykopaliska polityczne zasiadają decyzją ponad miliona wyborców w polskim Sejmie. Politycy Konfederacji obeszlili Prawo i Sprawiedliwość z prawej, skrajnej flanki, jak to niemal zawsze się dzieje, na nic geniusz i flirtowanie z radykalizmem skrajnej prawicy. I tak przez najbliższe cztery lata będą ci udawacze antysystemowości grać kartą „prawdziwego Polaka”, którego sobie sami wyobrażają. Poseł Winnicki z brawurą godną lepszej sprawy wydał z siebie poniższy komunikat: „Żadne problemy na rynku pracy, skądinąd poważne i trudne, nie mogą przesłonić nam faktu, że zachowanie spójności kulturowej, etnicznej

terytorium, to być może trzeba nieco spowolnić tworzenie nowych miejsc pracy, dopóki nie urodzi się więcej dzieci”. Takich to tytanów gospodarczo-pronatalnych przychodzi nam oglądać w parlamencie.

Ale w cieniu tych wynurzeń można zaobserwować jeszcze coś ciekawszego. Kiedy konfederaci żonglują endeckimi kliszami, nie spotykają się prawie wcale z reakcją liberalnych, „opozycyjnych” mediów. Kiedy jednak przedstawiciele lewicy, czy to SLD, czy Razem, wspomną o nowoczesnych, współczesnych rozwiązaniach ekonomicznych zapętlenia niewydolnego państwa, rozlega się krzyk oburzenia i festiwal inwektyw. I tak twardej nacjonalistycznej wygadują, co chcą, a łagodni socjaldemokraci zostają Stalinami i Berią w jednym. Ten strach przed lewicą w połączeniu z ewidentnie rosnącą w siłę lewicową

Ziemia, planeta Polaków

się krajem skrajnie homogenicznym, jeśli chodzi o kolor skóry, język, religię, obyczaj. Mozaikowość i różnorodność odeszła z dymem krematoriów, w trakcie wojennej zawieruchy i na skutek politycznych przetasowań mocarstw ustanawiających nowe granice. Wysiedlenia i emigracje dokonały reszty. I tak było przez niemal całą PRL. W ostatnich latach, wbrew retoryce rządzących, polityka sprzyja przyjmowaniu imigrantów z odległej Azji, Indii, Pakistanu i krajów „wojennych”, takich jak Afganistan, Irak, Czeczenia. O niemal – a czasami mówi się, że ponad – milionowej rzeszy Ukraińców nie wspominając.

Polski rynek zatrudnienia, zdemolowany wyjazdami Polaków na zachód Europy po wejściu do Unii i marnymi wynagrodzeniami na miejscu, łaknie rąk do pracy jak kania dżdżu. I te ręce przybyszów i przybyszek się znajdują, i są ważne i konieczne. Równocześnie rozbrzmiewa wroga, nienawistna retoryka, mnożą

oraz religijnej jest najważniejszym wyzwaniem dla naszego narodu”.

Z posłem Winnickim nie łączy mnie żadne poczucie spójności kulturowej ani religijnej, o etnicznej nie będę się wypowiadać, bo w przeciwieństwie do III Rzeszy nie dysponuję tu żadnymi, nawet pseudo, kryteriami. Mogę powiedzieć więcej: nawet sobie nie wyobrażam, że mógłbym podzielać takie poczucie spójności, a tym bardziej podobne oczekiwanie wobec innych zamieszkujących Polskę czy to obywateli, czy gości.

Tak oto, dzięki przesuwaniu całego spektrum politycznego w prawo, udało się polskiej prawicy, i tej piśmowskiej, i tej platformianej, wyhodować czystego polskiego rasistę narodowego. Jego cyniczny współklubowicz, poseł Krzysztof Bosak, sugeruje, że „jeśli rynek pracy i gospodarka rozwijają się bardziej dynamicznie niż sama populacja narodu polskiego, zamieszkująca polskie

agendą i propozycją polityczną, rozkwitającą na ugorze po POPiS, owocuje histeryczną reakcją. A Polska nie ma już na to czasu. Ani na histerię, ani na bezmyślność, ani na nacjonalizm. Świat jest gdzie indziej. A Polska leży na planecie Ziemia. I chociaż, wbrew temu, co chciałby Andrzej Duda, kula ziemiska nie jest „polska”, to nie ma co zawracać Wistę kijkiem.

Październik '56 inaczej

Jedna z najwybitniejszych dziennikarek amerykańskich przedstawia kolejne „kamienie milowe” polskiej drogi do samodzielności

Leszek Kamiński

Historia lat 1953-1956 w Polsce jest w zasadzie znana. Znamy dość dobrze fakty – np. dotyczące wydarzeń w Poznaniu, zmian w kierownictwie partyjnym, ożywienia życia kulturalnego i naukowego, sytuacji Kościoła, stosunków polsko-radzieckich itp. Zainteresowani czytelnicy mają do dyspozycji publikacje naukowe, zbiory dokumentów, relacje bezpośrednich uczestników wydarzeń (np. Karola Modzelewskiego i Andrzeja Werblana, ale także zbiór artykułów „Przełom Października '56” wydany przez PRZEGŁĄD). Znając fakty, historycy, publicyści i politycy spierają się jednak o ich szerszą interpretację, a zwłaszcza o znaczenie tych lat i miesięcy w historii Polski i Europy. Czy były to wydarzenia przełomowe, znaczący krok ku samodzielności państwa i społeczeństwa, czy mało istotny epizod, niezmieniający istoty systemu? Odpowiedź na to pytanie ma oczywiście znaczenie nie tylko naukowe, lecz także – może nawet przede wszystkim – polityczne.

W dyskusję o Październiku dobrze wpisuje się ważna książka, która powstała kilkadziesiąt lat temu, jednak dotąd – co może dziwić – nie była znana polskiemu czytelnikowi. Jest to świadectwo osoby, która była wtedy w Polsce, uważnie obserwowała wszystko, co się działo, patrzyła na to z sympatią, ale z boku. Ówczesna korespondentka „Washington Post”, Flora Lewis, relacjonowała dla czytelników amerykańskich wydarzenia w Polsce tamtych lat i już w 1958 r. opublikowała na ten temat obszerną książkę „A Case History of Hope. The Story of Poland's Peaceful Revolution” (Studium przypadku nadziei. Historia polskiej pokojowej rewolucji). Późniejsza o rok edycja brytyjska



W 1945 r. Flora Lewis jako korespondentka Associated Press przyjechała do Londynu. Rok później znalazła się w Polsce.

miała nieco inny tytuł – „The Polish Volcano. A Case History of Hope” (Polski wulkan...). Polską edycję, zatytułowaną „Historia pewnej nadziei. Październik '56 oczami amerykańskiej korespondentki”, przygotowało Wydawnictwo Akademickie DIALOG, starannie opatrując przypisami, prostującymi bądź precyzującymi niektóre fakty i ich chronologię.

Kim była autorka? Flora Lewis (1922-2002) to jedna z najwybitniejszych dziennikarek amerykańskich, przez kilkadziesiąt lat komentująca dla najważniejszych tamtejszych („New York Times”, „Washington Post”, „International Herald Tribune”) oraz europejskich („Observer”, „Economist”, „Financial Times”, „France-Soir”) gazet złożone zagadnienia

polityki światowej. Gdy zmarła w 2002 r., macierzysta redakcja pożegnała ją m.in. takimi słowami: „Szefowie rządów i zwykli czytelnicy w Stanach Zjednoczonych i w Europie, gdzie mieszkała przez większość swojej kariery, czekali na artykuły Flory Lewis nie tylko ze względu na jej kontakty z ludźmi na najwyższych stanowiskach, ale także ze względu na cięty, żywy styl jej pisanie i na wyrafinowane analizy”.

Flora Lewis po raz pierwszy przyjechała do Polski w 1946 r. i spędziła tu trzy lata. Była świadkiem wojennych zniszczeń i pierwszych lat powojennej odbudowy. Po raz drugi w Warszawie zjawiła się, gdy Polska znów znalazła się na czołówkach światowych gazet, w roku 1956, „aby jeszcze raz odnaleźć tego żywiołowego ducha, który zapłonął z nową siłą”. W cyklu reportaży i komentarzy oraz w książce będącej ich następstwem przedstawiła genezę, tło i przebieg polskiego Października.

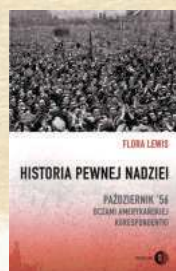
Jej relacja to rzecz o nieprzemijającej wartości także dla polskiego czytelnika, znającego z innych źródeł przebieg wydarzeń z 1956 r. Książka jest treściowo i stylistycznie różnorodna – zawiera elementy reportażu i plastycznych opisów obok wnikliwych ocen sytuacji politycznej czy refleksji o charakterze historycznym. Począwszy od śmierci Stalina, Lewis przedstawia kolejne, jak to określa, „kamienie milowe” polskiej drogi do samodzielności. Poświęca wiele uwagi roli Kościoła i kard. Wyszyńskiego, Służbie Bezpieczeństwa, efektem, jakie przyniosły z jednej strony Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie, z drugiej obnażenie kultu jednostki w referacie Chruszczowa. Interesują ją przetrasowania polityczne i starcia na szczytach ówczesnej władzy, przebieg obrad plenum KC i rozmowy z Chruszczowem, ale też zaopatrzenie sklepów i udręki codziennego

życia. Była świadkiem wielu dramatycznych momentów, np. procesów uczestników wydarzeń poznańskich. Rozmawiała z wieloma politykami, dziennikarzami i artystami, a także ze zwykłymi ludźmi różnych zawodów. Niektórych przedstawia z imienia i nazwiska, innych – z różnych względów – tylko ogólnymi określeniami, typu wiceminister czy członek KC. Relacjonuje te rozmowy oraz życiorysy swoich rozmówców i innych postaci, które odegrały wtedy historyczną rolę. Nie stroni od barwnych szczegółów, dotyczących ich wyglądu, sposobu mówienia, ubioru czy fryzury. Możemy się dowiedzieć np., jakie garnitury nosił Bierut.

Czytana dzisiaj książka Flory Lewis przynosi ciekawy zapis nastroju tamtych lat, mnóstwo szczegółów z życia politycznego, nawet anegdot. Ale zawiera też wiele interpretacji faktów i wydarzeń wykraczających daleko poza bieżący komentarz polityczny. Pokazuje, dlaczego świat zachodni (bo przecież to książka przeznaczona w pierwszym rzędzie dla czytelnika amerykańskiego i zachodnioeuropejskiego) tak interesował się Polską.

Lewis podkreśla znaczenie polskiego Października nie tylko dla Polaków i ich najbliższych sąsiadów, lecz także dla świata, szukającego wówczas – kilkanaście lat po II wojnie światowej – dróg rozwoju ku pokojowej przyszłości demokratycznych społeczeństw: „Studiowanie polskiego przypadku przynosi podwójną korzyść – pozwala nam zrozumieć ten urzekający i nieprzewidywalny kraj, jakim jest sama Polska, a jednocześnie zaprezentować wewnętrzne mechanizmy komunizmu, które tylko w Polsce zostały ujawnione. Dzięki polskiej rewolucji, która przyniosła ze sobą swobodę wypowiedzania się, zadawania pytań i utrzymywania kontaktów z Zachodem, w Polsce, jak nigdzie indziej, można dowiedzieć się, co piszczy za potężnymi zazwyczaj i dźwiękoszczelnymi murami reżimu komunistycznego. (...) Przede wszystkim jednak na podstawie polskiego doświadczenia można starać się określić, jak dużo wolności mogą wyszarpać dyktaturze odważni ludzie oraz jakie są szanse na to, żeby mogli pójść o krok dalej i zdobyć jeszcze więcej”.

Warszawskie korespondencje Flory Lewis zostały wyróżnione w 1957 r. nagrodą Overseas Press Club. Stały się pierwszym etapem jej wspaniałej kariery dziennikarskiej, której kolejnymi przystankami były m.in. Londyn, Jerozolima, Praga, Genewa, Bonn, Paryż i Meksyk. Uważnie obserwowała sytuację w naszym kraju, czego jednym z dowodów były komentarze w „International Herald Tribune” poświęcone powstaniu Solidarności i następstwom wydarzeń



z lat 1980-1981. Można jednak założyć, że właśnie polski Październik skłonił ją do refleksji wypowiedzianej w jednym z ostatnich artykułów: „Coraz więcej ludzi zaczyna uświadamiać sobie, że mogą wybierać własną historię. To był wspaniały czas, kiedy mogłam obserwować to z bliska”.

Flora Lewis, *Historia pewnej nadziei. Październik '56 oczami amerykańskiej korespondentki*, Wydawnictwo Akademickie DIALOG, Warszawa 2019

FINALOWY SEZON
NA 4K ULTRA HD,
BLU-RAY i DVD

HBO © 2019 Home Box Office, Inc. All rights reserved. HBO® and related service marks are the property of Home Box Office, Inc. Distributed by Warner Home Video.

DO KUPIENIA NA dvdmax.pl

PARTNERZY MEDIALNI

WP Men's Health P POLSKA FILMWEB FACET 40+ Militar.pl Multikino

Klaus-Rüdiger Mai

Jeżeli Watykan chciał utrzymać wpływ i władzę na świecie, musiał się znowu zmienić, dopasować do przemian czasu i jednocześnie pozostać sobą. Władza nie miała już dla niego nic wspólnego z panowaniem, była nawet od niego uwolniona, mogła być już tylko czystą władzą, jako że piętą achillesową władzy był zawsze przymus panowania. Aby dotrzeć do współczesności, Stolica Apostolska nie mogła stracić swoich oddziałów w postaci pobożnych katolików na rzecz uważającego się za liberalny ducha czasu, lecz musiała zostać uznana jako autorytet poprzez swój autorytet wiary. To z kolei możliwe było tylko poprzez zreformowanie władzy wewnątrz Kościoła i umieszczenie jej na silnym fundamencie. Watykan potrzebował transfuzji życia. Jan XXIII zrozumiał to i zwołał sobór watykański II – mimo sprzeciwu Kurii Rzymskiej.

11 października 1962 r. ponad 2 tys. kardynałów, arcybiskupów i opatów z całego świata weszło w odświętnych szatach jako ojcowie soborowi do Bazyliki Świętego Piotra, aby uroczystą mszą świętą otworzyć ten wielki sobór, który miał dokończyć przerwane Vaticanum I i umożliwić Kościołowi katolickiemu przejście do czasów współczesnych. Tego samego dnia rozpoczęły się obrady.

W latach 50. i 60. XX w. widać było bardzo wyraźnie, jak Kościół katolicki coraz bardziej traci na akceptacji i wpływach. Wielkie obszary Europy Wschodniej znalazły się pod panowaniem jednego z wojujących ateizmów. Po raz pierwszy brakowało księży, ponieważ zbyt mało młodych katolików czuło powołanie do wypełniania tego zadania. Jan XXIII chciał Kościół katolicki pogodzić z rozwojem społeczeństw i z tego powodu mottem soboru uczynił pojęcie *aggiornamento* (uwspółcześnienie, dopasowanie do aktualnie panujących warunków społecznych). Planowany skok do współczesności kształtował najważniejsze tematy posiedzeń soboru. Papież i Kuria Rzymska nie powinni dłużej odgórnie wtrącać się do kompetencji miejscowych biskupów, którzy dużo lepiej znają stosunki w swoich diecezjach. Biskupi mieli uzyskać większe prawo głosu w kwestiach dotyczących całego Kościoła. Formuła, która w końcu



Sobór watykański II – kwestia władzy

Sobór miał przenieść Kościół do współczesności.
I przeniósł. Ale po wylądowaniu okazało się,
że społeczeństwo poszło dalej

zwyciężyła, brzmiała następująco: papież razem z biskupami. Jest rzeczą zrozumiałą, iż formuła ta była solą w oku biurokracji watykańskiej, która uważała, że stoi dużo bliżej Boga niż chrześcijanie w innych miejscach globu. Dlatego też członkowie Kurii Rzymskiej sabotowali sobór, jak tylko mogli. Stosowali najróżniejsze zabiegi, ale Jan XXIII pozostał niewzruszony.

W Niemczech historyk Kościoła Hubert Jedin przygotowywał na sobór poważanego na scenie międzynarodowej kard. Josefa Fringsa i jego obu młodych doradców: Huberta Luthego i Josepha Ratzingera. Jedin radził kard. Fringsowi i jego obu doradcom, aby uważali szczególnie na skład komisji, jako że te decydują o przebiegu

i postanowieniach soboru. Kardynał pojechał więc do Rzymu ze swoimi doradcami z dokładną wiedzą na temat specyfiki politycznej soborów. (...)

Główne narady soboru rozpoczęły się – w przebudowanej bazylice Piotrowej, w której zamontowano po lewej i prawej stronie długie podesty z siedzeniami – niespodziewaną inicjatywą kardynała Periclego Felicio, sekretarza generalnego soboru, który zaproponował natychmiastowy wybór komisji. Listy ich członków uczestnicy mieli przecież przed sobą. Jednak kard. Achille Liénart przytomnie zgłosił sprzeciw wobec tak szybkiego procedowania, podobnie jak kard. Frings. Chciano najpierw opracować nowe listy kandydatów i zapytać ich o zgodę.

W nocy z 15 na 16 października sporządzono i powielono nowe listy, tak że były gotowe punktualnie na kolejne posiedzenie.

Tym samym sceptycy soborowi przegrali pierwszą z bitew. Nie powiodła się bowiem próba przejęcia kierowania tym zgromadzeniem i sprowadzenia go na drogę przyjazną Kurii – dzięki ostrzeżeniom Huberta Jedina i zdecydowaniu ojców soborowych, aby przeprowadzić prawdziwy sobór, a nie pozorowaną imprezę. Sceptycy przegrali wprawdzie bitwę, ale jeszcze nie wojnę. Zdecydowanie, tocząc niewiarygodne wręcz wojenki podjazdowe, ojcowie soborowi i ich doradcy kontynuowali pracę.

Pod koniec października 1963 r. wybuchła sensacja: już od kilku dni krążyły pogłoski, jakoby Kuria chciała uznać za nieważny przygotowany z trudem tekst na temat kolegalnego kierowania Kościołem, ponieważ sprawa ta nie została rzekomo dokładnie opracowana. Chodziło tu o kwestię – przykrywaną tylko argumentami natury kościelno-prawnej i teologicznej – czystej władzy, o to, kto będzie rządził w Kościele: papież razem z Kurią czy papież razem z biskupami. 8 listopada doszło na zgromadzeniu generalnym do skandalu. Kard. Frings, który stał się poważanym moralnym autorytetem soboru, podniósł się ze swego miejsca, co natychmiast skupiło uwagę wszystkich obecnych na jego osobie, i powiedział bezbłędną łaciną głośno i donośnie: „Według mojej skromnej oceny zadaniem komisji soborowych nie jest przedkładanie nowych koncepcji po dyskusjach w auli, tak jakby tylko one były w posiadaniu prawdy, która nie jest dostępna dla innych, lecz jako że komisje są instrumentami zgromadzenia ogólnego, ich zadanie, według mojej opinii, polega na opracowywaniu i realizowaniu woli ojców soborowych”. To było klarowne wypowiedzenie walki, wyprostowanie reguł, ale wypowiedź ta była również dobrze uzasadniona teologicznie. Mówiąc o tym, że zadaniem komisji jest opracowywanie woli ojców soborowych, Frings nawiązywał do Dziejów Apostolskich, w których uczniowie i apostołowie byli wzorcami dla biskupów jako ich następców. Skoro bowiem papież był namiestnikiem Chrystusowym na ziemi, to kolegium biskupów tworzyło wspólnotę uczniów. Na tym obrazie nie było jed-

nak miejsca dla Kurii, co z pewnością musiało do głębi wstrząsnąć kardynałami i przestraszyć ich.

Kard. Frings w swojej przemowie uporządkował i wyjaśnił dotychczas jedynie podstawowe zasady, teraz wyciągał końcowe wnioski: „Według mojej opinii szczególną wagę posiada fakt, iż przepisy te – przede wszystkim mówiące o wyraźnym rozróżnieniu między drogą administracyjną i sądową – stosowane są do wszystkich kongregacji, także do Świętego Oficjum, którego sposób procedowania w wielu przypadkach nie odpowiada już naszym czasom, przysparza szkód Kościołowi i u wielu budzi zgorszenie”.

Zgromadzenie generalne wstrzymało oddech. Główne uderzenie skierowane było w inkwizycję. Kard. Frings wyzwał swoją przemową na otwarte pole kard. Alfreda Ottaviano, szefa

Chodziło o to, kto będzie rządził w Kościele: papież z Kurią czy papież z biskupami.

Świętego Oficjum i potężnego inspiratora pociągającego za sznurki w Kurii. Człowiek ten, o którym mówiono, że jest „karabinem maszynowym Boga”, był klasycznym przykładem doktrynera i w tej dziedzinie posiadał ogromne możliwości. Na wpół ociemniały rzucił swojemu przeciwnikowi pełen emocji okrzyk „*Protestor!*” (Występuję jako świadek!). A papież? Ten spokojnie zaprosił kard. Fringsa do siebie i po gratulował mu przemówienia. Tym samym decyzja zapadła.

Jan XXIII zmarł w 1963 r., kiedy sobór jeszcze obradował. Obrady zakończono w 1965 r. za rządów jego następcy Pawła VI (1963–1978), a Kuria Rzymska otrzymała nową strukturę. Dykasterie, „ministerstwa”, stały się równoprawnymi kongregacjami, które podlegały sekretarzowi stanu, „premierowi”. Ze Świętego Oficjum, Świętej Inkwizycji utworzono Kongregację Nauki Wiary, która utraciła swoją pozycję jako Suprema.

Zarówno Joseph Ratzinger, jak i kard. Frings odrzucili „*Gaudium et spes*”, konstytucję duszpasterską o Kościele w świecie współczesnym, jeden z ostatnich dekretów soboru. Obaj krytykowali, że w tekście tym przedstawiona jest bez wyraźnych konturów i bardzo powierzchownie analiza świata współczesnego zamiast sondażu stosunku Kościoła wobec

rozwoju społecznego. Według nich była to nieudana próba dogonienia zmian przez Kościół katolicki.

Brak wyrazistych konturów był również problemem Vaticanum II, o którym jedni twierdzą, iż nie został jeszcze dokładnie przeanalizowany, podczas gdy inni wysuwali oskarżenie, że wystraszony Watykan nie nadążył za odważnym przełomem dokonanym przez sobór. Obydwa te punkty widzenia były w następnych latach reprezentowane z jednej strony przez Josepha Ratzingera, a z drugiej przez szwajcarskiego teologa Hansa Künga.

Vaticanum II uchwalił tak niespójne ze sobą postanowienia, że oba punkty widzenia mają uzasadnienie. Do tego doszło coś jeszcze, czego nikt nie mógł przypuszczać, kiedy sobór był zwolowywany. Sobór miał przenieść Kościół do współczesności, do dnia dzisiejszego. I prze-
niósł. Jednak po wyładowaniu okazało się, iż społeczeństwo poszło dalej. Odważ-

ne postanowienia soboru wydawały się już tylko makulaturą w obliczu nowych wyzwań, które oznaczały ni mniej, ni więcej tylko przemianą wszystkiego i usunięcie z Kościoła katolickiego tego, co było w nim katolickie. Na samym szczycie katalogu żądań znajdowało się zniesienie celibatu, wybory księży i biskupów, dopuszczenie kobiet do święceń kapłańskich oraz zakaz spowiedzi usznej. Kto chciał, cofał się ze swoimi żądaniami do 1521 r. Wtedy to bowiem Luter na sejmie Rzeszy w Wormacji dokonał zerwania z Kościołem katolickim i tym samym rozpoczął reformację, która doprowadziła do powstania Kościoła protestanckiego. Innymi słowy, jeżeli ktoś sobie tego życzy, nie potrzebuje zmieniać Kościoła katolickiego, lecz może po prostu zostać protestantem.

W latach 70. toczyła się wewnątrz Kościoła katolickiego walka, która dla Watykanu miała się przekształcić w walkę o przetrwanie, ponieważ stawiane żądania reform doprowadziłyby w rzeczywistości do paraliżu. (...)

Fragment książki
Klaus-Rüdiger Maia
*Watykan. Mroczna historia
światowej potęgi*,
przel. Viktor Grotowicz,
Post Factum, Katowice 2019



Polska przedmurzem Zachodu

Za co Rosjanie kochają polskie filmy

Rozmawia Artur Zaborski

To prawda, że Polska popularność w ZSRR zawdzięcza kinu?

– W bardzo dużym stopniu. To medium o największej sile rażenia. Przed internetem stanowiło główne źródło wiedzy o życiu innych. W ZSRR polskie filmy cieszyły się popularnością. Niektóre osiągały status kultowych. Takie obrazy jak „Vabank” i „Seksmisja” Juliusza Machulskiego czy serial „Czterej pancerni i pies” do dziś emituje rosyjska telewizja. Trudno, żeby polskie filmy pasjonowały wszystkich, ale publiczność intelektualna, zwłaszcza ta zaangażowana społecznie i politycznie, zdecydowanie za nimi przepadała. A przed 1990 r. to były kręgi dość szerokie.

Dlaczego Polska była dla nich interesująca?

– Bo była przedmurzem Zachodu. Dzięki niej można było podejrzeć, jak się żyje za żelazną kurtyną. Polska i radziecka rzeczywistość dosyć się różniły. U nas ograniczenia cenzuralne i kontrola były znacznie ostrzejsze, u was była stosunkowa swoboda obyczajowa. W kinie było to widać wyraźnie, co stanowiło dodatkowy walor polskich filmów.

Masz na myśli polskie filmy w ogóle czy te, które powstawały w czasach odwilży i podejmowały tematy w ZSRR zakazane?

– I to, i to, choć na świadomość i postrzeganie polskiego kina największy wpływ miała twórczość Andrzeja Wajdy. Jednak, jak wiadomo, nie wszystkie jego produkcje docierały do ZSRR. Filmem, który okazał się doświadczeniem formującym dla radzieckich widzów, był „Popiół i diament”. Pojawia się w wypowiedziach większości filmowców radzieckich pytanych o inspiracje, o ukształtowanie gustu i stylu. Zrobił na nich szczególne wrażenie i zaliczany był do obowiązkowej filmografii tamtego okresu. Nieco mniej istotnym, ale wciąż ważnym twórcą był Jerzy Kawalerowicz. Jego „Pociąg” i „Matka Joanna od aniołów” cieszyły się



DR DENIS VIREN

– doktor nauk filozoficznych, filmoznawca

Denis Viren – ur. w 1988 r. w Moskwie, absolwent filmoznawstwa VGIIK. Obronił doktorat pt. „Eksperymentalne tendencje w polskim kinie lat 70.”. W latach 2010–2015 pracował jako ekspert ds. filmu w Instytucie Polskim w Moskwie. Od 2015 r. jest starszym pracownikiem naukowym w Państwowym Instytucie Wiedzy o Sztuce i wykładowcą historii filmu na Rosyjskim Państwowym Uniwersytecie Humanistycznym w Moskwie. Współpracuje z festiwalami kina polskiego w Rosji Włosa i festiwalami kina rosyjskiego Sputnik nad Polską (edycje w różnych miastach).

ogromną sympatią. Podobnie „Jak być kochaną” Wojciecha Jerzego Hasi i szalenie popularny „Rękopis znaleziony w Saragossie” tego reżysera. **Jak dużym zainteresowaniem się cieszył?**

– Mama opowiadała mi, że na ten film jej pokolenie chodziło do kina po kilkanaście razy. Był przebojowy, ale też nietypowy dla polskiego kina, więc nawet nie wszyscy widzowie

kojarzyli go z Polską. Ale najważniejszym reżyserem długo pozostawał Andrzej Wajda, który wprowadził do kina Zbyszka Cybulskiego. On odegrał w ZSRR bardzo ważną rolę. Jego sposób bycia, styl ubierania się, to, jak chodził i mówił, sprawiło, że osiągnął status postaci kultowej. Stał się punktem odniesienia dla radzieckich filmowców i widzów. Na podobnej zasadzie polska szkoła plakatu narobiła w ZSRR sporo zamieszania i do dzisiaj cieszy się u nas uznaniem, jest rozpoznawalna. Na corocznych Targach Książki Non-fiction w Moskwie odwiedzający polskie stoisko bardzo często pytają o książki związane z polską ilustracją, plakatem czy designem.

Inni polscy aktorzy też zyskiwali uwielbienie?

– Tak, ale w przeciwieństwie do aktorek nie grali w tylu filmach radzieckich. Na pewno popularny był Daniel Olbrychski, który umacniał mit polskich mężczyzn – elegancików i szlacheckich panów, okazujących niekiedy wyższość. Tak właśnie często mówiło się o Polakach i tak byli odbierani na ekranie. Panowało przekonanie, że Polacy samych siebie postrzegają jako ludzi Zachodu. Tak samo swój kraj.

A jak Polskę postrzegali Rosjanie w ZSRR?

– Jedni jako okno na Zachód, drudzy – jako sam Zachód, inne życie. Spośród republik ZSRR podobnie widziano np. Estonię. Panowało przekonanie, że żyje się tam prawie jak na zachodzie Europy. W przypadku Polski miało to większy wydźwięk – żeby tam pojechać, trzeba było mieć paszport, pokonać fizyczną granicę. To wytwarzało otoczkę innego świata.

Co to ma wspólnego z uwielbieniem dla nadwiślańskich aktorek?

– Istotna jest ich uroda i odmienność od kobiet radzieckich. Ta specyficzność przypisywana była „zachodnim twarzom”. Dlatego często zatrudniano je do ról nie Polek, lecz kobiet z jeszcze innego kraju. Dobrym przykładem jest Ewa Szukul-

ska w roli Francuzki Pauliny Gueuble w radzieckim filmie Władimira Motyla „Gwiazda zwodniczego szczęścia” o powstaniu dekabrystów. Nawet akcent Polek mówiących po rosyjsku postrzegany był jako zachodni.

Polki też inaczej grały. U nas dość szybko porzucono metodę Stanisławskiego. Szukano innych sposobów ekspresji.

– To również składało się na wizerunek Polki jako Europejki. Polskie aktorki otaczała aura inności. Zachowaniem, ekspresją i prezencją Beata Tyszkiewicz, Pola Raksa czy Barbara Brylska znacząco się odróżniały od radzieckich kobiet. Kiedy Andriej Konczalowski szukał do ekranizacji „Szlacheckiego gniazda” pięknej kobiety, którą dodatkowo wyróżnia styl bycia, odpowiednią kandydatkę znalazł w Beacie Tyszkiewicz. Film „Ironia losu” z Barbarą Brylską rosyjska telewizja do dziś emituje w sylwestra. Oglądają go miliony.

Brylska wciąż jest pamiętana?

– Moi znajomi z Podlasia we współpracy z Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia przeprowadzili w Moskwie sondę na temat tego, co Rosjanie wiedzą o Polakach. To krótkie, kilkuminutowe, dostępne na YouTube tematyczne filmiki: o kuchni, kobietach, mężczyznach. Na pytanie o kobiety co druga osoba wymieniała Barbarę Brylską. Dopiero na dalszych miejscach pojawiała się np. Maria Skłodowska-Curie.

Film „Ironia losu” z Barbarą Brylską rosyjska telewizja do dziś emituje w sylwestra.

Aż dziwne, że Brylska, jak i inne polskie aktorki, nie zaczęła kariery w ZSRR.

– Wątpię, żeby Beata Tyszkiewicz chciała się przeprowadzić do Związku Radzieckiego. Barbara Brylska być może, jednak jej sukces stanowi pewien wyjątek. Nawet melodramat „Anatomia miłości” z jej udziałem dystrybuowany w ZSRR nie miał takiego rozgłosu mimo odważnych jak na tamte czasy scen miłosnych. „Ironia losu” była dla niej pięknym zbiegiem okoliczności – dobra kreacja, świetny scenariusz, zdolni reżyser i inni aktorzy. Nie jestem pewien, czy odnalazłaby się po takim występie w radzieckim kinie. Zawsze byłaby kojarzona z Nadią z „Ironii losu”.

Sukces „Ironii losu” spowodował, że oczy Rosjan zwróciły się w kierunku innych polskich produkcji z udziałem Brylskiej?

– Patrzone raczej w stronę ambitniejszych produkcji, do których dostęp był utrudniony. To była już połowa lat 70., w związku z wydarzeniami społeczno-politycznymi w Polsce coraz trudniej było u nas o naprawdę ważne polskie filmy. W radzieckiej dystrybucji nie było np. żadnego filmu Tadeusza Konwickiego. Znały go jedynie osoby jeżdżące na festiwalach. Z filmami Wajdy również wcale nie było łatwo – do dystrybucji w ZSRR trafiło zaledwie osiem czy dziewięć jego dzieł. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że zdarzało mu się produkować dwa filmy rocznie, to bardzo mało. Ale nie ma co się dziwić, kiedy nakręcił „Człowieka z marmuru”, a później „Człowieka z żelaza”, to już do końca lat 80. był w ZSRR na czarnej liście. Z powodu tych utrudnień zainteresowanie tym, co się dzieje w Polsce, było większe. Jeśli coś głośniego nie trafia na ekrany, to najwyraźniej przedstawia aspekty, którymi warto się zainteresować – tak myśłano.

Kiedy dyskutowano o tych filmach dostęp?

– W latach 90., wraz z bumem na kasety VHS i magnetowidy. Wszyscy je kupowali, wypożyczalnie kaset wyrastały jak grzyby po deszczu. Ale zaczął się okres nadrabiania zaległości przede wszystkim amery-

pojawiać właśnie w latach 90. W Polsce było o nich głośno już wcześniej. **Czy w tym zalewie amerykańskiego kina znalazło się miejsce na sympatie do nowych polskich produkcji?**

– Tak, ale nastąpiło przewartościowanie. Lata 90. przyniosły wielką popularność Krzysztofowi Kieślowskiemu. Nowe pokolenie mówiło już nie o Wajdzie czy Kawalerowiczu, nawet nie o Zanussim. Na topie był „Dekalog”, a zaraz później trylogia „Niebieski”, „Biały” i „Czerwony”. Doskonale pamiętam kasety VHS z produkcjami Kieślowskiego, jak i późniejsze wydania płyt DVD.

Związki z Polakami są bardzo silne. W kinie to pięknie widać.

To były legalne wydawnictwa?

– Różnie. Wydania Kieślowskiego raczej tak, natomiast parę lat temu chyba nielegalnie ukazał się zestaw płyt z polskimi klasykami. Nie wszystkie były filmami najwyższych lotów, ale znalazły się tam m.in. „Prawo i pięść” Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórczewskiego czy „Jarzębina czerwona” Czesława i Ewy Petelskich. Jeszcze kilka lat temu takie płyty były dostępne w sklepach, sam mam je w kolekcji.

To możliwe, żeby takie hity jak trylogia Kieślowskiego nie weszły u was do kin, skoro nadwiślańskie kino cieszyło się takim wzięciem?

– Pamiętaj, że przez wszystkie powojenne lata kino i sztuka z bloku wschodniego co prawda istniały w ZSRR, lecz w pewnym sensie były narzucone. Dokładnie to samo można powiedzieć o radzieckim kinie na ekranach „demoludów”. Określano liczbę filmów z każdego kraju, która co roku powinna wejść na ekrany. Nie oznaczało to jednak, że wszystkie takie seanse cieszyły się popularnością.

Tylko polskie kino się podobało?

– Nie tylko, ale polskie filmy były wyjątkiem. Myślenie, o którym mówiłem wcześniej, przełożyło się na postrzeganie całego bloku wschodniego – w okresie pierestrojki tamtejszej sztuki nie chciano już podziwiać, było zbyt wiele do nadrobienia z USA i Europy Zachodniej. Do tego kontakty w latach 90. były nastawione na ekonomię i handel. Otworzyły się granice. Znajomy reżyser, starszy

Wiktor Sukiennicki

Polityczne konsekwencje błędu semantycznego

Fundacja Hliniszcz, Kraków 2019

Tekst prof. Wiktora Sukiennickiego (1901-1983), wygłoszony i opublikowany na emigracji, wyjaśnia istotę wspólnego dziedzictwa Polski i innych krajów dawnej wielkiej Rzeczypospolitej. Lektura powinna uświadomić współczesnym Polakom, że ani oni, ani ich państwo, odrodzone po 1918 r., nie są jedynym dziedzicem

dawnej wielkiej Rzeczypospolitej, że takimi samymi dziedzicami są współcześni Ukraińcy, Litwini czy Białorusini. Mają identyczne prawo do spadku po dawnym wielkim, wielonarodowym i wielokulturowym państwie. Z kolei Litwinom, Białorusinom i Ukraińcom tekst powinien uświadomić, że

„polskie” przed rokiem 1795 nie musiało oznaczać obce, że mogło też znaczyć rodzime, swoje. Wszyscy na równi byli obywatelami Rzeczypospolitej, obywatelami tego samego politycznego narodu, których można by nazwać Rzeczypospolitakami. Tyle że takie określenie nie powstało. Zarówno tekst wykładu, jak i wstęp od redaktora i wydawcy prof. Jana Widackiego zostały opublikowane w językach: angielskim, polskim, białoruskim, litewskim, rosyjskim i ukraińskim.

Michał Jagiełło

Piarżysko Tatry i Zakopane w reportażach prasowych przełomu XIX i XX wieku

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019

Zebrane relacje odwiedzających Podhale osób bardziej i mniej znanych, publikowane od połowy XIX w. do początku XX w. w różnorodnych czasopiśmie. Przynoszą zarówno zachwyt autorów góską przyrodą, kulturą ludową i gościnnością górali, jak i wiele praktycznych w tym czasie informacji dotyczących m.in. zakwaterowania czy szlaków górskich wędrówek. Charakteryzują też ówczesnych urlopowiczów, przybywających na odpoczynek w Tatry i do Zakopanego.

► ode mnie o 15 lat, opowiadał mi, że jeździł handlować na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Taki stan rzeczy się utrzymał. W 2005 r., kiedy zaczynałem studia, moim opiekunem został Aleksander Troszyn – niestety już nieżyjący, wielki znawca kina węgierskiego. Ze względu na specjalizację pokazywał nam sporo filmów z tego kraju, a także polskich i czeskich. Nie znaliśmy ich, nie było do nich wcześniej dostępu.

Jak je przyjęliście?

– Z reakcji koleżanek i kolegów wyczytałem, że oglądają je z przymusu i traktują trochę jak kino drugiej kategorii. Woleli oglądać dzieła zachodnioeuropejskie. We wschodniej kinematografii potrafili wskazać dobre produkcje, jednak nie było ich wiele. Moje zainteresowanie polskim kinem wzbudzało podobne reakcje: po co uczysz się polskiego, po co się tym interesujesz?

Nadal o to pytają?

– Rzadziej, zainteresowanie sztuką środkowoeuropejską powróciło, zwłaszcza w młodym pokoleniu, wolnym od stereotypów, szczególnie tych dotyczących bloku wschodniego i braterstwa narodów. Zaczęto postrzegać Polskę, Węgry, ale też Litwę, Łotwę, Estonię jako część Europy, która wcześniej była mocniej z nami związana, a teraz już nie jest – co więcej, pojawiają się między nami ostre niesnaski polityczne. Mimo wszystko jesteśmy sąsiadami, a kraje te mają ciekawą kulturę, różną od naszej. Prowadząc ze studentami zajęcia z historii filmu powszechnego, widzę, że to, co działo się w krajach obok, ciekawi ich. Nie mają do sąsiadów lekceważącego stosunku.

Co o nich mówią?

– Ostatnio podczas rozmowy ze starszym ode mnie znajomym wspominałem, że nauczam historii sztuki filmowej Polski i sąsiednich krajów. Na co usłyszałem: to oczywiste, że polskie kino jest wśród nich najważniejsze. Na zajęciach jednak staram się nie kłaść nacisku wyłącznie na Polskę, chcę uświadomić studentom, że kinematografie innych krajów tak-

że zasługują na uwagę. Myślę, że fenomen Polski jest związany również z tym, że nawet najlepsze dzieła filmowe innych krajów nie trafiały do radzieckiej dystrybucji, nie były znane. W latach 60. czechosłowacka nowa fala była zablokowana, do ZSRR dopuszczano jedynie pojedyncze filmy. Nie znano Jiříego Menzla czy Miloša Formana, a późniejsze kino było już zupełnie inne. Podobnie było z kinem węgierskim, mało kto słyszał o Miklószu Jancsó. W dystrybucji pojawił się jego film „Gwiazdy na czapkach” stworzony na 50-lecie rewolucji październikowej w koprodukcji z Mosfilmem, ale był oceniany. Powraca zatem kwestia dostępności. Być może nie bez znaczenia były podobieństwa emocjonalne i światopoglądowe.

Polakom bliżej do Rosjan niż innym naszym sąsiadom?

– Polska i rosyjska perspektywa często, wbrew pozorom, są bardzo podobne. Mamy oczywiście wiele rozbieżności historyczno-politycznych, za to podobne spojrzenie na człowieka. Dlatego tu polskie kino nadal cieszy się dużym powodzeniem, co widać choćby na festiwalu Wisła i innych przeglądach. Zesłania, migracje i zabory spowodowały, że polski punkt widzenia wciąż jest tutaj obecny. Wiele osób ma w rodzinie Polaków.

Badania z 2007 r. wskazują, że aż co siódmy obywatel Moskwy ma polskie korzenie.

– Nie dziwi mnie to, bo sam je mam, choć dosyć dalekie. Pracując w Instytucie Polskim w Moskwie, wielokrotnie spotykałem się z ludźmi, którzy opowiadali, że mają polską rodzinę, dlatego te tematy są dla nich interesujące. Mało kto w Rosji może tak powiedzieć o Węgrach czy Czechach. Natomiast związki z Polakami są bardzo silne. W kinie to pięknie widać. Weźmy Czechów – są ironistami, mają zupełnie inne podejście do życia i historii. A Polacy i Rosjanie na poziomie ludzkim są sobie bliscy. Towarzyszy nam często ten sam ból duszy.

Artur Zaborski

Sprostowanie

Felieton L. Stommy pt. „Gliński z łasiczką” opublikowany 12.11.2019 r. zawierał nieprawdziwy i w całości wymyślony cytat rzekomego listu ministra kultury Piotra Glińskiego do dyrektora Luwru.

Anna Pawłowska-Pojawa
Dyrektor Centrum Informacyjnego MKiDN

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Jak narcyz z narcyzem

Lubię niektóre historyczne książki Ludwika Stommy, irytują mnie jego felietony. Ich arogancja i narcyzm. Zabawne, gdyż jego irytuje arogancja i narcyzm moich. Ale to zrozumiałe, nic bardziej nie irytuje narcyza niż czyjś narcyzm. Ze stoickim spokojem i ze zrozumieniem przyjmuję zarzut Ludwika, że nie rozumiem dzieł Andrzeja Żuławskiego, jestem w dużym gronie ludzi ode mnie mądrzejszych. Ale przecież ja go jakoś ceniłem, jakoś, bo był wybitny, tylko swoją „potwornością” psuł swoją wybitność. Tak to czuję i tak piszę. A uparcie piszę, co czuję. Jego „potworność” była też oryginalna, bo przecież dawał się lubić, a nawet kochać. Lubiłem go. Co mnie oburza w felietonie Stommy i czego mu nie wybaczam (pewnie zaraz mi przejdzie, jak wezmę prysznic, bo taka agresja brudzi), to to, że zarzuca mi świadome kłamstwo w tak delikatnej sprawie jak wspomnienie o człowieku, który umarł i nie może niczego sprostować. Wyobrażam sobie, jak Andrzej ożywa i woła z góry: kłamiesz, nie ceniłem (bardzo!) twoich tekstów pisanych w paryskiej „Kulturze”, nie zgodziłem się z tobą, że nigdy nikogo nie kochałem, przecież wyrzuciłbym cię za drzwi, gdybyś tak powiedział, itd. (a to przecież wzruszające, że mnie nie wyrzucił, że przyznał mi rację – Stomma nie docenia Andrzeja). Ale Żuławski nie może prostować, więc ja, niegodziwiec, mogę włożyć wszystko w jego usta, a najlepiej to, co mnie postawi w dobrym świetle, a jego pomniejszy. Bo ja, karzeł, chcę pomniejszy olbrzymia. Na szczęście to mi się nie uda, prawdziwa wielkość obroni się sama. A gdy sama będzie miała kłopot, Stomma pomoże. O Żuławskim dosyć dużo wiemy, dosyć, bo człowiek na szczęście zawsze jest zagadką. Ola Szarłat napisała dobrą (bardzo) biografię Żuławskiego. Polecam Stommie, pisana nie na kolanach, ale życzliwie. Nie mogłaby mi się spodobać, gdybym miał taką opinię o Andrzeju, jak sugeruje Stomma (ja mam na jego temat bardzo mieszane uczucia). Chyba że jestem aż tak zakłamanym, jak zdaje się to sugerować. Więc to jednak możliwe.

A co do tego, że się chwaleb w swoich felietonach, z kim jadłem obiad itd. A chwaleb się. Tak to mi samo wychodzi, bo piszę coś w rodzaju dziennika, zawsze takie były moje felietony. W dzienniku piszę o wszystkim, co mnie dotyka, miło lub przykro. Gdy podobają się moje wiersze na spotkaniu autorskim, odnotowuję to, bo to mnie miło dotyka. Co jest oczywiście ryzykowne, fatalnie znosimy,

jak ktoś mówi o sobie dobrze, gdyż nas to umniejsza. Ja też na to źle reaguję, pewność siebie nie jest moją mocną stroną, nie mam w sobie pychy Ludwika. Tak jednak piszę od kilkudziesięciu lat i będę zapewne pisał do końca moich dni. Amen.

Spotykam się z Barbarą Baranowską, utalentowaną graficzką, mieszka w Paryżu. Ma 85 lat, wygląda na 50, porusza się lekko jak młoda dziewczyna. Blisko z nią i serdecznie. Daje swoje zdjęcie z pisarzem Adolfem Rudnickim z roku 1962. Potrzebne mi do książki „Dom pisarzy w czasach zarazy”. Była w latach 50. żoną Rudnickiego, bardzo wtedy cenionego pisarza, odbił mu ją młody wtedy Andrzej Żuławski. Rudnicki, gdy potem mijają Żuławskiego na ulicy, wołał do niego: pan ma krew na sobie. I przeszedł z powodu tego rozstania zawał. Ci dwaj artyści byli siebie wari w galopującym narcyzmie. Ale też mieli w sobie magię. Są kobiety, które jak ćmy lecą do takich ludzi. Z Adolfem byłem blisko, jak blisko można być z kimś tak skupionym na sobie. Rudnicki pokazywał mi na półkach grzbiety kilkudziesięciu zeszytów, pisał je przez wiele lat, znam fragmenty, rewelacyjny dziennik, ale rodzi-

na blokuje druk. Jaka szkoda. Żuławskiego znałem nie tak dobrze jak Ludwik, ale na tyle dobrze, że gdy mnie pocałował (raz) na pożegnanie, sprawdziłem potem, czy nie odgryzł mi ucha. (Stomma znowu się oburza: on nie mógł cię całować, mnie nie całował, zmyślasz, a jeśli całował, a ty go zohydzasz swoim uchem, to jesteś judasz). Rudnicki dzisiaj jest zapomniany, jak większość dawnych pisarzy, moja książka na chwilę przypomni tych, co tak bardzo byli, a teraz odeszli w niebyt. Co mnie szczególnie ujmuję w Barbarze, to zupełny brak próżności. Tym promieniuje. Większość ludzi jest zatruta przez próżność. Cały świat tym skażony.

Małgorzata Kidawa-Błońska ma konkurenta, prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. A więc prawyborcy. To na pewno dobry prezydent miasta i samorządowiec, Poznań ogromnie się zmienił na lepsze, lubię to miasto, ale kandydowanie Jaśkowiaka jest błędem. Sztwywny, nie ma wdzięku, nie najlepiej mówi. Na jego tle Kidawa-Błońska wiele zyskuje. Nie wiem, czy o to chodziło Platformie.

Tomasz Mitkowski

Toruń z politykami na scenie

Monodram
może być terapią

Tym razem Toruńskie Spotkania Teatrów Jednego Aktora przebiegały w cieniu polityków. Dostojnie. I nie chodzi o przedstawicieli władz miejskich czy krajowych, ale o polityków, którzy wywierali wpływ na życie milionów ludzi. Takie nazwiska, jak Hitler czy Stalin, Thatcher czy Golda Meir przywoływane były przez mistrzów sceny jednoosobowej.

Stało się tak przede wszystkim za sprawą Pipa Uttona, brytyjskiego „geniusza monodramu”, jak go nazywają na Wyspach, który specjalizuje się w scenicznych portretach znanych postaci. Utton stał się w tej dziedzinie prawdziwie niedościgłym artystą, który posiadał zdolność mimikry – przekonująco na oczach widzów przeistacza się w graną postać i równie przekonująco „wychodzi z roli”, aby stać się aktorem grającym aktora, który gra kogoś, kto zapisał się na kartach historii. Tak było w Toruniu, gdzie zachwylił widzów dwoma spektaklami. W „Adolfie” wcielił się w Hitlera, a w „Grając Maggie” ukazywał konferencję z Margaret Thatcher, podczas której odpowiadał na pytania słuchaczy-widzów przedzierzgnięty w Żelazną Damę.

**Teatr jednego aktora
związany jest z polityką,
a co ważniejsze,
polityką się żywi.**

Monodramowi „Adolf” zawdzięcza Pip Utton sławę. Zjechał z nim pół Europy i trochę świata, wszędzie wzbudzając wielkie zainteresowanie, a czasem protesty. Choć było wiadomo, że to kreacja, zdarzały się niemal fizyczne ataki na Uttona jako głosiciela potwornych poglądów. Tymczasem to monodram terapeutyczny, który każe zastanowić się nad symptomami recydywy nazistowskich postulatów.

Ale nie tylko Utton w Toruniu pokazał, czym może być ujawnienie kuchni myślowej polityka. Podobnie postąpił Aleksandras Rubinovas z Litwy, goszczący tu nie po raz pierwszy, a przed kilkoma laty nagrodzo-



Pip Utton jako Hitler
i Margaret Thatcher.



ny przez dziennikarzy za monodram „Koba”. To z kolei portret Stalina, który maluje Fudzi, jeden z jego byłych gruzińskich przyjaciół, prześladowany, ale cudem ocalały. Fudzi pod koniec życia wspomina swoje spotkania z tyranem.

Od innej strony o polityce opowiadali polscy mistrzowie. Irena Jun w monodramie „Matka Makryna” według Jacka Dehnela i Juliusza Słowackiego, portretującym Makrynę Mieczysławską, która sama siebie wymyśliła jako ofiarę prześladowań religijnych i podporządkowała sobie nie tylko naiwnych patriotów, ale też

przedstawicieli polskiej emigracji, a nawet papieża. To wstrząsająca opowieść o cierpieniach, manipulacji i utracie własnej tożsamości. Irena Jun ukazuje proces rozpadu osobowości bohaterki, nie szczędząc jej krytyki.

O innego rodzaju manipulacji i skutkach sprawowania władzy intelektualnej traktuje monodram Wiesława Komasy „Jak się dziwnie wszystko plecie” oparty na opowiadaniu Romana Brandstaettera „Ja jestem Żyd z Wesela”. Komasa pokazuje, w jaki sposób życie bohatera rozpada się pod wpływem literackiego wizerunku, który odmalował Wyspiański, nieświadomie rujnujący świat karczmara z Bronowic. Mistrzowsko zagrane przedstawienie.

**Monodram „Adolf” wzbudza
wielkie zainteresowanie,
ale i protesty.**

O ofiarach polityki opowiadali też Krzysztof Gordon w „Fal/staffie” według Szekspira i Wojciech Kowalski w monodramie „Homo-sovieticus” według humoresku Michaiła Zoszczenki, a oko w oko z politykami stawiała Ewa Błaszczuk jako dziennikarka i pisarka Oriana Fallaci.

To był świetnie skomponowany festiwal – Wiesław Geras, fetowany w Toruniu z okazji 80. urodzin, pokazał, jak silnie teatr jednego aktora związany jest z polityką, a co ważniejsze, polityką się żywi, zaglądając za jej kulisę i badając ją od podszewki.

Festiwal nie ma charakteru konkursu, ale i tak są nagrody, które przyznają niezależne kapituły. Aż dwie przypadły Irenie Jun: Nagroda Antoniego Słocińskiego, zapisana testamentem byłego dyrektora Baja Pomorskiego i współorganizatora festiwali toruńskich, „za wierność autorowi” i Nagroda ZASP. Dziennikarze przyznali swoją nagrodę Wiesławowi Komasie. A szczebel do kariery dostał młodziutki Bartosz Rułka, debiutujący energetycznym monodramem opartym na prozie Gombrowicza. Już za rok kroi się jubileusz, czyli 35. festiwal w stulecie powrotu Torunia do macierzy.

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Hegel pany

Zaczęło się od Marty, która pewnego dnia śpieszyła się do wyjścia w Warszawie. Rozmawialiśmy przez telefon i ona była niebywale poważna, nawet powściągliwa. Szła na seminarium z Freuda i to nie był dobry moment na moją relację ze spaceru z psem. Wczoraj też nie był, bo Marta czytała Freuda i robiła notatki, a wokół życie – jak zawsze nieprzejednane, w postaci małej córeczki, szczeniaka, synów – spowalniało lekturę. – Jezu, kto dzisiaj czyta Freuda, kto Junga, oni są tacy przemocowi z tym determinizmem, z tymi cieniami. Tacy toporni w teorii. No, raczej wstyd – chciałam powiedzieć. Nie powiedziałam nie tylko dlatego, że Marta jest przyjaciółką. Nie powiedziałam, bo byłam zazdrosna.

Też bym poszła z torbą wypchaną notatkami na jakiegoś Freuda. A siedziałam w badziwnym polarze, pewnie 20. z kolei dzień w tym miesiącu, przy kompie. Z nogą zdrętwiałą i chrupkim chlebkiem we włosach. Wyobrażałam sobie w wersji romantycznej, kiedy czytają tzw. metodą paluszkową – rozkminiając zdanie po zdaniu, podczas gdy na stole paruje, nie wiem, samowar? Na spodeczku leży cukier w kostkach, a chart angielski kładzie ciepły pysk na kolanach profesora.

Tak czy owak, Freud nagle znów stał się *sexy*, a ja postanowiłam wyszukać seminarium we własnym mieście. Najchętniej coś z hard kabały albo ekonomii symbolicznej. Coś, żeby przekierować mózg, zajęty w listopadzie myśleniem o tym, kto umarł. Okazało się, że coś ciekawego właśnie dzieje się w mieście – jeden z krytyków literackich otworzył seminarium, na którym omawiał „intencjonalizm”. Brzmi radykalnie, więc się ucieszyłam. Pochopnie. Krytyk seminarium otworzył i (zaraz) zamknął. Podobnie miała się rzecz z „Latającym uniwersytetem”, czyli filozoficznymi seminariami w Ośrodku Grotowskiego we Wrocławiu. Udało mi się wejść tylko na wykład(y). Okazuje się, że idea samokształcenia zyskuje w Polsce zaskakującą popularność (idealiści rzekliby, że to dobrze dla demokracji). Na wykładach filozoficznych w „Grocie” ludzie siedzą na ziemi, doktorant biegiem donosi krzeselka, pani profesor próbuje wietrzyć, bo poziom ekscytacji jest wysoki i z sali szybko znika tlen. Na samo seminarium dostała się garstka (najszybszych) szczęśliwców.

I moje próby zaangażowania się byłyby na pewno historią porażek, gdyby nie to, że wreszcie udało mi się wcisnąć na polonistykę do pewnego doktoranta, który organizuje tam Pracownię Literacką. Było niesamowicie.

Studenci i akademicy pomysłowi, odkrywcy, progresywni i totalnie otwarci. Do tego mieli słuch, by tak rzec, poetycki. A omawiali dadaistyczny, ekstatyczny tomik, taki, który raczej tworzy bariery, niż uwodzi, raczej się najeża, niż buja kojąco. I zrobili to doskonale!

W Warszawie istnieje Wspólny Pokój – dynamiczna grupa seminaryjna, u źródeł feministyczna, krytyczna, poetycka i radykalna, teraz poszerzająca pola badawcze o esej, dramat czy formy z pogranicza gatunków. Grupa spotyka się w Staromiejskim Domu Kultury i jest to najdłużej utrzymujące się seminarium, o jakim słyszałam. Przedyskutowano tam setki książek, a czuwająca nad Wspólnym Pokojem Beata Gula zawsze daje gościom małe, dziwaczne prezenty, które kupuje w lumpeksach i antykwariatach. Najczęściej ktoś piecze ciasto, a potem następuje, ma się rozumieć, wycieczka na Stare Miasto w celu znalezienia dogodnego miejsca na dalsze – nazwijmy to – wymiany symboliczne.

Słynne już seminaria organizuje w Warszawie Dariusz Czaja. Zjeżdża się na nie towarzystwo z Krakowa, Wrocławia i w ogóle nie-wiadomo-skąd. Nie mogę pójść na seminarium do Marii Janion i do końca życia będę zazdrościł Kazimierze Szczuce, która w legendarnym piśmie literac-

kim „Lampa” opowiadała o tych spotkaniach naprawdę sugestywnie. Ale mogę zorganizować seminarium sama. I właśnie je odpalamy. Profesor wysłał teksty źródłowe i nastąpił „płacz rewolucjonisty nad Heglem”. Nastąpił wykład i warsztat, nastąpiło ciasto i wino. Bo jak powiedział mi znajomy doktorant, „jeszcze nigdy nie widziałem seminarium, które nie przerodziło się w imprezę”. Sami Państwo rozumieją – każdy pretekst jest dobry. Nawet jeśli trzeba do tego poczytać Hegla i umyć podłogę przed wizytą gości.

Myślę dobrze o samokształceniu – ma świetlaną przyszłość jako działanie oddolne, integrujące, obywatelskie i nieinstytucjonalne, a co za tym idzie – niehierarchiczne. Pozwala modelować ścieżki edukacji, orientować się wokół wybranych profesorek i profesorów, bez politycznych czy towarzyskich przeszkód. Namawiam więc Państwa – otwierajcie własne seminaria i cieszcie się sobą, bo społeczeństwo otwarte czyni na dłuższą metę szybsze postępy i w lepszym kierunku niż społeczeństwo lękliwe czy rozbite.

**Namawiam Państwa – otwierajcie
własne seminaria i cieszcie się sobą.**

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

KURTYNA W GÓRĘ

GOLDA – PIERWSZA ŻELAZNA DAMA

Postać Goldy Meir najwyraźniej fascynowała Williama Gibsona – objawiła się mu jako mocna kobieta. Głośno wyrażała poglądy i zagrzewała do wspólnych działań. Stała się jedną z najbardziej wpływowych postaci swoich czasów. Przewodziła przez pięć lat Radzie Ministrów Izraela (a ćwierć wieku zasiadała w Knesecie), stała na czele Izraelskiej Partii Pracy, biorąc na barki odpowiedzialność za utrwalenie niepodległości młodego państwa. Gibson odtwarza niełatwą drogę Goldy, a chwile zwątpienia i prawdziwej trwogi przed klęską przekonująco ukazuje Ernestyna Winnicka. Bardzo ciekawie nakreślił portret, niepozabawiony znaków

zapytania – jednym z nich jest balansowanie na krawędzi wojny jądrowej, kiedy Golda w ogniu największego kryzysu walczy o zachowanie integralności Izraela.



Losy bohaterki ukazane są z konieczności w telegraficznym skrócie. Nie ma tu czasu na zdystansowaną refleksję czy podejmowanie pytań o możliwości alternatywnych rozwiązań. Reżyserka posłużyła się

nieskomplikowaną grą wspomnień – dając aktorce za partnerów rysunkowe portrety jej współpracowników w rządzie i generałów. Warto przypomnieć, że Golda nie była życzliwie portretowana za swoich dni. Ernestyna Winnicka, choć pokazuje twardą, czasem natchnioną działaczkę, przede wszystkim odsłania jej dobre emocje, wewnętrzną radość kobiety, która u kresu życia czuje, że nie zmarnowała szansy. Dlatego żegna widzów uśmiechem i przyjaznym „Szalom”.

Tomasz Miłkowski

William Gibson, „Balkon Goldy”, tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Marta Miłoszewska, Mała Scena Teatru Żydowskiego im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, premiera 8 listopada 2019

ZAJRZYJ TU

NA POWAŻNIE

DUCH NATURY I INNE BAJKI

Za kanwę ekspozycji posłużyła powieść łotrzykowska Jana Potockiego z przełomu XVIII i XIX w. „Rękopis znaleziony w Saragossie”. Potocki nadał powieści strukturę szkatułkową, kurator wystawy Marek Pokorný postępuje podobnie, łącząc w oryginalną całość prace, które stanowią autonomiczne opowieści. Tematem jest natura. Stąd tytuł wystawy, na której można odnaleźć także odniesienia do dziedzictwa filozofii przyrody, w tym do rozważań niemieckiego filozofa Friedricha W.J. Schellinga, oraz trapiących nas problemów ekologicznych i klimatycznych. Wśród autorów prac są Olaf Brzeski, Oskar Dawicki, Edward Dwurnik, Zofia Kulik, Joanna Malinowska, Paulina Ołowska, Wilhelm Sasnal i Janek Simon.

**KATOWICE,
MUZEUM ŚLĄSKIE,
DO 5 MAJA**



COMING OUT 2019

Coming Out to najbardziej prestiżowe wydarzenie organizowane przez Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Na 3 tys. m kw. po raz pierwszy prezentowane są 33 dzieła będące pracami dyplomowymi najzdolniejszych absolwentów stołecznej uczelni z roku 2019. Wystawie towarzyszy obszerny katalog.



Warto zobaczyć – i wystawę, i katalog – zwłaszcza że młoda polska sztuka cieszy się coraz większym zainteresowaniem jej miłośników i inwestorów.

**WARSZAWA, WOLA RETRO,
DO 15 GRUDNIA**

SZAPOŁOWSKA I KURTYZANA

Ponowne odczytanie dramatu ubranej w muzykę Verdiego „Damy kameliowej” przynosi kilka zaskoczeń. Traviata pokazuje metody uwodzenia nie tylko Alfreda Germonta, ale też jego ojca. Podsuwa gołą nóżkę i zawiązuje mu ocy, zapraszając do zabawy w ciuciubabkę. Staruszek jednak nie reaguje i namolnie prosi, aby wesółła pani dała spokój jego synowi. Grażyna Szapołowska, której do gustu przypadło teraz reżyserowanie w operze, wprowadza na scenę również córeczkę Violetty, jej służącą zaś ukazuje jako osobę ciężko chorą. W operze mamy więc dwie chore panie. Dobrze, że taniec Cyganów odbywa się zgodnie z tradycją, choć wzbogaca go bonus – występ chippendalesów. Publiczność nie może się nudzić. Zabrakło tylko w zakończeniu spektaklu basowego komunikatu lekarza: Umarłaaaaa.

Bronisław Tumiłowicz

Giuseppe Verdi, „Traviata”, reżyseria Grażyna Szapołowska, dyrygent Adam Banaszak, scenografia Ewa Kochańska, choreografia Karol Urbański, Opera Wrocławska, premiera 17 listopada 2019



Bruckner, nie Brückner

W numerze 47. w rozmowie z Andrzejem Boreyką błędnie napisaliśmy nazwisko kompozytora Antona Brucknera. Rozmówcę i Czytelników przepraszamy.

NA EKRANACH

KRAINA LODU 2

reż. Jennifer Lee i Chris Buck, prod. USA, już w kinach

„Kraina lodu” była przewrotną bajką o królewnie, która stwierdziła, że da sobie radę bez księcia. I słowa dotrzymała. Feministyczna animacja dała nam też hit „Mam tę moc”, który dziś już osiągnął podobny status co „Kolorowy wiatr” z „Pocahontas” – młodzież śpiewa (a przynajmniej próbuje śpiewać) go na co drugiej zakrapianej imprezie. I trzeba było na jednym filmie poprze-



stać, bo *sequel* przynosi głównie rozczarowania. Choć scenarzyści i autorzy piosenek dwoją się i troją, żeby doskoczyć do poprzeczki ustawionej kilka lat temu, nie udaje im się. Dobre są tylko momenty, które nie składają się na przejmujące perypetie, mimo niestandardowych postaci i nonszalancji w traktowaniu schematu bajki. Choć z sequeła wciąż przebija *girl power*, nie jest w stanie napędzić ociężałego scenariusza, w którym spotykają się klątwy, miłość i zaszłości z przeszłości. Broni się tylko ten ostatni wątek, który zadaje odważne pytanie o wiarygodność narracji historycznych. Bijącym bezrefleksyjnie pokłony dziadkom Polakom może on akurat dobrze zrobić. Ale pamięć o świetności jedyńki nawet w Polsce nie zamaże.

Artur Zaborski

SERIAL

WATAHA

W bieszczadzkim tyglu nie jest spokojnie. Straż Graniczna zatrzymuje migrantów próbujących uciec na Ukrainę, a Rebrov (Leszek Lichota), który wrócił do służby, niespodziewanie odkrywa miejsce wyjątkowo brutalnej zbrodni. Markowski (Andrzej Zieliński) rozpoczyna śledztwo. Do akcji wkracza Dobosz (Aleksandra Popławska), podejrzewając, że sprawa może mieć drugie dno. Znani bohaterowie mierzą się z nowymi wrogami, ale powracają też do starych spraw, dawno, wydawałoby się, zamkniętych, a życie bardzo ich zaskakuje. Jedno okazuje się niezmiennie – trudno komukolwiek zaufać. Serial wyreżyserowały Olga Chajdas i Kasia Adamik, scenariusz napisali Piotr Szymanek, Katarzyna Tybinka oraz Marta Szymanek. Do obsady dołączyli: Borys Szyc i rosyjska aktorka Evgeniya Akhremenko, Olga Boładź, Maria Maj, Filip Gurlacz, Agnieszka Suchora oraz Michał Kaleta.



HBO I HBO GO, OD 6 GRUDNIA

WIKINGOWIE

Od 5 grudnia na kanale History będzie można oglądać ostatni – jak zapowiadają twórcy – sezon „Wikingów”. W wielkim skrócie: bohaterowie podróżują do nieznanych miejsc, oddalonych od Kattegat o tysiące kilometrów. Tam spotykają potężnych wrogów i muszą po raz kolejny zmierzyć się z konsekwencjami śmierci Ragnara. Szósty sezon podejmuje wątek sporu między braćmi, z którego Björn wyszedł zwycięsko jako król. Ivar, poszukując sposobu na odcięcie się od przeszłości, trafia na Ruś Kijowską. Lagertha ma własny plan – chce prowadzić spokojne życie na farmie... Ale zwracamy uwagę na mocny wątek polski. Pomysłodawca serii Michael Hirst zaprosił do współpracy wrocławski Teatr Pieśń Kozła. W „Wikingach” usłyszymy dwa oryginalne utwory w jego wykonaniu, gościnnie w jednej z kompozycji występuje Anna Maria Jopek. Oglądajcie i słuchajcie!



HISTORY, OD 5 GRUDNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Olga Gitkiewicz

Nie zdążę

Dowody na Istnienie, Warszawa 2019

Reportaże komunikacyjne Olgi Gitkiewicz to opowieść o współczesnej Polsce, której nie widać na billboardach, która nie pasuje do telewizyjnej narracji o wstawianiu z kolan. Polsce wykluczonej komunikacyjnie. To Polska wsi i miasteczek, którym zabrano transport publiczny. Miejsc, gdzie problemem są nie korki i brak parkingów, ale codzienny trud dojazdu do pracy, lekarza czy



urzędu. Autorka sprzedała samochód, by na własnej skórze doświadczyć mizerności milionów mieszkańców polskiej powiatowej. Olga Gitkiewicz, której debiut „Nie hańbi” zdobył nominację do Nagrody Literackiej Nike, także w tej opowieści pokazuje bogactwo pisarskiego warsztatu. Lektura może uwierać, ale na pewno otwiera oczy, przypomina, że dla niektórych normalność wciąż jest spóźniona.

Rafał Piłkuła

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

NOWY FILM TWÓRCÓW MEGAHITU **NIETYKALNI**

Vincent Cassel

Reda
Kateb

Nadzwyczajni

PRAWDZIWA HISTORIA, KTÓRA TRAFIA PROSTO W SERCE

Film **ERICA TOLEDANO** | **OLIVIERA NAKACHE**

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”

W KINACH OD 6 GRUDNIA



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Kultura i dziewictwo narodowe

Obejrzałem „Supernovą” Bartosza Kruhlika, najlepszy debiut tegorocznego festiwalu gdyńskiego, wiedziony nie tylko pochlebnymi recenzjami, ale nade wszystko szczególnym wyróżnieniem, które ten film spotkało jeszcze przed premierą. Przypomnę, że w lipcu komitet organizacyjny festiwalu zignorował cztery rekomendacje komisji selekcyjnej i postanowił nie przyjąć filmów, które uznano za artystycznie niegodne lub niepasujące do konkursu głównego. Zrobił się raban w środowisku, głównie za sprawą najgłośniejszego rozczarowanego Xawerego Żuławskiego, którego „Mowę ptaków” także odrzucono. Ostatecznie organizatorzy dla świętego spokoju filmy przywrócili; potem okazało się, że w powszechnej opinii krytyków każdy z czterech tytułów wyróżniał się pozytywnie na tle reszty stawki. Ba, „Supernova” znalazła się w tradycyjnym rankingu miesięcznika „Kino” na szczycie listy, zaraz po zgłoszonym do Oscara, nagradzanym „Bożym cielem” Jana Komasy.

Wystarczy jedno spojrzenie na skład komitetu organizacyjnego, by oko zabolalo; drugi rzut oka wyjaśnia jeszcze więcej: Kurski Jacek zasiada w nim wespół z Lewandowskim Pawłem – dwóch żarliwych strażników prawdy, piękna i dobra narodowego, sterownik reżimowej telewizji i zastępca szeryfa resortu dziewictwa narodowego. Ekipę uzupełniały postacie zbyt szlachetne, bym chciał wymienić ich nazwiska w tym towarzystwie. Łatwo sobie wyobrazić, kto nadawał ton obradom komitetu i wpadł lekkomyślnie na pomysł cenzury, która tak rozsiewała środowisko filmowe. Wykluczenie przez pisowskich kaowców jest najwyższym probierzem jakości – krytycy mogą chybiać, ale kacyści nie mylą się nigdy. Postanowiłem więc przyjrzeć się dokładnie filmom niechcianym przez władzę i zrozumieć, jakimi kierowała się pobudkami.

Chęć wykluczenia „Mowy ptaków” akurat dziełu się przysłużyła, niemal mistycznie kontynuując tradycję kłopotów Andrzeja Żuławskiego z polskimi władzami. Syn zrobił film według scenariusza ojca i w hołdzie dla niego – i zaprawdę jest to film po żuławsku rozchełstany, zdecydowanie redundantny, trochę grafomański, neobarokowy, nowofalowy, niebywale żywiołowy. Może irytować, odrzucać, ale przecież jest wyrazisty, choć artystycznie ryzykowny, stanowi zatem istotną część obrazu naszej kinematografii, będąc zarazem zbiorowym portretem agonii rodzimej inteligencji w czasach hałaśliwego turbopatriotyzmu. Lecz nie za to akurat został wydalony, że mówi się

tutaj o Polsce różnorako, że się o niej szepcze i krzyczy z różnych punktów, tylko za to, że w którejś minucie *alter ego* starego reżysera wypowiada jedno nieprzychylnie zdanie o Kaczorze, tak właśnie go określając. Alarm! Czułość reżimowych podchujaszczuch nie pozwala na takie obyczaje. Urzędnicy resortowi nie są od rozumienia sztuki, mają czuć nad tym, by nie obrazić królowej (przepraszam, naczelnika).

W przypadku „Supernovej” mamy już do czynienia z alarmem prewencyjnym. W filmie nie pada bowiem żadna konkretna aluzja polityczna, poza wyjściowym wydarzeniem, wokół którego rozkręca się spirala pozostałych zdarzeń (i przemocy): polityk śmiertelnie potrąca przechodniów i ucieka z miejsca wypadku. W minionych latach limuzyny rządowe wstawiały się anegdotyczną liczbą stłuczek i kolizji, na szczęście nie tak tragicznych w skutkach – to jedyne skojarzenie z obozem władzy, które mógłby mieć widz. Rycerz niepokalanej Zawisza Brunatny wrąbał w rowerzystkę dopiero niedawno, choć zbiegiem okoliczności akurat w okolicach premiery „Supernovej”, czego oczywiście reżyser przewidzieć nie mógł. Co zatem ukłuło w oczy cenzorów? Co sprawiło, że poczuł zagrożenie, iż w negatywnym bohaterze widz rozpozna prawicową kanałię? Otóż w skrytce nad kierownicą trzyma on obrazek św. Krzysztofa, na którego odwrócie kryje się wizytówka

prostitutki. Snadź, domyślić się można, takie profanum zimnymi poty skropiło czoła komisarzy kulturalnych. Diabli ten języczek u wagi mógł pozbawić jeden z najlepszych polskich filmów bieżącego roku szans na nagrody. Bartosz Kruhlik zrobił film niskobudżetowy, władza zatem nie mogła się przyczepić do niegospodarności twórców – zatrudnił aktorów nieznanych i naturšczyków. Ściślej, aktorów nieznanych w kinie, bo główną rolę znakomicie wykonuje Marcin Hycnar, od lat gwiazda Teatru Narodowego (nieprzenikalność nisz teatralnych i np. serialowych, za sprawą której Hycnar może być w filmie „nową twarzą”, to wątek na osobny tekst). Przejmująco pokazuje złowrogo gęstniejącą atmosferę wokół tragedii, analizuje mechanizm linczu, w którym gniew przeradza się w nieważność, i uważnie spogląda na nową broń masowego rażenia – wszędobylskie smartfony gapiów. Mocny, poruszający dramat; ze wszech miar warto spojrzeć.

Wykluczenie przez pisowskich kaowców jest najwyższym probierzem jakości.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Propozycje kreatorów na rok 2020. Milan Fashion Week, 19 września 2019 r.

Tomasz Skowronek

Ubrani w ekologię

Włoska moda wyszła
obronną ręką z kryzysu

Włochy bardzo ucierpiały podczas kryzysu finansowego. Wiele rodzinnych przedsiębiorstw upadło albo musiało radykalnie obniżyć koszty. Ale jeden z kluczowych sektorów gospodarki pozostał konkurencyjny i obronił status światowego lidera – chodzi o branżę modową.

– Moda jest dla Włochów częścią życia. To coś, co mamy we krwi – wyjaśnia Claudio Marenzi, prezes firmy Herno z luksusową odzieżą. – Moda należy do naszej historii, a przyszłością tej branży jest jak najszerze rozpropagowanie przestania: świat potrzebuje jakości *made in Italy*.

Claudio przejął firmę Herno po rodzicach, Giuseppe Marenzim i Alessandrze Dianie. Przedsiębiorstwo rozpoczęło działalność w 1948 r. w miasteczku Lesa nad brzegiem jeziora Maggiore w Piemontcie. W pobliżu rzeki Erno (od której pochodzi nazwa firmy) najpierw powstała fabryka płaszczy przeciwdeszczowych. Giuseppe Marenzi opracował sposób poprawienia wodoodporności tkanin poprzez zastosowanie oleju rycynowego, którego używano również jako paliwa podczas II wojny światowej. Alessandra Diana zajmowała się szyciem płaszczy, a Claudio pomagał rodzicom przy produkcji. Ojciec dodatkowo zajmował się sprzedażą, która szybko zaczęła rosnąć. Interes szedł na tyle dobrze, że już w latach 60. XX w. rodzinne przedsiębiorstwo zaczęło szyć inne ubrania, m.in. męskie garnitury i sukienki dla pań.

Dekadę później wyroby Herno pojawiły się na rynkach europejskich.

Punktem zwrotnym dla firmy były lata 90., gdy zaczęła produkować odzież dla najbardziej znanych luksusowych grup modowych, w tym Prady, Gucciego i Louisa Vuittona. Kiedy Claudio przejął przedsiębiorstwo, marka jeszcze bardziej rozszerzyła ekspansję na rynki zagraniczne. Obecnie eksport stanowi ok. 70% całkowitego obrotu zakładu. Przychody Herno z 7 mln euro w 2007 r. wzrosły do ok. 105 mln w roku ubiegłym.

Tożsamość tej marki opiera się na jakości i funkcjonalności w połączeniu z elegancją i włoskim stylem. Obecnie przedsiębiorstwo jest jedną z najbardziej prestiżowych firm modowych. To tylko przykład globalnego sukcesu włoskiej mody.

Sila w rodzinie

– 83% włoskich marek modowych i tekstylnych należy do rodziny, to głównie mikropresiębiorstwa i małe firmy – mówi Carlo Fei, profesor ekonomii na Wolnym Międzynarodowym Uniwersytecie Nauk Społecznych w Rzymie (Libera Università Internazionale degli Studi Sociali, LUISS). Według niego właśnie więzi rodzinne umożliwiły im stawienie czo-

ła kryzysowi gospodarczemu. – Firmy rodzinne były w stanie szybko na niego zareagować.

Według badań przeprowadzonych przez AIDAF (Associazione Italiana delle Aziende Familiari) i Uniwersytet Bocconiego włoskie rodzinne firmy mody są przeważnie małe – 40% osiąga obroty między 20 a 30 mln euro – a działają zazwyczaj w branży odzieżowej (70,4%) i obuwniczej (17%). Są to przeważnie biznesy mające co najmniej dwie dekady historii – sześć na dziesięć firm powstało ponad 25 lat temu i skupia się w trzech obszarach Włoch: Lombardii (27,3%), Veneto (23,4%) i Toskanii (13,1%).

Według danych włoskiego stowarzyszenia handlowego Confartigianato, reprezentującego rzemieślników i producentów, w latach 2007-2017 sprzedaż tekstyliów, odzieży, skóry i obuwniczości wzrosła o 17,7%. W roku 2018 przemysł związany z branżą modową wygenerował obrót w wysokości 93 mln euro.

Pomimo tak świetnych wyników na tej branży również odcisnął się kryzys finansowy. Wiele firm odzieżowych koncentrowało się na rynku wewnętrznym, ale ludzie podczas kryzysu rzadziej kupują nowe, droższe i lepszej jakości ubrania. W tej sytuacji część rodzinnych przedsiębiorstw musiała rozwinąć eksport.

Marka odzieżowa Carla G z Emilii-Romanii przez prawie cztery dekady działała praktycznie tylko we Włoszech. W czasie kryzysu weszła na zagraniczne rynki i zajęła się sprzedażą online. Obecnie sprzedaje swoje produkty w Stanach Zjednoczonych, Rosji, Niemczech i Szwajcarii, a w ostatnim czasie otworzyła sklepy

w Genewie, Nyonie oraz na Teneryfie. Dzięki temu jej kondycja ekonomiczna jest bardzo dobra.

Na wybiegu w Mediolanie

Według raportu Deloitte Global Powers of Luxury Goods 2018 we Włoszech działa najwięcej koncernów z branży dóbr luksusowych, a takie marki modowe jak Grupa Prada i Giorgio Armani plasują się na liście 25 firm z najwyższym wskaźnikiem rocznej sprzedaży. Z Włoch pochodzi również sześć z 25 najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw wyrobów luksusowych, a Valentino i Furla znalazły się w pierwszej piątce tego zestawienia. Ogółem ok. 40% ekskluzywnych firm odzieżowych i obuwniczych ma siedzibę we Włoszech.

W samym tylko Mediolanie istnieje 13 tys. firm modowych, a ich dochód to mniej więcej jedna piąta PKB miasta. Produkty z Lombardii (zarówno odzież, jak i wyroby skórzanego) stanowią znaczną część włoskiego eksportu mody. W 2016 r. eksport regionu wyniósł 9,2 mld euro.

Mediolan nie zawsze był stolicą włoskiej mody. Do lat 50. XX w. modowe trendy w ogóle wyznaczała Francja. Jednak w lutym 1951 r. toskański przedsiębiorca Giovanni Battista Giorgini poprowadził pierwszy włoski pokaz mody w swojej florenckiej rezydencji w Palazzo Torrigiani. Z czasem we Florencji powstało kilka luksusowych marek, takich jak Emilio Pucci, Roberto Cavalli czy Gucci.

Kolejną mekką włoskiej mody został Rzym, a zawdzięczał to kinematografii. W latach 60. Federico Fellini, Pier Paolo Pasolini czy Vittorio De Sica bardzo chętnie kręcili filmy w Wiecznym Mieście. Coraz częściej stolica Włoch stawała się też tłem dla dzieł zagranicznych reżyserów i producentów. Amerykańskie i europejskie aktorki wywarły duży wpływ na modę, czyniąc Rzym nową jej stolicą.

Dopiero na początku lat 70. serce branży modowej zaczął podbijać Mediolan. Nadchodził okres rewolucji społecznej i bum „linii montażowej”. Lombardzkie miasto stało się ważnym centrum przemysłu tekstylnego. Właśnie tutaj rozpoczęli karierę projektanci Giorgio Armani i Gianni Versace. Mediolańska dzielnica Quadrilatero della Moda uchodzi za jedną z najdroższych i najbardziej prestiżo-

wych na świecie. W jej neoklasycznych rezydencjach znajdują się liczne butikie największych światowych domów mody.

Świadectwem pozycji Mediolanu jest Milan Fashion Week – odbywające się co pół roku pokazy mody, często urządzone w pobliżu słynnych zabytków, takich jak Piazza Duomo lub dziedziniec Castello Sforzesco, albo innych prestiżowych miejsc w mieście. Wydarzenie to przyciąga największych projektantów mody, modelki, celebrytów, artystów i turystów. W tym najbardziej kosmopolitycznym mieście Włoch rok temu narodziła się również Confindustria Moda: federacja firm i stowarzyszeń z branży modowej. Należy do niej ponad 67 tys. firm, które zatrudniają 580 tys. pracowników i osiągają obroty rzędu 88 mld euro rocznie. Przemysł modowy i tekstylny stanowi około połowy nadwyżki w handlu zagranicznym Włoch. Sektor tekstylny na Półwyspie Apenińskim koncentruje się w takich miejscowościach jak Prato, Castel Goffredo, Carpi, Como,

Wszystkie najważniejsze włoskie domy mody inwestują w innowacje, by uzyskać naturalne tkaniny.

Vicenza i Biella. Właścicielami firm nie zawsze są Włosi. W miasteczku Prato niedaleko Florencji znajduje się ok. 4 tys. fabryk odzieży kontrolowanych przez Chińczyków, a zakłady te każdego dnia produkują milion ubrań

Nylon po nowemu

– Włochy produkują 41% tekstyliów i akcesoriów wytwarzanych w Europie. Jesteśmy numerem dwa na świecie, po Chinach. Różni się tym, że wytwarzamy luksus. To oznacza zarówno odpowiedzialność, jak i szansę – mówi Carlo Capasa, przewodniczący Krajowej Izby Mody (Camera Nazionale della Moda). – To szansa, ponieważ włoskie marki mają dostęp do lokalnych tkalni, garbarni i szwalni, wpływają na cały lokalny łańcuch produkcyjny. Włochy mogą się stać liderem zrównoważonej mody – wyjaśnia i dodaje: – Świat i młode pokolenie wymagają od nas, abyśmy wreszcie zaczęli bardziej świadomie zajmować się naszym środowiskiem.

Kwestie ochrony środowiska są decydujące dla przyszłości mody

– w końcu to druga najbardziej zanieczyszczająca branża na świecie. Ten problem został nawet poruszony podczas konferencji „Textile Sustainability” w Mediolanie. Od dłuższego czasu wszystkie najważniejsze włoskie domy mody prowadzą badania i inwestują w innowacje, by uzyskać naturalne tkaniny oraz ulepszyć proces ich produkcji. Na przykład Armani stworzył całą kolekcję z tkanin wykonanych z konopi, lnu i bawełny, poddawanych naturalnej obróbce na wszystkich etapach.

Projektantka Miuccia Prada już przed laty mówiła o konieczności znalezienia ekologicznej alternatywy dla nylonu – symbolicznej tkaniny marki – która zachowałaby te same walory techniczne i estetyczne. Wszystkie te cechy ma regenerowany nylon, na którym opiera się projekt Prada Re-Nylon. Ekologiczna odzież to sposób na przyszłość, dlatego Prada rozpoczęła współpracę z Aquafil, firmą z Trydentu założoną w 1969 r., która produkuje ECONYL®, opatentowaną nić nylonową wykonaną z tworzywa

sztucznych odzyskiwanych w oceanach lub na składowiskach. Dzięki procesowi depolimeryzacji i repolimeryzacji przedza ta może być bez końca poddawana recyklingowi bez utraty jej właściwości.

Innym pionierem w poszukiwaniu ekologicznych tkanin jest przedsiębiorstwo Loro Piana, które z okazji najnowszej edycji Milano Unica zaprezentowało Clima System, innowacyjną membranę grafenową. Jest to materiał naturalnego pochodzenia, który może gromadzić ciepło ciała i równomiernie rozprowadzać je na noszonej odzieży.

Natomiast firma Max Mara opatentowała Camellux, włókno z odpadów z obróbki wielbłądziej wełny, wykorzystywanej do wyrobu słynnych płaszczy marki, które w połączeniu z poliestrem z recyklingu umożliwia uzyskanie wysokiej jakości przędzy.

Jak widać, włoscy producenci dążą do tego, aby produkty *made in Italy* nie tylko kojarzyły się z doskonałością i jakością w branży modowej, ale również miały pozytywny wpływ na środowisko. ■



Czy współczesne
dziennikarstwo
potrafi skutecznie
opisywać zmiany
klimatyczne?

Katastrofa bez słów

Mieszkańcy zalanej
w czasie powodzi wioski
Badra Sonata w stanie
Uttar Pradesh w Indiach
przenoszą się w bez-
pieczne miejsce.

Mateusz Mazzini

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy doniesienia medialne o kolejnych drastycznych zmianach pogodowych lub katastrofach naturalnych przypominały bardziej relacje z wydarzeń sportowych niż opisy zjawisk przyrodniczych. Niemal za każdym razem padało w nich słowo rekord, autorzy z trudem obywali się bez przymiotników największy, najwyższy, nieporównywalny. Do tego stopnia, że słowa te w kontekście opowiadania o klimacie straciły

kronikarskiego opisywania końca świata, przy użyciu tych samych słów, co najwyżej z innymi danymi liczbowymi.

Opisać niewyobrażalne

Czy w takim razie praca dziennikarza ma jeszcze jakiekolwiek szanse w starciu ze zmianami klimatycznymi? Innymi słowy, czy pisanie kolejnych tekstów informujących ludzkość, że stoi na krawędzi przetrwania, ma sens? Odpowiedź, wbrew pozorom, nie jest jednoznaczna.

(Przygody w antropocenie), jest zdania, że katastrofę klimatyczną można porównać tylko do ludzkich wyobrażeń o eksploracji kosmosu i podróżach międzygwiezdnych – wiemy o nich podobnie niewiele, a ogrom możliwych scenariuszy i konsekwencji dla jednostki oraz całego rodzaju ludzkiego przerasta naszą wyobraźnię.

Zrozumieć niezrozumiałe

Co więcej, katastrofa klimatyczna jest trudna do opisywania, ponieważ niesie nieznane czytelnikom doświadczenia. Owszem, katastrofy naturalne czy nagłe zmiany pogodowe zdarzały się zawsze, ale czym innym jest pojedyncze gradobicie w środku lata, a czym innym przyzwyczajenie się do 20- albo 30-stopniowych skoków temperatury zdarzających się coraz częściej nawet z dnia na dzień. Nie ma w ludzkiej historii analogii do takich zjawisk. Nigdy dotąd nie przechodziliśmy jako ludzkość przez proces dosłownie globalny, taki, który naprawdę obejmuje każdą żyjącą na naszej planecie istotę. Choć wielu wydarzeniom nadawaliśmy wcześniej przymiotnik światowy, często były to słowa na wyrost.

Dotychczas wydarzeniem najbliższym definicji globalnego była II wojna światowa, ale trudno tu

Klimatyczna wojna na słowa nie została jeszcze przegrana.

moc. Pisanie o jeszcze jednym rekordzie temperatury, następnych tysiącach hektarów amazońskiej dżungli strawionych przez pożary i wymieraniu kolejnych gatunków już na niewielu robi wrażenie, a wkrótce wszyscy przejdą nad tym do porządku dziennego.

Piszący o klimacie dziennikarze znaleźli się w potrzasku. Z jednej strony, podążają drogą jednokierunkową, i to w zawrotnym tempie, bo kolejne rekordy będą padać coraz szybciej, lasy tropikalne Amazonii nie przestaną płonąć, a zwierzęta – wymierać. Z drugiej zaś, ich praca powoli zamienia się w monotonię

Pierwszy problem walki słownej z katastrofą klimatyczną wynika bezpośrednio z jej skali i natury. Reporter i pisarz Filip Springer zwraca uwagę, że obecne zmiany w przyrodzie należy definiować jako tzw. hiperobiekt – zjawisko tak ogromne, że ludzki umysł nie bardzo jest w stanie objąć go jako całość, nie potrafimy sobie wyobrazić jego potencjalnych konsekwencji. Pod tym względem niewiele wydarzeń z historii ludzkiej cywilizacji da się porównać do zmian klimatycznych. Brytyjska dziennikarka Gaia Vince, autorka bestsellerowej książki „Adventures in the Anthropocene”

znaleźć analogie do katastrofy klimatycznej. Jej skutki odczuwa już dziś naprawdę każdy człowiek na świecie – problem w tym, że prawie każdy w inny sposób. W jednych częściach globu temperatura stopniowo się podnosi, w drugich, znacznie mniejszych, spada, a jeszcze gdzie indziej – skacze nieregularnie w ogromnych amplitudach. Jedni z nas muszą sobie radzić z szalejącymi pożarami i coraz dłuższymi suszami, drugich zalewają powodzie. Ludzie żyjący bliżej natury katastrofę klimatyczną widzą w wysychających rzekach, umierających lasach czy mniej obfitych plonach, mieszkańcy miast odczuwają ją w wyższych cenach żywności, upałach czy coraz częstszych przerwach w dostawach prądu i bieżącej wody.

Wreszcie różnią nas poziomy świadomości tego, co się dzieje z naszą planetą i jak powinniśmy temu procesowi przeciwdziałać. Wydaje się, że osoby lepiej wykształcone i sytuowane, co często przekłada się na lepszy dostęp do informacji, powinny więcej wiedzieć o klimacie i aktywniej przeciwdziałać jego zmianom. Bywają to jednak działania raczej symboliczne, np. ograniczenie jedzenia mięsa (bo nie całkowita rezygnacja z niego), okazjonalna zamiana samochodu na rower czy komunikację miejską, sporadyczne porzucenie planów podróży samolotem na rzecz pociągu. Więcej jest też w tej grupie tzw. klimatycznych denialistów, czyli osób negujących katastrofę klimatyczną jako taką, a już na pewno kluczową rolę człowieka w jej przyspieszaniu. Jeśli dodać do tego decydentów, którzy wciąż przedkładają interesy korporacji i państw narodowych nad przyszłość jedyne go znanego nam miejsca we wszechświecie możliwego do zamieszkania, widać jak na dłoni, że o żadnej wspólnocie klimatycznych doświadczeń nie może być mowy.

Wyjaśnić, a nie uprościć

Do tego wszystkiego należy dodać trudności językowe z przedstawieniem zmian klimatycznych. Zjawiska składające się na te zmiany często wymagają wyjaśnienia skomplikowanych procesów naukowych. Upraszczenie przekazu nie wchodzi

tutaj w grę, bo jednym z elementów sukcesu w walce o uratowanie planety jest szczegółowe zrozumienie, co właściwie z naszą Ziemią się dzieje. W praktyce oznacza to, że czytelnikowi albo widzowi za każdym razem poza kasandrycznymi wiadomościami trzeba serwować obfitą porcję ciężkiego, naukowego słownictwa. Oczywiście można to zmieścić odpowiednimi metaforami, jednak i z tym dziennikarstwo ma spory problem. Raz po raz

Różni nas poziom świadomości tego, co z naszą planetą się dzieje i jak powinniśmy temu przeciwdziałać.

w mediach pojawiają się chociażby rozmiary śladu węglowego pozostawianego przez samoloty pasażerskie, zderzane z podróżami innymi środkami transportu. Przy konstruowaniu takich metafor ważne jest jednak zastanowienie się, w jakiej formie działają najskuteczniej. Mając do wyboru porównanie lotu samolotem do czterokrotnego okrążenia Ziemi wzdłuż równika lub pokonania 200 tys. km samochodem, pamiętajmy, że najprawdopodobniej żaden z naszych adresatów po równiku nie jechał, a 200 tys. km za kierownicą – owszem, miał szansę zrobić.

Czy zatem w informowaniu o klimacie skazani jesteśmy na porażkę? Niekoniecznie. Wszystko jest

kwestią doboru słów. Ludzka historia zna bowiem niezliczone przypadki zmiany masowego postrzegania nawet najbardziej oczywistych do interpretowania zjawisk dzięki odpowiedniemu tokowi opowiadania. A rozmowa o klimacie powoli zaczyna się zmieniać. Sam fakt, że przestaliśmy mówić o globalnym ociepleniu, zastępując ten termin dużo bardziej wymowną katastrofą klimatyczną, jest dowodem na prawdziwość tej tezy. W dodatku

w niesamowitym tempie rozwija się, jeszcze niedawno nieistniejąca, komunikacja naukowa.

Ośrodki badawcze, instytucje uniwersyteckie zaczynają coraz skuteczniej przedstawiać wyniki swoich badań masowemu odbiorcy, do pewnego stopnia wyręczając nawet nas, dziennikarzy. Wreszcie w dobie nieustannej produkcji i wymiany informacji dysponujemy nieograniczonym wręcz zasobem historii ilustrujących każdy element czy proces katastrofy klimatycznej. Klimatyczna wojna na słowa nie została jeszcze przegrana. Nie wolno jednak zapominać, że cały czas się toczy – równoległe z walką o uratowanie naszej planety. ■

BEZPŁODNA ROZALKA MOŻE ŻYĆ! PROSIMY POMÓŻ JĄ OCALIĆ!



Zamiast dobrze jej znanych kątów ma samotność i strach. Miała na człowieka zarabiać, rodząc kolejne zrebaki, a nie chce się zarezbić. Dostała za to wyrok śmierci. Na wsi nie przystoi, by koń nic nie robił, tam nikt nie będzie trzymał darmożjada. A Rozalka trzymana była tylko po to, by ródzić. Co rok. To tłumaczy wszystko i daje przyzwolenie, by Rozalkę zabić.

Rozalka ma dopiero 5 lat i właśnie dobiega końca jej krótkie życie. Właściciel woził swoją wielką i ciężką klaczkę do ogiera, licząc, że da mu duże, więc drogie zrebaki. Wodził ją kilka razy. Bez efektu. Ostatnim kursem zawioził ją więc do skupu koni rzeźnych. Termin zabicia został już wyznaczony.

Możemy odmieść los Rozalki, ale bez Ciebie się to nie uda. Klacz waży ponad tonę i jest skazana na rzeź. Więc bezcenne życie Rozalki warto jest tyle, ile ona waży. **Potrzeba aż 9500 zł, by ją uratować. Czas na spłatę rozalkowego życia mija 15 grudnia.**

Ten apel to już ostatni bój o życie bezpłodnej Rozalki. Potrzebuje ona bardzo wielu przyjaciół, by go zwyciężyć. Czy znajdziesz i w Tobie sojusznika, który pozwoli jej wygrać życie? Ona nie ma nikogo, kto by jej pomógł.

Jeśli możesz prosimy dokonać darowizny z imieniem ROZALKA na konto:
PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350
 ul. Walbrzyńska 6-8, 52-314 Wrocław
 Masz pytania? Zadzwoń 518 569 487 lub 518 569 488
 Więcej informacji oraz regulamin pobierania tapet znajdziesz na stronie
WWW.CENTAURUS.ORG.PL
 Za każdą pomoc bardzo dziękujemy!

WYŚLIJ SMS O TREŚCI ROZALKI NA NUMER 7412 KOSZT 4,92 ZŁ I KUP TAPETĘ

Stajnia handlarza to miejsce, w którym spotykasz wiele koni. Najpewniej jeśli trafisz tam ponownie, choćby za kilka dni, ich już nie będzie. Będą inne, czekające, aż i dla nich opadnie trap rzeźnickiej ciężarówki. Stajnia handlarza to miejsce, gdzie śmierć zaciera swoje kościste ręce, wiedząc, że droga stąd prowadzi do ubojni. W stajni handlarza w szeregu stoja konie skazane na rzeź. Nie zależy też nic od wielkiej i potężnej Rozalki.

Rozalka, zamiast spędzić kolejną zimę w swoim domu, w którym przyszła na świat, ma rzeźnicki sznurek na głowie.

Jacek Karczewski

Jeden, ale śpiewa z syrinksu!

Wszystkie zwierzęta lubią muzykę, ale tworzą ją tylko ludzie, wieloryby i niektóre gatunki ptaków. Ptaki śpiewające wydają głosy za pomocą tzw. krtani tylnej, czyli syrinksu, niedawno odkrytego szczegółu anatomicznego, znajdującego się w końcowym odcinku tchawicy. Tutaj rurkowaty narząd rozdziela się na dwa niezależne korytarze uchodzące do oskrzeli. Wygląda jak odwrócone Y. I to jest to! Dzięki niemu ptaki mogą wydawać różne dźwięki jednocześnie. Gdy z jednej ścieżki wychodzą tony niskie, druga produkuje wysokie. Szpaki np. mogą to zmienić w setnych ułamkach sekundy. Sto razy szybciej niż nasze mrugnięcie. Śpiewający ptak poza głosem i skomplikowanymi nutami musi jeszcze skoordynować oddychanie, pracę dzioba, języka i... nóg. Lepiej, żeby nie spadł z drzewa w tym podniosłym momencie. Są i tacy, co wolą śpiewać, unosząc się w powietrzu. Dla innych ważne jest ułożenie piór, skrzydeł i całego ciała. To nie wszystko. Niektóre ptaki do swoich popisów wokalnych włączają specjalną choreografię: tańczą! Tylko one i my. A zarządza tym wszystkim ptasi mózg. Każdy śpiewający ptak to mały człowiek orkiestra. Wystarczy, że napnie albo poluzuje odpowiednie mięśnie i skieruje na nie strumień wydychanego lub wdychanego powietrza. Mikroskopijne włókna mięśniowe wprawiają w wibracje ultraczułą błonę, która wyścięła syrinksu, odpowiednik naszych strun głosowych. Jej drgania produkują głosy i dźwięki w tempie, za którym ani nasze ucho, ani głowa nie są w stanie nadążyć – czasami ponad 30 nut na sekundę! (...)

Różne gatunki mają różny potencjał

Nie wszystkie ptaki są uzdolnione muzycznie. Nie wszystkie mają syrinksu. Sępy, kormorany czy pelikany komunikują się gwizdami, piskami, chrząknięciami lub gardłowym krakaniem. Pomysłowe bociany poszerzyły swój ograniczony repertuar o klekotanie. Za to ptaki, które mają syrinksu, czyli wróblowate (termin zwykle używany zamiennie ze śpiewającymi), papugi, kolibry i dzwonniki, należą do

Ptaki mają głos

Odzywają się dużo, często i na różne sposoby. Najczęściej są to praktyczne komunikaty do partnerów, dzieci, współtowarzyszy i sąsiadów

absolutnej elity, razem z niektórymi delfinami, wielorybami, nietoperzami i jednym tylko naczelnym – *homo sapiens*. Zwierzęta te nie tylko ze zrozumieniem naśladowują dźwięki i głosy, ale przede wszystkim dzielą je, łączą i przekształcają na swoje potrzeby. Na wszelki wypadek powtórzę: dzielą, łączą i przekształcają! Oraz przekazują dalej. W tym miejscu zaczyna się język! Naukowcy nazywają to z angielskiego *vocal learning*. Wiedzą o tym ci, którzy mają w domu np. szpaka albo papugę, które wyłapują różne głosy i odgłosy, imitują je, rzucają w eter i sprawdzają, co się stanie. Gdy pojawi się jakaś reakcja otoczenia, ptaki zapamiętują dźwięk lub frazę, które ją wywołały, i ponownie wykorzystują w kolejnych eksperymentach społecznych. Robią to ze szczerej pasji do dźwięków. A może chęci nawiązania z nami kontaktu? Czasami najlepszym sposobem, żeby choć na chwilę wyłaczyć trajkoczącego bez przerwy ptaka, to zainteresować go jakimś nowym dźwiękiem. On go przetwarza, a my napawamy się ciszą. Jennifer Ackerman, autorka „Geniuszu ptaków”, opisuje w swojej książce afrykańską papugę żako, którą mieli jej znajomi. Throckmorton perfekcyjnie imitował różne dźwięki, chętnie bawiąc się kosztem domowników. Na przykład wołał panią głosem pana. Robił to tak wiernie, że ta zawsze dawała się nabrać. Jego ulubionym numerem była zabawa w głuchy telefon. Gdy pan przybiegał zdy-

Majowe słowiki, które nie znalazły jeszcze partnerki, śpiewają przez całą dobę z krótkimi przerwami na sen i posiłek. Słowik rdzawy.

Lekcja śpiewu z tatą wilgą.

szany z garażu, ptak naśladował jego sposób odbierania telefonu, a następnie kończył dźwiękiem rozłącznej rozmowy. Do pani oczywiście też dzwonił. To jednak nic w porównaniu z prowokacyjnym szczekaniem, którym doprowadzał do szału miniaturowego sznaucera, a z nim wszystkich obecnych w domu. Podobne „poczucie humoru” miała kakadu Konrada Lorenza. Któregoś dnia „z tym czymś w oczach” (to słowa profesora) wykradła kłębek włóczki z koszyka jego żony, która pasjami robiła na drutach, chwyciła za wolny koniec i z dzikim wrzaskiem latała wokół rosnącego przy ich domu kasztanowca, aż go całego oplotła, a w kłębku skończyła się wełna. (...)

Ptaki śpiewające obok charakterystycznych dla danego gatunku zawołań wrodzonych mogą nauczyć się każdego kodu i każdej pieśni. Gile wychowywane z kanarkami będą ćwierkały i śpiewały jak kanarki, podobnie jak mały Peruwianczyk wychowywany przez Marię i Jana Kowalskich w Kielcach będzie mówić po polsku z lokalnym akcentem. Jeśli dziecko nie będzie miało kontaktu z żadnym językiem, będzie tylko bełkotać. Tak samo bełkotać będzie ptak, który nie miał okazji usłyszeć i nauczyć się

żadnej pieśni. I my, i one możemy próbować nadrobić straty w dojrzałym wieku, ale im później zaczniemy, tym bardziej niepewny będzie efekt końcowy. Niektóre ptaki, jeśli nie dostaną takiej szansy, zanim dorosną, już zawsze będą tylko bełkotać. Różne gatunki mają różny potencjał, tak samo jak poszczególne ptaki różnią się indywidualnymi zdolnościami. Niektóre mogą nawet jąkać się albo seplenić. (...) Większość wróblaków osiąga 90% przyszłej masy dorosłego w ciągu pierwszych 10 dni życia! Tempo ich wzrostu jest niewiarygodne nawet jak na ptasie standardy. To krytyczny okres dla rozwoju każdego ptaka. Niedobór jedzenia w ciągu kilku zaledwie godzin może przesądzić o pewnych umiejętnościach lub funkcjonowaniu niektórych narządów.

maleńka wąsatka. W całej Polsce żyje ok. 2 tys. par. Niestety, tak niewielka liczebność to dzisiaj częsty przypadek. To, co naprawdę czyni ją wyjątkową, to jej obyczaje, wielki urok osobisty i mocne, hipsterskie wąsy. Oczywiście tylko u samczyków. Stroszą je w czasie wiosennych pokazów i w chwilach podniecenia. Wówczas w ruch idą też szaro-niebieskie kapturny i długie, ekstrawaganckie ogony. Mali tancerze rozkładają je jak wachlarze i z zapamiętaniem przerzucają z boku na bok. Mogą przy tym zawisnąć pomiędzy trzcinami w pozycji pogłębionego szpagatu. Mogą nawet w ten sposób przemieszczać się w górę i w dół... A wszystko dzieje się w głębokim trzcinowisku, gdzie nikt ich nie widzi. Taki status pomaga im zachować cynamonowo-ru-

zewnętrzną czara jest już gotowa, samczyk wyściela jej nieckę najdelikatniejszym materiałem, jaki znajduje w trzcinowisku – puchem zeszłorocznych pałek, kłoskami trzcin, piórami, miękkim włosiem i... rybimi łuskami. Gdy w gniazdach pojawiają się jaja, w kolonii zapada cisza. Na co dzień subtelne nawoływania wąsatek stają się jeszcze delikatniejsze lub w ogóle ustają. Ptaki nie chcą ryzykować bezpieczeństwa kolonii.

Wąsatki są słabymi lotnikami. Gdy inne ptaki migrują do ciepłych lub choćby trochę cieplejszych krajów, one przeczekują zimę w swoim trzcinowisku. W końcu będą jadły prawie wyłącznie maleńkie i niskokaloryczne nasiona pałki i trzcin. Może to z powodu tej ubogiej diety wąsatki są zaskakująco wrażliwe na załamania pogody? Wiosenne nawroty zimy i przeciągające się przymrozki mogą zdziesiątkować całe kolonie. Nie pomaga nawet to, że tyle się do siebie przytulają, wzajemnie ogrzewają i iskają. (...)



To dlatego karmiący rodzice uwijają się jak w ukropie, czasami na granicy wycieńczenia. Lepiej 10 robaków za dużo niż jeden za mało. W eksperymencie z australijskimi zeberkami dobrze odżywione młode odwozowały potem 95% fraz dźwiękowych swoich nauczycieli, rodziców i sąsiadów. Źle odżywione – tylko 70%. Dla nas to może niewiele, ale dla wybrednych samiczek – bardzo dużo. Efekt był taki, że tamte samczyki nie miały szans na znalezienie partnerki na swoim terenie. Ich piosenka już zawsze zdradzała trudne dzieciństwo. (...)

400 języków

W poczet biebzańskich „niewidocznych” doskonale wpisuje się

do-szare barwy. Z dwojga trudnego łatwiej je usłyszeć niż zobaczyć. Przecież muszą się jakoś komunikować tam, gdzie trudno utrzymać kontakt wzrokowy.

Towarzyskie z natury wąsatki mają bardzo przyjazne usposobienie. Przez cały rok trzymają się w grupach po kilka-kilkanaście ptaków. Jak śpiewają swoje skromne nuty, to też grupowo! Żadnych oznak terytorializmu czy rywalizacji. Wiosną kumple i kumpelki z komuny łączą się w pary. On i ona wspólnie wiją cynamonowo-rudo-szare gniazdko. Kunsztowne i doskonale ukryte, najchętniej obok gniazda innej pary. Wąsatki preparują w tym celu długie i giętkie włókna, które odrywają od liści trzcin i pałek wodnych. Gdy

Chcesz wiedzieć, gdzie dokładnie w Afryce spędziły zimę i które tam poleciały szpaki, drozdy, rokitniczki i łożówki? Posłuchaj, co zaśpiewają wiosną. Pamiętaj tylko, żeby oddzielić wątki srok, kosów, skowronków, mazurków i innych ptaków zasłyszanych na miejscu. Ścieżka dźwiękowa łożówek pokrywa się z ich szlakiem migracyjnym. Cały czas łowią dźwięki i nigdy nie przestają się uczyć. Prawdziwi pasjonaci. Czasami śpiewają tematycznie, np. całą suitę najróżniejszych zawołań wróbla albo kosa. Przed chwilą wiernie kopiowały, a już improwizują. Kiedy indziej miksują dowolne głosy i gatunki. Najwyraźniej wiedzą, kto co śpiewa w oryginale, i potrafią to katalogować w swojej głowie, zupełnie jak płyty na półce. Pewna niewielka populacja łożówek miała w swoim repertuarze łącznie 212 różnych melodii, każdy samczyk śpiewał ich średnio 76. Belgijka Françoise Dowssett-Lemaire zrobiła doktorat ze śpiewu łożówek. Przez 15 lat jeździła za nimi z aparaturą nagrywającą i sonografem nawet do Afryki. Mówi, że to, co zawsze robiło na niej największe wrażenie, to ilość materiału dźwiękowego, który te ptaki przyswajają, oraz łatwość, z jaką go potem przetwarzają. (...)

Na przykład remiz. Ptaszek w masce Zorro, dzięki niej nie do pomylenia z żadnym innym, mimo że jego marna piosenka niewiele się różni od tzw. głosów kontaktowych. I w zasadzie tylko takie jest jej zadanie: zasygnalizować jego obecność. To, na co naprawdę zwracają uwagę pozbowione masek samiczki, to budowane przez niego gniazdo. W nim samczyk lokuje cały swój geniusz i energię. Tka je z włókien i puchów roślinnych, które spaja pajęczynami. Dzięki temu cała konstrukcja staje się zaskakująco elastyczna i wytrzymała. Wygląda jak gruba, wełniana rękawica z jednym palcem, zawieszona gdzieś na obwodzie drzewa, na cienkich i niedostępnym gałązkach, często wprost nad wodą. Gdy gniazdo jest prawie gotowe, remiz zaprasza swoim świergotem kolejne samiczki na oględziny. No, chyba że już pierwsza skorzysta z jego oferty. Ważna jest lokalizacja. Poza bezpieczeństwem najbliższa okolica musi zapewnić pokarm matce i przyszłym dzieciom. Samiczki są bardzo wymagające i za byle szafas się nie oddadzą, więc samczyki całą wiosnę zajęte są puchatą deweloperką. Gdy pierwsza partnerka składa jaja w pierwszym gnieździe, on już zaplata fundamenty pod drugie. Dobry i doświadczony budowniczy zdobędzie w ten sposób dwie lub trzy żony w sezonie, a najlepsi nawet cztery, które zapewnią im kilkunastu potomków. A może tak im się tylko wydaje...? Ostatecznie dom to jedno, a gwarancja ojcostwa to drugie. Smaczku całej historii dodaje to, że samczyk na poważnie wiąże się tylko z ostatnią z partnerek i to jej pomoże wychować pisklęta. Poprzednie żony muszą same zadbać o rodzinę.

Malownicze i przytulne gniazda podobają się nie tylko remizom. Inne drobne ptaki też chętnie z nich korzystają. Zakładają w nich własne albo traktują jako noclegownie. Dawniej ludzie po wsiach używali remizowych gniazd jako onucy lub ciepłych skarpet. (...)

Łozówka to przeciwieństwo remiza. Jej koncert trwa 30 minut! Po nim krótka przerwa i następny. Żadna normalna samiczka nie wytrzyma tyle czasu w jednym miejscu, obojętnie jak wygodna jest gałązka, na której usiadła. Przede wszystkim to dużo



Przez dom do serca partnerki. Znają to nie tylko remizy.

więcej, niż ona potrzebuje, żeby ocenić kondycję przyszłego partnera. Do tego materiał jest tak złożony, że nie nadaje się na zawodowy *assessment* (termin kadrowy, który oznacza ocenę kompetencji i predyspozycji pracowników lub kandydatów do pracy). Po co więc tyle zachodu? Może jednak ptasie śpiewy mają nie tylko praktyczne znaczenie? Może wychodzą nawet poza estetyczne poszukiwania wymagających jurorów? Może ptaki po prostu lubią śpiewać? Czy śpiewający szpak, trznadel albo łozówka nie wyglądają na zadowolonych? Jakby chciały powiedzieć: tylko spójrzcie na mnie! Jest jeszcze coś: samiczki łozówek oceniają swoich potencjalnych partnerów raczej po wielkości i jakości zajętych przez nich terytoriów niż po ich talencie wokalnym. Oczywiście nie można wykluczyć, że ci z lepszą piosenką mają też lepsze terytoria. (...)

Podczas gdy my, ssaki, znaczymy swoje terytoria moczem i kałem, boskie ptaki śpiewają. Skowronki nie przestają nawet wtedy, gdy jakiś drapieżnik siada im na ogonie. Właściwie to śpiewają wtedy jeszcze głośniej i jeszcze szybciej! (I bez tego wyrzu-

cają z siebie dziesiątki nut w każdej sekundzie). Tak jakby chciały w ten sposób pokazać, że się nie boją, że są w świetnej formie i nie dadzą się złapać. Lepiej więc będzie dla takiego myszołowa, żeby np. poszukał sobie innego obiadu, bo na ten i tak nie ma szans... Ptaki załatwiają głosem większość swoich spraw. Poza wyjątkami odzywają się dużo, często i na różne sposoby. Najczęściej są to praktyczne komunikaty do partnerów, dzieci, współtowarzyszy i sąsiadów. „Tu jestem!”, „A ty gdzie jesteś?”, „Ale mam wielkiego robaka!”, „Masz coś?”, „Kot! W nogi!”, „Wynoś się, to mój ogród!”. Im bardziej ptaki są zajęte i im gorsza widoczność, tym więcej gadania. Dotyczy to głównie tych, które trzymają się w mniejszych lub większych grupach. Ptaki, które żyją w multikulturowych (wielogatunkowych) społecznościach, wykształciły nawet coś na kształt zrozumiałego dla wszystkich *Basic English*. Każda modraszka i wszyscy jej sąsiedzi rozumieją głośny alarm spłoszonego kosa. To w sytuacji, gdy wróg zaskoczył kosa i jedynym wyjściem jest szybka ucieczka. Co innego, gdy zięba zobaczyła kota, który jeszcze nie zobaczył zięby. Wówczas sąsiedzi usłyszą jej ciche i subtelne „siii” i każdy rozumie, że musi być czujny, bo na dole czai się zagrożenie. Ale więcej zyska, zachowując dyskrecję, niż gdyby nerwowym gdakaniem zdradził swoje położenie. Podobnym, a może nawet takim samym „siii” odezwałaby się modraszka, bogatka czy któraś z pokrzewek. Gatunek nie ma znaczenia. Znaczenie ma rodzaj i kierunek zagrożenia. To jak podstawowa instrukcja bezpieczeństwa, każdy musi wiedzieć, jak się zachować i dokąd bezpiecznie uciekać. Przed krogulcem na dół i w głąb krzaka. Przed kotem do góry i na zewnątrz... Prawdopodobnie jeszcze więcej sygnałów ptaki przekazują sobie językiem ciała i zachowaniem. W chwilach próby wzywają pomocy i razem bronią swojej polany, chociażby krzykiem. Kiedy indziej przedrzeźniają, prowokują, a nawet zwodzą i oszukują...

Fragment książki
 Jacka Karczewskiego
Jej wysokość gęś.
Opowieści o ptakach,
 Wydawnictwo Poznańskie,
 Poznań 2019



Prezes zrobił mostek

Edward Mikołajczyk

To historyczne wydarzenie gimnastyczne poprzedziły staranne przygotowania ciała akrobaty do takiego wyczynu oraz – w warstwie umysłowej – konsekwentne podążanie za głosem nieomyślnej, jak się okazało, własnej intuicji. Mostek niby każdy może zrobić, ale tylko ten jeden wykonawca jest zdolny do nadania swojemu wygiętemu ciału misji publicznej oraz rangi symbolu architektonicznego, jakim jest łuk triumfalny.

Trudno dzisiaj wyrokować, czy prezentowana figura będzie jakimś wzorem dla innych projektów obchodzących łukiem polskie wiktorie. Może w samotności doczeka własnego utrwalenia w spiżu. Na razie istnieje w dwóch realizacjach. Pierwsza to „Triumfalny Łuk Kurski Upamiętniający Wygraną Polskiej Telewizji na Eurowizji” w cyklu „Andrzej rysuje” (Wyborcza.pl 26.11.2019). Druga realizacja ma postać zapisu wideo rozmowy Edyty Lewandowskiej z Wiktorią Gabor i Jackiem Kurskim w „Gościu Wiadomości” w ostatnią niedzielę listopada. Mimo zasadniczej różnicy pomiędzy nośnikami tego samego projektu obie jego wersje równie plastycznie oddają atletyczny wysiłek charyzmatycznego prezesa budującego łuk.

„Muszę spytać mojego narodu, czy moja intuicja przypadkiem się nie myli”, opowiadał prezes swojej pracownicy, wspominając moment, kiedy osobiście postanowił, że 12-letnia Wiktoria będzie reprezentować ich firmę na Konkursie Piosenki Eurowizji dla Dzieci w Gliwicach, a potem nawiedziły go wątpliwości. Naród nie zawiódł prezesa i potwierdził jego nieomyślność.

I stało się. Dziewczynka wystąpiła w konkursie, a prezes zwyciężył.

Oświadczył, że nie było dotąd piękniejszego, większego, przygotowanego z takim rozmachem koncertu telewizyjnego, a realizacja była lepsza niż niejednej Eurowizji dla dorosłych. „Krótko mówiąc – podsumował – to jest odbudowa potęgi telewizji, nie tylko w rozrywce, ale również i w sporcie. Nie było przecież reprezentacji Polski w piłce nożnej, nie było mistrzostw świata w siatkówce czy w koszykówce, myśmy mieli odwagę odbudowywać siłę telewizji publicznej”.

W zeszłym roku, przypomnę, konkurs Junior Eurovision odbył się w Mińsku (Białoruś) i wygrała go Roksa Węgiel. Przypadek? Prezes jest odmiennego zdania. „Obiecywałem odbudowę siły i prestiżu telewizji pu-

blicznej. To podwójne, rok po roku, zwycięstwo w Junior Eurovision jest ESENCJĄ i KULMINACJĄ właśnie tej odbudowanej pozycji, bo to nie tylko NIEBANIE SIĘ takich formatów”.

Czy człowiek takiej odwagi i m.in. wynalazca reprezentacji Polski w piłce nożnej nie zasłużył za życia na osobisty łuk triumfalny?! Dobrze, że zaczął skromnie od mostka w ostatnią niedzielę listopada.

Junior Eurovision nie wyczerpuje jednak listy ofiar niebania się prezesa, którą jego naród na zawsze już powinien z nim kojarzyć. Otóż w tę samą wymarzoną niedzielę prezes przesunął na wcześniejsze godziny (tzn. wy-mógł na organizatorach) konkurs skoków narciarskich do Pucharu Świata w Wiśle Malince, tak by transmisja

na żywo z tych zawodów nie pojawiła się na antenie równocześnie z transmisją koncertu z Gliwic. Telewizja Polska ma dość anten, żeby jednocześnie nadawać kilkanaście przekazów na żywo. Tym razem jednak prezes nie zapytał „swojego narodu”, jak ma postąpić. Uznał wiedziony niezawodną intuicją, że potrzebne mu są głosy internautów i cała widownia Jedyńki, żeby wygrać konkurs gliwiczki. I się nie przeliczył, bo te głosy zmieniły werdykt jury i umożliwiły triumf dziewczyny z Polski.

W Wiśle tymczasem zastanawiano się, czy w ogóle

nie odwołać drugiej serii skoków, bo wiał mało przewidywalny wiatr, a na zeskoku nie dało się równo udeptać śniegu. Skocznia ma oświetlenie i skoki nie tylko ładniej wyglądają, kiedy robi się ciemno, ale także są bezpieczniejsze, bo wiatr cichnie, a temperatura spada. Dziesięciu zawodników zaliczyło upadek. Wizualną pamiątką tego polskiego otwarcia zawodów Pucharu Świata pozostanie rozkwaszona twarz Piotra Żyły.

Wizualną pamiątką polskiego otwarcia zawodów Pucharu Świata pozostanie rozkwaszona twarz Piotra Żyły.

„Niebanie się” jako przymiot prezesa dotyczy przede wszystkim kłamstwa. Zamienił Telewizję Polską w nadajnik pisowskiej propagandy, a ciągle mówi, że to jest telewizja publiczna.

Z powodu formatu Junior Eurovision wyrzuty sumienia dopadną go, dopiero kiedy Roksa i Wiktoria dorosną. Na razie zaprosił obie dziewczynki na sylwestra do Zakopanego. ■





Dziewczyny schodzą ze stacji Ōwakudani kolejki linowej nad wulkaniczną Doliną Piekła.

JAPONIA

WIDZIANA OCZAMI POLSKIEJ DZIEWCZyny



Tokio, kompleks świątynny Sensō-ji. Do sanktuarium Nishinomiya Inari zmierzają orszak ślubny.

Japonia, kraj wyspiarski usytuowany na archipelagu zachodniego Pacyfiku, jest najbardziej jednolitym narodowościowo i jednym z najbardziej zaludnionych państw świata. Liczba ludności w połowie 2019 r. wynosiła 126,2 mln osób.

Japończycy przede wszystkim cenią harmonię. Ogromny wpływ na kulturę, obyczaje i mentalność miały i nadal mają nauki Konfucjusza oraz *bushido* – niepisany zbiór zasad etycznych samurajów. Dzięki nim Japończycy cechują się honorem, zdyscyplinowaniem, stoicyzmem, powściągliwością i ogromnym szacunkiem zarówno dla starszych, jak i dla przełożonych. W stosunkach międzyludzkich panuje konformizm.

Zdjęcia pochodzą z albumu „Japonia widziana oczami polskiej dziewczyny” i powstały podczas trzech podróży do Japonii w 2008, 2014 oraz 2018 r. Są próbą opowiedzenia o tym kraju przez pryzmat obserwacji młodych kobiet.

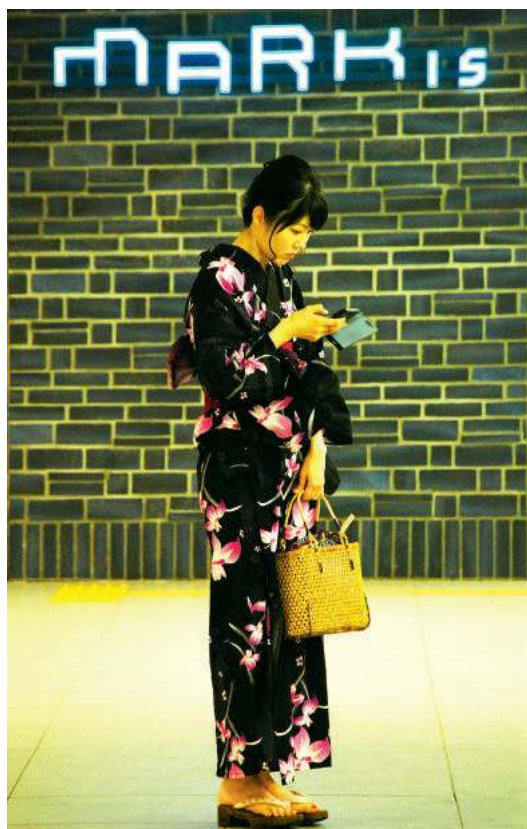
Andrzej Kotnowski



Gion, zabytkowa dzielnica Kioto, potocznie nazywana jest dzielnicą gejsz.



Nowożeńcy w sanktuarium na wyspie Itsukushima w mieście Hatsukaichi w prefekturze Hiroshima.



Tradycja i nowoczesność. Gdyby nie smartfon, czekanie na pociąg by się dłużyło.



Oprawa muzyczna ceremonii zaślubin. Na zdjęciu członkowie orkiestry.

Stephanie Land
Sprzątaczką

Chwilami szokująca relacja Stephanie z pracy przy sprzątaniu domów, opis warunków zatrudnienia, stosunków z pracodawcami i klientami. To również wstrząsająca opowieść o ubóstwie w USA i historia ludzi, którzy nie są w stanie zrobić na życie, chociaż dają z siebie wszystko.



Błażej Strzelczyk
Moja żona głaszcze jeże

Czy długi, udany związek to wynik wielu kompromisów, czy raczej sporadycznego rzucania talerzami? A zakochanie? Czy zawsze w końcu znika? Bohaterowie opowiadają o tym, co w małżeństwie najważniejsze – o radościach, kłótniach, wybaczeniu, dzielonych pasjach. O tym, jak istotne są dotyk i uśmiech. O miłości z przyjaźni i przyjaźni w miłości.



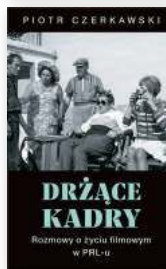
Każdemu jego śmietnik

Głównym bohaterem jest tu śmieć – domowy i wysypiskowy, patriotyczny i zagraniczny, niechciany i pożądany. Słowem – literacka hałda mistrzowsko posortowanych zachwyty nad pięknem nieoczywistym. Śmieci opisują m.in.: Beata Chomątowska, Paweł Dunin-Wąsowicz, Zbigniew Mikołajko, Małgorzata Rejmer, Anda Rottenberg, Filip Springer.



Piotr Czerkawski
Drżące kadry

To w PRL powstały największe polskie dzieła fabularne i dokumentalne, rodzime filmy były popularne za granicą, a gwiazdy kina Polski Ludowej do dziś świecą najjaśniejszym blaskiem. Krytyk filmowy i dziennikarz rozmawia z reżyserami, którzy na stałe wpisał się w historię polskiej kinematografii.



Michał Römer
Miłość z lupanaru
Intymny dziennik wileńskiego adwokata

Przypadek, z którego rodzi się głębokie uczucie. Historia prawnika Michała Römera i Anny Wolberg – dziewczyny „z ludu”, która przez splot nieszczęśliwych okoliczności trafia do domu publicznego. Wielka literatura i unikatowy zapis życia Wilna z początku XX w.



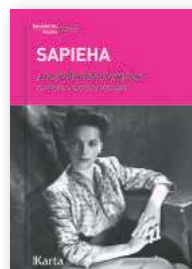
Janina Konarska
Dwór na wulkanie
Dziennik ziemianki z przełomu epok 1895-1920

Burzliwa epoka przełomu na tle prywatnego życia autorki. W realia dworu wkrada się świat zewnętrzny: rewolucja 1905 r., wybuch wojny, przetaczanie się kolejnych frontów, formowanie się niepodległości.



Virgilia Sapieha
Amerykańska księżna
Z Nowego Jorku do Siedlisz

Wspomnienia z lat 1933-1939 amerykańskiej pisarki, żony księcia Pawła Sapiehy. Intrygujący opis arystokracji, śląskich przemysłowców i warszawskiej elity z perspektywy cudzoziemki.



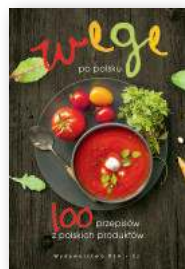
Anna Artemiejewa, Jelena Raczewa
Niezarekwirowane
Historie ludzi, którzy przeżyli to, czego boimy się najbardziej

Bohaterami książki są ludzie GUŁagu: więźniowie i ci, którzy w nim pracowali. Zapis epoki stalinizmu, ale też dzisiejszej świadomości o represjach i konsekwencjach tej traumy.



Nikołaj Niepomniaszczyj
Tajemnice zaginięć
Ludzie, skarby, cywilizacje

Kto skradł Monę Lisę? Co się stało z Arką Noego? Gdzie jest Święty Graal? Czym się zajmowali mieszkańcy Atlantydy? Czy zamieszkiwali Syberię? Czy istniało Eldorado? Kto widział pociąg widmo? Co ma wspólnego Saint-Exupéry z Machu Picchu? Pasjonująca lektura od początku do końca!



Wege po polsku
100 przepisów z polskich produktów

Małe przekąski na ciepło i na zimno, sałatki, zupy, dania główne, a także owocowe słodkości. Przepisy na dania bez wyszukanych składników, na bazie lokalnie uprawianych warzyw, które rosną w przydomowym ogródku lub które można znaleźć na najbliższym bazarze.



Jerzy Bralczyk
Zwierzyńnik

Jak w polszczyźnie funkcjonują różne dziecięcy, sarny, żaby i chrząszcze... Zbiór błyskotliwych felietonów wybitnego językoznawcy poświęconych ponad 100 gatunkom zwierząt, od kleszcza po jelenia, pięknie zilustrowanych przez Zofię Różycką.



Olga Kora Sipowicz
Miłość zaczyna się od miłości

Wyjątkowa książka jednej z największych polskich artystek. Niepublikowane zapiski Kory przeniesione z oryginalnych zeszytów, które kolekcjonowała. Utwory poetyckie, szkice piosenek, intymne notatki. Piękny prezent nie tylko dla jej fanów.

SONIA DRAGA

ALBATROS

Agnieszka Jeż, Paulina Płatkowska

**Niewierność
Uwikłani w historię**

Opowieść o (nie)wierności, powinności, przeznaczeniu, zawłościach uczuć i wyborów. Kolorowa albo szara, ale nigdy czarno-biała. W tle kilkadziesiąt lat powojennej historii: PRL z jej zdobyczami, triumfami, absurdami i przewinami, czasy przełomu i wolności.



Joanna Chojnacka

Następnego roku w Warszawie

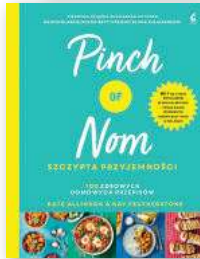
W 1946 r. do Warszawy wraca żydowski krawiec Moryc Wajman. Miasto jednak nie jest już takie jak wcześniej – większość bliskich zginęła, zgłiszczą wypełniają obcy. Powracają wyrzuty sumienia i historie – zarówno te z czasów wojny, jak i te zdecydowanie wcześniejsze.



Kate Allinson, Kay Featherstone

**Pinch of Nom
Szczypta przyjemności**

Pyszne i sycące posiłki. Proste i szybkie dania. Przepisy, które wychodzą za każdym razem. Od szybkiego śniadania i poniedziałkowej kolacji do piątkowej rozpusty, niedzielnego obiadu i deseru bez wyrzutów sumienia.



Rosa Ventrella

Historia porządnej rodziny

Włochy, lata 80. XX w. W najstarszej dzielnicy Bari z dwójką starszych braci, Giuseppe i Vincenzem, wychowuje się Maria. Mała buntownicza zaprzyjaźnia się z chłopakiem z ubogiej, „złej” rodziny. Przyjaźń umacnia się z biegiem lat i przeradza w miłość...



ARKADY



Stefano Zuffi

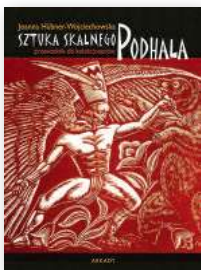
Caravaggio. Zbliżenia

Album pokazuje dorobek Michelangela Caravaggia z nowej perspektywy – poprzez całościowe zbliżenia fragmentów wybranych dzieł. Detale te przedstawiono w dziewięciu grupach tematycznych, m.in. martwe natury, pięć zmysłów czy wymowne gesty. Oryginalny i napisany przystępnym językiem tekst przybliży najważniejsze dzieła artysty

Joanna Hübner-Wojciechowska

Sztuka Skalnego Podhala

Jedyny taki przewodnik, który zawiera informacje historyczne oraz wskazówki dla kolekcjonerów i wszystkich miłośników Skalnego Podhala, których pociąga nie tylko magia gór, prostota dawnej architektury, ale też uroda przedmiotów codziennego użytku. Dla jednych to podróż w czasie widziana z perspektywy artystów, dla innych – wtajemniczenie w arkanę sztuki o tematyce tatrzańskiej.



Mario Puzo

Ojciec Chrzestny. Trylogia

Wyjątkowe wydanie ze wstępem Francisca Forda Coppoli, przygotowane z okazji 50-lecia wydania „Ojca Chrzestnego”. W skład trylogii wchodzi powieść tytułowa, „Sycylijszyk” i „Omerta”. Na podstawie każdej z nich powstały cieszące się ogromną popularnością filmy. Trzy porywające opowieści o honorze i nienawiści, szacunku i pogardzie, miłości i śmierci.



Lucinda Riley

Pokój motyli

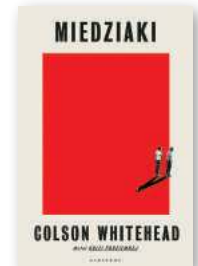
Zapomniana przeszłość, skomplikowane relacje uczuciowe i mroczne sekrety to znaki rozpoznawcze książek tej autorki. W najnowszej powieści brytyjska pisarka przenosi wielbicielek swojej prozy do malowniczego hrabstwa Suffolk, do rodzinnej posiadłości Posy Montague.



Colson Whitehead

Miedziaki

Autor „Kolei podziemnej” podejmuje kolejny dramatyczny wątek z historii Ameryki. Tym razem akcja rozgrywa się na Florydzie w latach 60. XX w., a fabuła koncentruje się na losach dwóch czarnych chłopców skazanych na pobyt w poprawczaku. O grozie, ten zakład istniał naprawdę – przez 111 lat przewinęły się przez niego tysiące podopiecznych, których poniżano i katowano.



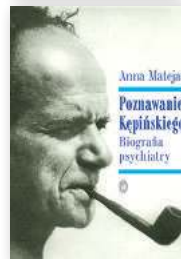
WYDAWNICTWO LITERACKIE



Annette Hess

W niemieckim domu

Kontrowersyjne spojrzenie na wojenną historię. Głos ma tu podzielone niemieckie społeczeństwo, świadectwa więźniów obozu w Auschwitz są podważane, a okrutni oprawcy wybielani. Czy prawda ma szansę wyjść na jaw, a sprawcy mordu zostaną ukarani?



Anna Mateja

**Poznanie Kępińskiego
Biografia psychiatry**

Antoni Kępiński – na jego książkach wychowały się całe pokolenia. Do zawodu lekarza wiodła go długa droga – od rozpoczętych przed wojną studiów w Krakowie, przez żołnierską tułaczkę po okupowanej Europie, obóz koncentracyjny w Hiszpanii, studia i praktyki w Edynburgu – i niewiele brakowało, by miast psychiatrą został pilotem RAF.



Gisele Bündchen

**Lekcje. Moja droga
do dobrego życia**

Supermodelka i filantropka Gisele Bündchen dzieli się osobistą historią, przemyśleniami i prywatnymi fotografiami, opisując ludzi, wartości oraz wydarzenia, które ukształtowały jej życie.

Piotr Szarota
Paryż 1938

Rozpisana na 12 miesięcy kronika końca pewnego świata, którą czyta się jak powieść. Wśród bohaterów znaleźli się flirtująca z faszystami Coco Chanel, przesyłająca depesze z Hiszpanii Ernest Hemingway oraz kompozytorzy z Warszawy: Stefan Kisielewski i Andrzej Panufnik.


Ladislav Čumba
Wittgenstein: wiadomo, że...

Autor nie jest filozofem i w swojej książce nie skupia się na myśli filozoficznej Wittgensteina. Interesują go natomiast realia, w jakich żyli Ludwig i jego rodzina. Ma w tym określony cel – próbuje odpowiedzieć na pytanie, co skłoniło syna jednego z najbogatszych wówczas Europejczyków do zajmowania się czymś tak nieopłacalnym jak filozofia.


Sylvia Plath
Dzienniki 1950-1962

Zbiór obejmujący ostatnie lata życia Sylwii Plath: studia, zmagania z depresją, kulisy małżeństwa i powstawania najważniejszych wierszy, aż do samobójczej śmierci. Ten intymny obraz pozwala lepiej zrozumieć jej twórczość, zwłaszcza wiersze składające się na tomiki „Kolos” i „Ariel”.


Zuzanna Ginczanka
Poezje zebrane (1931-1944)

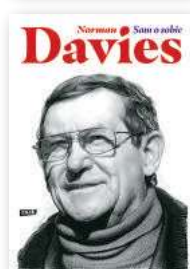
Ginczanka była legendą przedwojennej Warszawy, zaprzyjaźniona ze Skamandrytami i młodzieżą artystyczną skupioną wokół Gombrowicza. W tomie znalazły się wszystkie odnalezione utwory, wzbogacone o te dotąd niepublikowane: odnaleziony rękopis poematu „Pieśń nad Pieśniami” oraz wiersze z prasy.


Roman Warszewski
Dzikowska

Dziennikarka, redaktorka „Kontynentów”, gwiazda telewizji, współtwórczyni programu „Pieprz i wanilia”, krytyczka i kolekcjonerka sztuki. Jej droga na szczyty nie była łatwa. Za swoje odważne decyzje często musiała płacić wysoką cenę. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki.


Ks. Józef Tischner
Mądrość człowieka gór

Józef Tischner był zawsze mocno związany z górami. Cała jego filozofia była przepelniona mądrością ludzi gór. Miał zwyczaj mawiać, że jeśli czegoś nie da się przełożyć na góralski, to znaczy, że w ogóle nie warto tym się zajmować. Jego myśli inspirują, pobudzają do refleksji.


Norman Davies
Sam o sobie

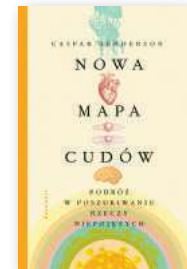
Brytyjski historyk po raz pierwszy opowiada tak osobistą historię: o rodzinie, dorastaniu w Bolton, karierze nauczyciela, związkach z Francją i Polską, samochodach, futbolu, trudnych decyzjach, odważnych celach. Wszystko w charakterystycznym Daviesowym stylu – pełnym anegdot i ze szczyptą angielskiego humoru.


Tadeusz Konwicki
Iwan Konwicki, z domu Iwaszkiewicz. Biografia

Najsłynniejszy kot wśród celebrytów, największy celebryta wśród kotów. Charakterny i złośliwy kot Iwan nie jest wytworem literackiej fantazji Konwickiego, lecz pełnoprawnym członkiem rodziny, przez 18 lat zamieszkałym przy ul. Górskiego w Warszawie.

Caspar Henderson
Nowa mapa cudów

Czym można się zachwycić we współczesnym świecie? Co dziś jest cudem? Autor sięga do różnych kultur oraz do czasów współczesnych i zabiera nas w podróż, od australijskich Aborygenów do świętych miejsc w Wielkiej Brytanii, zadając pytania o podstawy poznawcze cudów i związek między cudem a nauką.


Marcin Rychcik
Krecone siekiera 9 seansów Smarzowskiego

Smarzowskiemu zarzucają, że tworzy kino mroczne, brudne. Autor zanurza się w tej filmowej rzeczywistości. Z jego obserwacji i rozmów z aktorami oraz członkami ekip filmowych wyłania się fascynujący świat kina i sam reżyser jako artysta bezkompromisowy.


Zofia Posmysz
Pasażerka

Spotkanie na statku zmusza bohaterki do stawienia czoła przeszłości i zmierzenia się z dramatycznymi wspomnieniami. Jedną z najważniejszych książek dotyczących wojny i rozliczeń z przeszłością. Opowieść świadka historii, wielka lekcja o ludzkiej naturze i przestroga dla przyszłych pokoleń.


Barbara Rybaltowska
Magia przeznaczenia

Młoda Francuzka przyjeżdża do Polski w poszukiwaniu śladów przodków. Opowieść o rodzinie odkrywa przed nią historie z Polski czasu zaborów, z rewolucji rosyjskiej, z przedwojennej Francji, II wojny światowej, współczesnej Polski i Paryża ostatnich dziesięcioleci. Saga rodzinna w jednym tomie.

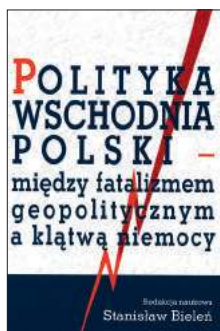
Ten Wschód siedzi w naszych głowach

Pisać, że Polska nie ma polityki wschodniej, to jak ogłaszać, że dwa plus dwa to cztery. Wiadomo, że nie ma. Bo nie sposób nazwać polityką tego, co jest.

A dlaczego nie ma? Ha! Łatwe pytanie, trudna odpowiedź.

Ambitne zadanie poszukiwania odpowiedzi na pytanie o powody nieistnienia polskiej polityki wschodniej postawiła przed sobą grupa badaczy z Katedry Studiów Wschodnich Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Efektem ich prac jest książka „Polityka wschodnia Polski – między fatalizmem geopolitycznym a klątwą niemocy” pod redakcją naukową prof. Stanisława Bielenia.

Mamy więc namysł nad tym, ile w polskich działaniach w stosunku do wschodnich sąsiadów racjonalności, a ile emocji i resentymentów. Ile teraźniejszości i przyszłości, a ile przeszłości. Ile działań dotyczących realnych interesów, a ile...



No właśnie, może chodzi tam o coś zupełnie innego? Modna w świecie naukowym jest teza, że tak naprawdę polityka zagraniczna mniej służy realizacji interesów państwa, a bardziej budowaniu jego tożsamości, że jest skierowana do wewnątrz. Że państwo prowadzi politykę zagraniczną taką, jaką chcieliby widzieć ci, którzy ją obserwują – przede wszystkim w kraju, ale też za granicą. Na przykład Francja prowadzi politykę na miarę

dawnego imperium, bo ono siedzi w głowach jej elit. A Rosja? Czy ktośkolwiek z rosyjskich elit wyobraża sobie inną politykę zagraniczną niż nawiązującą do lat chwały? Nawet jeśli nie do lat chwały XX w., to do XIX stulecia i upamiętniających sukcesy rosyjskiego oręża tablic w sali św. Jerzego na Kremlu. Nawiasem mówiąc, wśród kawalerów Orderu św. Jerzego nadzwyczaj wielu ma polskie nazwiska.

W takim razie – jaki obraz Polski tkwi w głowach polskich elit, tych rządzących? I jaką Polskę chcą przedstawiać?

Chyba nie trzeba roztaczać tej wizji, bo koń jaki jest, każdy widzi. Tym obrazem jest Polska otoczona przez wrogów i sojusz rosyjsko-niemiecki. I na dobrą sprawę nie jest istotne, czy ten sojusz istnieje i czy Rosja Polsce zagraża, czy nie, bo istotne jest to, w co Polacy wierzą. Ba, nie jest ważne, czy Rosja istnieje i jaka jest naprawdę, bo liczy się to, co tkwi w naszych wyobrażeniach.

Stanisław Bieliński próbuje z tym walczyć, ale – patrząc realnie – prędzej zakrzycka go, że jest rusofilem, niż on coś im wytłumaczy.

A że tłumaczy logicznie – niech posłuży ta próbka:

„Straszenie Polski Rosją jest wyłącznie skutkiem aberracji w jej postrzeganiu. Intensywne nasilanie rusofobii na długie lata eliminuje Polskę z gry na wschodzie Europy, ale co gorsza, pozbawia ją także udziału w wielu projektach odbudowy relacji Zachodu z Rosją.

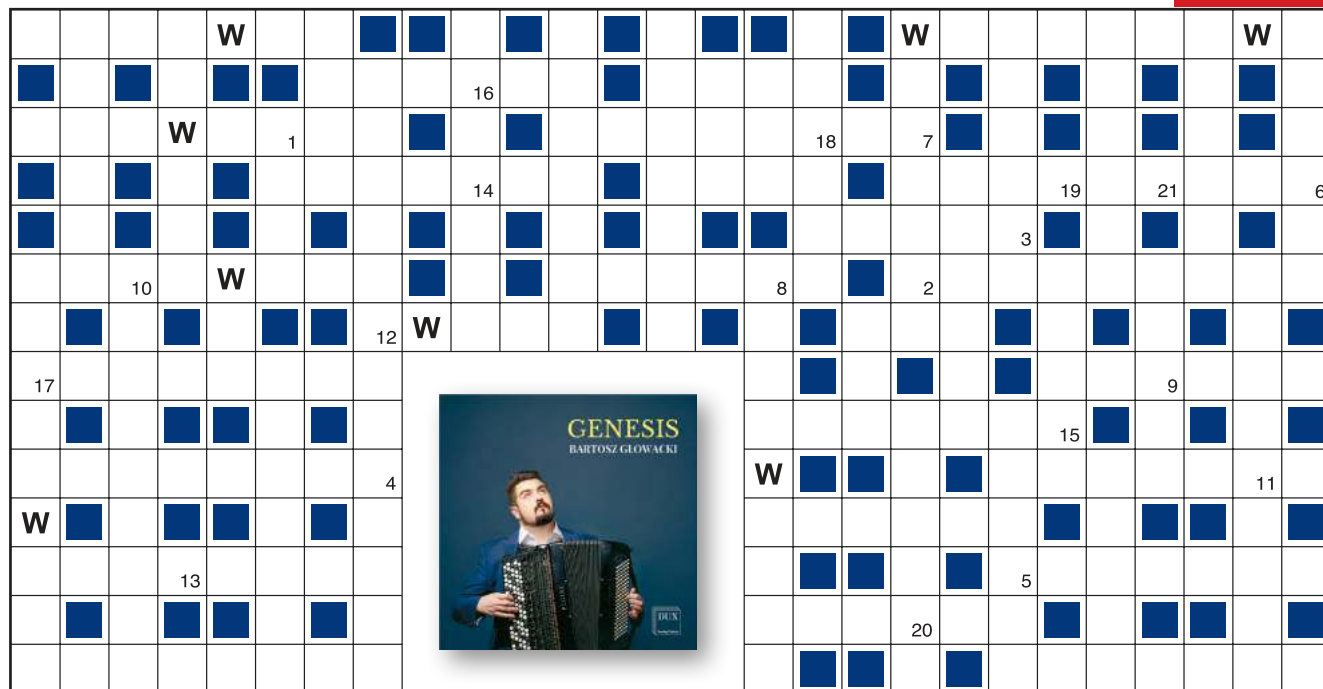
Dystansowanie się wobec Rosji wcale nie umniejsza wagi problemu rosyjskiego w polskiej polityce. Rosja stale bowiem pozostaje dla Polski jednym z najważniejszych strategicznych punktów odniesienia. Bez niej Polacy nie są w stanie siebie zdefiniować ani określić swojego miejsca w Europie. Afektywny stosunek do Rosji, przedstawianej w czarnych barwach, służy konstruowaniu polskiej tożsamości jako państwa zwalizowanego wobec Ameryki”.

Jedną książką Polski się nie zmieni. Nie o to zresztą chodzi. Ważne jest, by myśląc o Wschodzie, włączyć myślenie. I to już będzie sukcesem.

Robert Walenciak

Urlop z tygrysem w parku safari Port Lympne w angielskim hrabstwie Kent. Przez wielkie okna luksusowych apartamentów hotelu można spokojnie obserwować zwierzęta.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- o elementarnych wiadomościach, podstawach
- pisala do niego
- Heloiza
- Fernando z bolidu
- pseudonim Jana Rodowicza, żołnierza Szarych Szeregów
- Saudyjska z Medyną
- igława
- bogini poranka i okręt
- Kambodżanin lub Chińczyk
- wyrabia naczynia klepkowe
- ptak i warszawska oczyszczalnia
- płaty gleby przerośniętej trawą
- kołpaki na koła
- rozkładanie urządzeń na części

- Sofokles albo Dürrenmatt
- można na nim zrobić wymyk
- żeruje na buchtowisku
- posłużył jako doniczka w baśni Andersena
- ochrony danych, BHP lub policji
- stosowana w leczeniu cukrzycy
- matka Edypa
- grupa na wielbłądach na pustyni
- zapewnia chwytność dłoni
- sprzedaje „Przegląd”
- wyniesiony na dach w letnią noc w „Autobiografii”
- czynsz

- polski taniec ludowy i pseudonim gangstera
- miasto na północnym krańcu Puszczy Kaszubskiej
- i brudnica, i zakonnica
- „...uroczysta” Beethovena
- nieetyczne działania dla korzyści finansowych
- piwne, szare albo czarne
- „...do wolności” Słowackiego
- obca strachajle
- ...dyżurny na komisariacie
- skórzane buty z wysoką, sztywną cholewą
- zawiesić je na kimś lub na czymś to przyglądać się
- szaniec
- z kwaterą główną w Nowym Jorku

- niepotrzebny nudystce
- wynika z taryfikatora
- sposób widzenia czegoś
- skibka z bochenka
- Przemyk lub Gabryjelska
- genealogia, początek
- dekarstwo, stolarstwo albo szewstwo
- muzeum etnograficzne pod gołym niebem
- imię showmana Zapały
- żartobliwie nazywana facjatą
- np. liczb w Lotto
- żywiona przez pamiętliwych
- pyszałek, zarozumialec
- uchodzi do Wisły w okolicach Świecia
- rezultat działania różnych sił
- zaliczka, akonto
- pogląd w jakieś sprawie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-937”. Do rozlosowania CD „Genesis” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 grudnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-934” z 17 listopada: *Placzem nie zmyjesz plamy.* Nagrody otrzymują: Aleksandra Golecka-Mazur z Rumi, Juliusz Kidawa z Połańca, Janina Zduleczny z Krakowa.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA,
PREZES POLSKIEGO TOWARZYSTWA
EKONOMICZNEGO

Za Odrą funkcjonuje 16 niezależnych ośrodków myśli strategicznej. Każdy ma inny profil ideologiczny i badawczy, więc na jedną sprawę patrzą z 16 różnych perspektyw. Angela Merkel dostaje 16 różnych raportów na biurko i ma się nad czym zastanawiać. Formuluje swoją politykę gospodarczą na bazie danych i analiz.

RES HUMANA

OLGA TOKARCZUK,
PISARKA

Kiedy skończyłam „Księgi Jakubowe”, poczułam się bardzo słabo i z mężem pojechaliśmy do Krakowa. Moje przyjaciółki znalazły tam jakiegoś chińskiego lekarza, który mnie zbadał, obmacał, posłuchał, pooglądał... I pamiętam, siedziałam tam na takim stołeczku jak zбитy pies, słabiotka, a on tak nade mną stał i powiedział „Co pani do cholery robiła przez ostatni czas? Przecież pani wykorzystwała większość swojego zasobu życiowego. To już się nie odbudowuje”. I ja sobie wtedy pomyślałam, no tak, pora umierać. Wystraszył mnie ten lekarz, ale byłam absolutnie pewna, że te kilka dobrych lat pisania książek absolutnie mnie wyczerpało. Jednak wbrew temu lekarzowi po jakichś dwóch-trzech latach jako doszłam do siebie.

charaktery
magazyn psychologiczny

PROF. JOACHIM BAUER,
NEUROBIOLOG, UNIWERSYTET
WE FRYBURGU

Człowiek nosi w sobie uwarunkowaną biologicznie mocną awersję wobec skrajnej niesprawiedliwości i ekstremalnych różnic społecznych. Co nie znaczy, że nasz mózg ma naturę komunistyczną. Wobec pewnego stopnia nierówności jesteśmy jak najbardziej tolerancyjni, zwłaszcza wtedy, gdy dysproporcja ta jest wynikiem większego poświęcenia i dużego wkładu pracy. Zbyt jaskrawe różnice społeczne wywołują poczucie wstydu – i to zarówno u biednych, jak i u tych, którym wiedzie się lepiej.

POLSKA

BARBARA KRAFFTÓWNA,
AKTORKA

Jak ja się broniłam przed „Czterema pancernymi i psem” i rolą Honoraty. Scenariusz mi przysłał, czytam, a tam poligony jakieś, wojsko, czołgi. Gdzie ja tam do czego takiego? Odpada – postanowiłam. Poza tym praca cały czas w plenerze, a ja palaczka, cały czas z papierosem. A jak tu na dworze cały czas palić. Palenie w plenerze mi nie smakuje. Syn, gdy się dowiedział, że dostałam propozycję zagrania w „Pancernych”, to się bardzo ucieszył. Całą szkołę na baczność postawił, kolegom się chwalił i dopytywał cały czas: „A mamuśka już przeczytała scenariusz? A ile kartek przeczytała? No i co? I co?”.

Aby język giętki...

STANISŁAW TYM DO WŁADZY

Będziecie w końcu musieli uciekać. Dokąd? Odpowiedzcie sobie na to pytanie.

KRZYSZTOF „GRABAŻ” GRABOWSKI
O PIOTRZE GLIŃSKIM

To najgorszy minister kultury w historii naszego kraju. Nie można walczyć z kulturą i być ministrem kultury.

PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA
O EDUKACJI W PRL

Wchodząc w kapitalizm w 1989 r., mieliśmy dobrze wykształcone społeczeństwo, co sprawiło, że tak dobrze sobie poradziliśmy.

PROF. TOMASZ GRODZKI O RODZINIE

Nasz klan lekarski jest dość spory. Teściowie są lekarzami, brat, żona, żona brata, szwagrostwo i teraz młodsza córka.

KAMIL SIPOWICZ O KORZE

Mimo że byłem hipisem, nie brałem udziału w żadnej wolnej miłości. Kora była moją pierwszą kobietą.

JAN KOMASA O OJCOSTWIE

To najlepsza rzecz na świecie, przynajmniej przez pierwszych 10 lat, kiedy dziecko patrzy na ciebie jak na autorytet, jesteś wspaniałą i cudowną.

PAWEŁ JANAS O JERZYM BRZĘCZKU

Nie czepiajmy się trenera. Ma mocny charakter i potrafi się dogadać z zespołem.

MAGDALENA BOCZARSKA
O ROLI W FILMIE „KRÓL”

W ramach przygotowania oglądaliśmy filmy erotyczne sprzed prawie stu lat. Łćie imponująca fantazja.

KATARZYNA SKRZYŃECKA
O SWOIM MAŁŻEŃSTWIE

Ma trzy filary: dojrzała miłość, totalna przyjaźń i świetny seks.

KATARZYNA DOWBOR O CÓRCZCE MARII

Nadopiekuńczość to domena późnych matek, które mają świadomość zagrożeń czyhających na dzieci.

ROBERT WIĘCKIEWICZ
O ROLACH FILMOWYCH

Ja tak mam, że swoimi rolami rozmawiam ze sobą. Nie da się zupełnie oderwać postaci od siebie.



Bombel, wpisany do Księgi rekordów Guinnessa najmniejszy koń świata, rasy Mini Appaloosa, na spacerze z właścicielem Patrykiem Cyrankowskim.

Literatura się liczy

Powstał internetowy kalkulator książek Olgi Tokarczuk. Przykładowo osoba, która czyta w normalnym tempie przez trzy godziny dziennie, dowie się, że w tydzień może zapoznać się z „Prawiekiem i innymi czasami”, „Profesorem Andrewsem w Warszawie” oraz „Opowiadaniem bizarnym”. „Nasz kalkulator nie tylko proponuje najlepszą kolejność czytania książek noblistki, ale potrafi też ułożyć plan na ferie świąteczne”, zachwalają autorzy narzędzia dostępnego pod adresem www.omnicalculator.com/everyday-life/olga-tokarczuk.

Obywatelskie nieposłuszeństwo wiecznie żywe

W biurze najstarszej firmy ubezpieczeniowej w RPA w KwaDukuzie zjawiała się rodzina z workiem, w którym znajdowały się zwłoki krewnego. Bliscy denata zdecydowali się na tak drastyczny krok po tym, jak firma Old Mutual odrzuciła wniosek o wypłatę ubezpieczenia z polisy na życie mimo otrzymania kompletu dokumentów, w tym aktu zgonu. Ubezpieczyciel ostatecznie zgodził się na przekazanie świadczenia, pod warunkiem że ciało zostanie zabrane. Desperaci wyjaśnili, że wcześniej przez dziewięć dni z braku środków nie mogli zorganizować pochówku.

Kaczki górą

Sąd we francuskim mieście Dax orzekł, że kaczki emerytowanej rolniczki mogą nadal kwakać. Skargę wniósł sąsiad, który około roku temu przeprowadził się z miasta w sąsiedztwo niewielkiego gospodarstwa kobiety. Zdaniem Temidy natężenie dźwięków, na które uskarżał się eksmieszczuch (miały m.in. uniemożliwiać mu czerpanie radości z ogrodu) mieści się w dozwolonych granicach. – Kaczki wygrały. Jestem bardzo szczęśliwa – skomentowała Dominique Douthe.



Udanego udoju!

Rolnicy z Krasnogorska wyznaczają nowe trendy w hodowli krów. Zainspirowani badaniami, z których wynika, że dobra pogoda poprawia stan emocjonalny tych zwierząt, założyli członkiniom swojego stada gogle do wirtualnej rzeczywistości, na których mogą oglądać symulację pastwiska w samym środku lata. Co więcej, puszcza im muzykę klasyczną. Przedsięwzięcie zostało przygotowane we współpracy z dystrybutorami oprogramowania i weterynarzami, a jeśli pozytywnie wpłynie na ilość i jakość produkowanego przez krowy mleka, zakres jego oddziaływania ma zostać poszerzony.

Nie dla nazioli cylinder

Szwajcarski handlarz diamentami, z pochodzenia Li-bańczyk, wylicytował pamiątki po prominentnych nazistach i przekazał je żydowskiej fundacji Keren Hayesod. Abdallah Chatila wydał na kontrowersyjnej aukcji ok. 660 tys. dol., dzięki czemu wszedł w posiadanie m.in. cylindra Hitlera oraz egzemplarza „Mein Kampf” należącego do Göringa. Jak tłumaczy, chciał uniemożliwić neonazistom wykorzystywanie tych przedmiotów w celach propagandowych. – W cynicznym świecie jest to prawdziwy akt dobroci, hojności i solidarności – skomentował rabin Menachem Margolin, szef Europejskiego Stowarzyszenia Żydowskiego.

MEMY BEZ ŚCIEMY





By zmieniać świat, trzeba być równocześnie zderzonym (jak ta Greta Thunberg ze Stambułu) i czuć dziecięcą radość (jak anonimowa bohaterka muralu w Bombaju).

Na tlenowym rauszu

W Indiach, które są krajem z najgorszą jakością powietrza na świecie, rośnie popularność barów oferujących ulgę dla płuc. Na przykład w przybytku o nazwie Oxy Pure, zlokalizowanym w jednym z centrów handlowych w Delhi, za równowartość 16-27 zł można przez kwadrans pooddychać oczyszczonym powietrzem o zapachu mięty, pomarańczy, trawy cytrynowej, lawendy, cynamonu czy eukaliptusa, dostarczanych specjalnymi rurkami wprost do nozdrzy. Warto wpaść na kilka głębszych... wdechów.

Uważaj, o co się modlisz

Chidi Eke, 46-letni pastor z Nigerii, chciał zobaczyć i usłyszeć Boga. Miało mu to umożliwić 40 dni ścisłego postu. Duchowny zamieszkał w puszczy, po czym rozpoczął maraton modlitw i śpiewów. Po trzech tygodniach okoliczni rolnicy przestali słyszeć jego głos, ale uznali, że pograżył się w refleksji. W końcu jeden z zaniepokojonych wiernych postanowił sprawdzić, jak się czuje Eke. Niestety, w dziczy były już tylko doczesne szczątki pastora, który osierocił dwójkę dzieci. Pewnym pocieszeniem jest jedynie fakt, że główny cel – spotkanie z Najwyższym – prawdopodobnie został osiągnięty.



FOT. A-MEM, ANONIMOWY INTERNauta, SEKCJA GIMNASTYCZNA, BEWPHOTO, AFP/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew. 119**
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachowna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Marcin JASZCZAK
Rusalka, 2019 r.



Ewelina LOCHMAN
Portret liryczny 2, 2019 r.

MŁODZI I SZTUKA

NEXT Aukcje Sztuki, Bydgoszcz, ul. Poznańska 31
Wystawa przedaukcyjna do 6 grudnia
24. Aukcja Młodej Sztuki 6 grudnia, godz. 19.00

Marzena BIS
Poison, 2019 r.



Agata BAJSZCZAK
Brightness, 2018 r.



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Diabły

**Inspirowane motywami
z Matki Joanny od Aniołów
J. Iwaszkiewicza**

**Adamczyk, Bednarek, Bielawka,
Błońska, Bożek, Brykański,
Chyżna, Czerkaszyńska, Łagiewczyk,
Robaszkiewicz, Rumaś, Sienicki,
Ślesieński, Wichowska**
premiera 7.12.2019
kolejne pokazy:
8 grudnia, 23–26 stycznia

Opowieść o opętanych i egzorcyzmowanych mniszkach jest pretekstem do badań długich dziejów kolonizacji kobiecego ciała, represjonowania seksualności, piętnowania odmienności i narzucania sztywnych ról płciowych. W spektaklu wypowiedzą się między innymi: Ojcowie Kościoła, Matki Joanny oraz diabły, które podobno zamieszkały w ich ciałach i mózgach. A przede wszystkim: współczesne kobiety i mężczyźni, którzy – chcąc albo i nie chcąc – biorą udział w rzekomo obronnej wojnie kulturowej przetaczającej się przez Polskę i Europę; wojnie zadeklarowanej przez Kościół i polityków.





CANNES
KONKURS GŁÓWNY
NAGRODA ZA REŻYSERIĘ

MŁODY AHMED

REŻYSERIA
JEAN-PIERRE | LUC DARDENNE



W KINACH OD 6 GRUDNIA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



AURORA